MIESIĘCZNIK

fantastyka

4-5(91-92) KWIECIEŃ – MAJ 1990

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839

CENA 3900 ZŁ



Melvyn Grant



Melvyn Grant jest jednym z najbardziej nietypowych ilustratorów. Zajmuje się głównie malowaniem ilustracji na okładki książkowe i gry. Nietypowość Granta wynika z tego, że jego prawdziwą pasją jest muzyka. Pozwala mu ona odpocząć w trakcie pracy, towarzyszy mu przez cały dzień. Grant jest doskonałym gitarzystą i kompozytorem, gra w różnych zespołach oraz jako muzyk sesyjny. Rysowanie traktuje jako bardzo dobry zawód, który pozwala na poświęcenie całego wolnego czasu muzyce. Taka postawa pozwala mu zachować dystans do tego, co rysuje, do wydawców i do czytelników.

Ma wyrobione zdanie o wydawcach, twierdzi mianowicie, że najbardziej interesuje ich kod komputerowy, umieszczony na okładce książki. Nie oszczędza też czytelników, którzy pragną, by ilustracje zamiast oddawać sens i głębsze przesłanie książki, przedstawiały brutalne sceny skąpane w morzu krwi. Przyjmując zamówienie stara się zawsze przeczytać cały maszynopis, a nie tylko wybrany przez wydawcę fragment. Unika ilustrowania fantasy i „technicznej" science fiction. Najchętniej ilustruje te teksty, w których bohaterowie nie są jednowymiarowi i prezentują całe zróżnicowanie postaw.

Lubi malować ilustracje z na wpół ubranymi dziewczynami (co mu się zdarza coraz częściej) oraz ilustracje do horrorów. Grozę czy niecodzienność stara się uzyskać raczej nie przez krew czy supermaszynerię, lecz przez kolorystykę, rozmycie konturów czy bardzo częste wykorzystywanie elementów ciał różnych owadów. Twierdzi zresztą, że świat owadów w ludziach budzi podświadomą grozę i lęk, co jest mu bardzo pomocne.

Tak naprawdę, to pragnie jak najprędzej zostać sławnym muzykiem, aby móc pozbyć się frustracji związanych z wykonywaniem zawodu ilustratora.

Andrzej Brzezicki

PS. Żadnych danych ani informacji personalnych nie chciał udostępnić, bo nikomu nic do tego.



4,14

Liryzm – i satyra. Przestrzeń wewnętrzna – i fantastyczna kraina ze znajomymi realiami. Świat ludzi z ukrywającą się w nim obcą istotą – i świat smoków o nader ludzkich cechach. Innymi słowy, dwa opowiadania: amerykańskie – znanego już Państwu Boba Lemana, i radzieckie – drukowanej po raz pierwszy w Polsce pisarki z Kijowa, Ludmiły Koziniec.

...3...2...1...



Zmierzch nauki

Ten *fin de siècle* jest nie tylko pełny wielkiej historii, wypadków zamykających czasy: potwornych wojen i zbrodni, upadku tyranów, narodowych powstań, ruchów wolnościowych. Ci, co dożyli i przeżyli, są także świadkami i uczestnikami innych niezwykłych i równie niespodzianych zjawisk.

Upada zainteresowanie nauką, szczególnie wiedzą czy umiejętnością techniczną, technika tyle napsuła i tyle naobiecywała, że okazała się wprost niewiarygodna. Mimo że ludzie stanęli na Księżycu i poczynają penetrować najdalsze planety, mimo możliwości nie tylko wojennego, lecz także i pokojowego wykorzystania energii, o jakiej przedtem, jeszcze stosunkowo niedawno, nie śniło się nikomu – Czarnobyl zrujnował do niej kompletnie zaufanie, zamyka się więc elektrownie jądrowe lub, jak na przykład u nas w sprawie Żarnowca, ryzykowali poniektórzy życie, aby nie dopuścić do budowy takiej elektrowni, choć wkrótce bez tego rodzaju energetyki zagrozi nam brak ciepła, światła i mocy do napędzania fabryk. Nic to, coraz mniej studentów mają uczelnie techniczne. W ogóle wyższe studia przestały być silnym motorem awansu społecznego. W tej naszej epoce nauka i technika osiągnęły swój szczyt i zaraz po tym szczycie doznały gwałtownego upadku.

Niewiele osób interesuje się już dziś radzieckimi czy amerykańskimi lotami załogowymi. Zmienia się również radykalnie nasza filozofia. Fizyka, a także eksperyment, pozwalający na szczegółową penetrację otaczającego nas świata, a więc coś, co także wynika z nauki, obraca się przeciwko niej. Coraz więcej znaczy natomiast filozofia, której status określał jeszcze ponad 60 lat temu sławny Bertrand Russell w swojej „History of Philosophy" jako łącznik między nauką a religią. Jak gdyby przewidywał wtedy nasze czasy. Szybkie zmiany w stosunkach międzyludzkich – przechodzenie od wojen do pokoju, od tyranii do demokracji, narzucają ogromną potrzebę publikacji i dyskusji etycznych.

Powstają całe zastępy nowych idoli, bohaterów, kreuje się także nowych świętych. Bacznej uwadze poddaje zachowania bliźnich w drastycznych i trudnych warunkach przemian historycznych i ocenia ich morale przeważnie z dużą surowością. Prześwietla się nawet wielkie i wybitne jednostki. Wszystko, co tutaj piszę, nie dotyczy oczywiście jedynie naszego kraju. Podobnie rzecz ma się i gdzie indziej. I to nie tylko w skali najnowszej historii, lecz także w odniesieniu do postaw, spraw i wydarzeń sprzed półwiecza.

Tak stało się – weźmy ten przykład jako *pars pro toto* – z osobą nieżyjącego już wielkiego niemieckiego filozofa Martina Heideggera, którego stulecie urodzin miało być uroczyście obchodzone w Zachodnich Niemczech. Nie ulega bowiem wątpliwości, że cokolwiek powiedziałoby się o morale tego człowieka, wywarł on i nadal wywiera swą egzystencjalistyczną doktryną filozoficzną silny wpływ na współczesnych myślicieli na całym świecie. O Heideggerze dziś znacznie głośniej niż o innym znakomitym egzystencjaliście (rodem z Francji) – Jeanie Paulu Sartrze. Jakkolwiek myśl filozoficzna Heideggera zrodziła się w warunkach... narodowego socjalizmu Hitlera, a jej twórca w pełni aprobował ten system i stanowił niejako intelektualną jego podporę. Nie zrażały go mordy polityczne, dokonywane przez nazistów, ani *holocaust* – bezwzględna eksterminacja Żydów, mimo że największą jego miłością była Hannah Arendt, żydowskiego pochodzenia studentka filozofii, później – znana filozofka, której dzieła z dziedziny etyki budzą dziś żywy rezonans także, a może przede wszystkim, wśród katolików. Z Hanną rozstał się, przedkładając karierę wśród nazistów nad wielką pasję miłosną. Ona zaś musiała schronić się przed prześladowaniami aż w Stanach Zjednoczonych. Po wojnie doszło do ich ponownego spotkania, które podobno stało się krótką, nową ich tragedią, lecz i farsą zarazem. Filozof bowiem zachowywał się tak, jakby w międzyczasie nic się nie działo, a on był zawsze niewinnym barankiem.

Koniec wojny zastał Heideggera w bajecznym zamku bogatych przyjaciół, górującym nad jego rodzinną doliną Dunaju. Pozbawiono go szybko wszelkich funkcji i zaszczytów, ale potem jak gdyby zapomniano o jego przewinieniach. A on za jedyne usprawiedliwienie swego postępowania miał krótkie zdanie: *Kto jest wielkim myślicielem, może popełniać wielkie błędy.* Kawał czasu po śmierci Heideggera w zeszłym roku przyszło do uczczenia rocznicy jego narodzin. Zamierzano uczynić tę rocznicę bardzo wystawną, jak przystało ku pamięci wielkiej jednostki. Ale w końcu wszystko upadło, bo na łamach prasy ukazały się bardzo ostre artykuły, w czambuł potępiające morale tego wybitnego, niemieckiego filozofa.

Zastanawiano się jak oddzielać wielkość od nieodłącznego od niej życiorysu. Przecież nie sposób biografię zmienić. A ona jak gdyby przekreślała wszelkie filozofa zasługi. Czy wolno zresztą w ogóle odłączać dzieło od człowieka, co je stworzył, czy największym można darowywać ich potężne błędy? Zwalniać od winy i kary?

Oto pytanie niezwykle aktualne na każdym gruncie – wobec galopu i przemienności ludzkiej historii. A co z winami maluczkich?

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-59-48 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska (z-ca kier. działu zagr.), Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Hanna Sosińska-Balcer, Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń (z-ca kier. działu zagr.), Rafał A. Ziemkiewicz (kier. działu publicystyki).
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel.: 29-83-28, 28-86-41; fax: 28-61-36; telex: 814461, 814462, 814463, 814464 (redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń). Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Nakład 120 000 egz. Zam. 439/90

NR INDEKSU 35839 | PL ISSN 0209-1631 | Oddano do składu 31 stycznia 1990 r.

Lądowanie LXXXVI

***Będąc stałym czytelnikiem** miesięcznika (posiadaczem wszystkich numerów) zauważyłem pewną stagnację, szczególnie przy doborze opowiadań zagranicznych pisarzy. Dawno już nie było prawdziwego szlagieru, tzn. od czasu „Piaseczników” George'a Martina z numeru 7/86. W przeciwieństwie do opowiadań rodzimych autorów, gdzie dobrych utworów było więcej. Wspaniała grafika Chrisa Achilleosa – więcej takich. Szkoda tylko, że ten papier...*

Piotr Kiełbasa *z Wodzisławia Śląskiego*

***„Fantastyka” jest coraz droższa** i wobec wysokich cen podstawowych artykułów żywnościowych być może nie każdego będzie stać na jej stałe kupowanie. To samo dotyczy dodatków – „Małej” i „Komiksu”. Ale większość miłośników gatunku i tak Was kupi, ponieważ fanziny teraz są jeszcze droższe niż Wasze pismo i zawsze były droższe, choć sto razy gorsze. Tylko pytanie, które stale zadajemy szanownej redakcji. Czemu przy takim doborze mistrzów ilustracji jak Siudmak, Achilleos, Valejo, oraz nasi, z panem Brzezickim włącznie, macie ciągle papier nędzny, obniżający poziom graficzny?*

Krystian Borecki *z Katowic*

***Drożyzna** takich pism jak Wasze jest względna – jesteście tańsi od bochenka chleba („Fantastyka” – 1800 zł, chleb – 2600 zł). To się nie bójcie podniesienia jeszcze ceny, ale za to dajcie lepszy papier! To kupują fanowie, a oni traktują Wasze pismo w sposób bibliofilski. Składają je. Chcą, żeby było trwałe i doskonałe.*

Józef Zarębski *z Krakowa*

***Komu, komu...** Mam do odstąpienia wszystkie numery „Fantastyki” od 1/82 do 3/89. Odstąpię je razem, pojedynczo, rocznikami lub inaczej. **Ryszard Hojsler,** Lasocice 10, 64-114 LASOCICE.*

***Komu, komu...** Kupię trylogię Lucasa (może być po angielsku) za każdą cenę (oczywiście bez przesady), lub przynajmniej którąś z jej części. Mogę za nią dać książki SF: Tomaszewska – „Tapatiki” (tom I i II), Żwikiewicz – „Imago” (tom I i II), Cooper – „Zdobywca przestworzy”, Życki – „Zdobywcy przestworzy”, Żemajtis – „Pływająca wyspa”, książki kryminalne, „Fantastyki” i inne. **Paweł Wrzesień,** ul. Miłośników Podhala 26, 34-425 BIAŁY DUNAJEC, woj. Nowy Sącz. Błagam Was, redakcjo, wydrukujcie ten list. Ja muszę mieć tę trylogię. Jesteście moją jedyną nadzieją.*

***Czytając najnowsze numery** „Fantastyki” zauważyłem wraz z podziałem na „Dużą” i „Małą” niemal zniknięcie z Waszych łamów awanturniczego gatunku SF. Zastąpiono go bardziej głębokimi i zmuszającymi do myślenia utworami. Pochwalam ten krok, niemniej nie byłoby źle, gdyby co jakiś czas drukowano lżejsze opowiadania, tzw. opowiadania akcji. Na koniec mam jeszcze prośbę: od roku bezskutecznie usiłuję dostać jakąkolwiek książkę napisaną na podstawie scenariusza „Gwiezdnych wojen”. Owszem, wiem, że nie ma ona zbyt pochlebnej opinii, mimo to chciałbym ją mieć. Jeżeli którykolwiek z Czytelników mógłby odstąpić (sprzedać, pożyczyć) niech do mnie napisze. **Grzegorz Wiśniewski,** ul. Podmiejska 34/224, 62-800 KALISZ.*

***Odstąpię** numery „Fantastyki” i książki SF z serii KAW. **Komu, komu...? Robert Broja,** Barana 7/27, 42-200 CZĘSTOCHOWA.*

***Odstąpię** książki SF. **Komu, komu? Jolanta Zaczyńska,** (tel. 641-84-08), Dembowskiego 15 m 49, 02-784 WARSZAWA.*

***I Was pochłonęły wydarzenia** ostatnich miesięcy poprzedniego i pierwszych bieżącego roku. Widać to wyraźnie z felietonów pana Hollanka i rozpoczętej (tak sądzę) dyskusji na temat roli, jaką „Fantastyka” spełniła, drukując od pierwszych numerów opowiadania z tzw. zajdlowskiego nurtu. Powodzenie utworów Zajdla i innych autorów, którzy podejmowali tematykę antyreżimową, przedstawiając losy ludzi oszukiwanych i rządzonych w sposób totalitarny, miało prawie wyłącznie charakter polityczny. Ludzie szukali takich utworów, przynajmniej ja tak sądzę, na podstawie własnych doświadczeń i doświadczeń moich kolegów, żeby jak gdyby ugruntować, nadać kształt opiniom i poglądom, skonfrontować to co myśleliśmy z poglądami innych. Równocześnie jednak interesował nas także wątek fantastyczny w takich utworach. Człowiek znacznie bardziej uczy się spraw życia z literatury, z tego co czyta, niż z nawet najmądrzejszych naukowych książek. Literatura jest bardziej klarowna, lepiej tłumaczy i na przykładach z codzienności, nawet jeśli bywa to codzienność kosmiczna. Fantastyka w swoim naziemnym, oficjalnym obiegu stworzyła więc na swoich łamach poprzez postać zakamuflowaną utworów niby-SF rodzaj literatury podziemnej. Tym strawniejszej, że docierała do szerokich rzesz fanów fantastyki i że kupowały ją tysiące ludzi zamiast setek. Ciekawe, że nikt z Was o tym na łamach „Fantastyki” nie powiedział i że dyskusja toczy się jakby na marginesie tego, co należałoby Wam na plus policzyć.*

Dr Jan B. *z Warszawy*

***W odpowiedzi** na ogłoszony przez Was konkurs przesyłam kilka uwag na temat ostatnio przeze mnie obejrzanego w telewizji filmu. Z Wami ma to tyle wspólnego, że drukowaliście scenariusz tego obrazu. Od razu wyznam, że nie podobał mi się ten film bardzo. Ani to dobry horror, ani dobra SF... Może jestem rozpuszczony kinem amerykańskim, pełnym naprawdę niesamowitych efektów specjalnych, dlatego moja ocena takiej chałupniczej roboty jest niska. Myślę jednak, że w naszych warunkach należy przed przystąpieniem do takiej produkcji dobrze się zastanowić. W tym przypadku te pożal się Boże efekty raczej śmieszyły. Nawet jednak słabe efekty mogą zejść na drugi plan, gdy akcja ciekawa i zajmująca. Nic z tych rzeczy. Akcja się ślimaczy, aktorzy odrabiają nadgodziny i wszystko przypomina letnią zupę, jak zapewne powiedziałby Lem... Ogólny wniosek, że lepiej było sfilmować „Króla olch” bez silenia się na uwspółcześnianie i unaukowianie. Interpretacja Goethego w wykonaniu p. Solskiego była interpretacją pomniejszającą.*
PS. W Oramusa recenzji „Nowego wspaniałego świata” dwa razy skopano nazwisko Leibniza. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać i to nie był zwykły chochlik. Leibnitz to jakby Oramós. Poprawcie się.

Zbigniew Gosławski *z Wrocławia*

Redaktor z podobną obawą, jak wszyscy co piszą i czytają, śledzi rozwój cen w kraju, włącznie z szybko pnącą się w górę ceną naszej „Fantastyki” i liczy na przywiązanie Czytelników do pisma. Pragnie także z tym numerem wznowić rubrykę „komu, komu...”, na razie wplecioną w skrótowych często formach w normalny bieg cytatów z listów. Ale postaramy się poprawić i wyznaczyć specjalne miejsce naszemu „komu, komu...” Redaktorowi również się wydaje potrzebna (i na poziomie) dyskusja na temat roli „Fantastyki” jako dostarczycielki w minionym okresie utworów w rodzaju protest-songów, tych skierowanych przeciwko stosunkom i postawom z lat tak niedawnych. Jeśli Czytelnicy mieliby tu do wtrącenia swoje trzy grosze, byłoby to bardzo pożądane. Zwłaszcza że chodzi nam o kierunki polskiej literatury fantastycznej dzisiejszej i tej, która nadejdzie. A na nowy konkurs literacki przyjdzie niedługo czas. Na razie do następnego „Lądowania”.

Redaktor

Bob Leman

Czas robaka

(The Time of the Worm)



Janusz Gutkowski

Jakieś osiem czy dziewięć lat temu w Sturkeyville mieszkał człowiek nazwiskiem Harvey Lawson, którego żona była robakiem.

Należy to rozumieć zupełnie dosłownie: była czerwonobrązowym, wieloczłonowym robakiem długości około pięciu stóp, o chitynowym szkielecie zewnętrznym, niezliczonej ilości krótkich odnóży od spodu i złowieszczych, ostrych szczękach z przodu. Tak wyglądała jej naturalna, stała postać. Jednak w dzień, a dokładniej mówiąc od wschodu do zachodu słońca, przybierała postać kobiety i w tym przebraniu pokazywała się publicznie jako żona Lawsona. Ludzie zaakceptowali ją w tej roli, chociaż miała opinię osoby nadzwyczaj ekscentrycznej i bardzo niesympatycznej.

Wielu ludziom trudno jest uwierzyć w fakt pojawienia się takiej istoty w małym, amerykańskim miasteczku. Plotki na ten temat dochodziły nieraz z bardziej gorących szerokości geograficznych, na przykład z Dalekiego Wschodu, ale nigdy z samych Stanów Zjednoczonych. W związku z tym Lawson nie mógł zwrócić się do nikogo o pomoc, jeśli nie chciał, żeby wzięto go za szaleńca, a poza tym i tak nie byłby w stanie tego dokonać, bowiem robak utrzymywał jego umysł pod ścisłą kontrolą i ukarałby go okrutnie, gdyby Lawson spróbował ujawnić fakt jego istnienia.

Zanim została jego żoną, była jego matką. Lawson nie pamiętał swojej prawdziwej matki, ale wydawało mu się, że może sobie przypomnieć chwilę, kiedy nagle zniknęła, a zamiast niej pojawiła się imitacja. Był wtedy mały i często płakał, kiedy więc zobaczył ją po raz pierwszy zaczął szlochać, ale od razu doświadczył na sobie siły robaka; jego przerażenie rosło i wreszcie zamieniło się w ślepą panikę, lecz mimo to nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku. W swojej głowie poczuł nagle obecność jakiegoś obrzydliwego intruza, który momentalnie zapanował nad jego ciałem, rozluźniając struny głosowe i zamykając usta. Na zewnątrz nie wydobył się ani jeden z rozpaczliwych wrzasków; robak nie lubił głośnych, długotrwałych dźwięków.

Prawdziwa matka już nie wróciła, natomiast imitacja pozostała. Z początku wcale nie przypominała prawdziwej matki, ani nawet prawdziwej kobiety, ale z czasem upodobniła się do istoty ludzkiej i możliwe nawet, że dla kogoś obcego niczym nie różniła się od jego matki, ale mały Harvey Lawson nie dał się zwieść i od tamtej chwili odczuwał nieustający, potworny strach.

Ojciec był prawdziwy, ale nie mógł pomóc swemu synowi, podobnie jak nie mógł pomóc sobie samemu. Robak zapanował nad nim całkowicie, tak że przez większość czasu ojciec nie był tym samym ojcem, którego znał Harvey, ale czasem chwyt stawał się nieco lżejszy i wtedy mógł być sobą. Właśnie te chwile Harvey najbardziej lubił wspominać; stanowiły chyba najbliższy odpowiednik szczęścia, którego nie dane mu było zaznać. Kiedy był mały, siadali po prostu i obejmowali się mocno, dopóki twarz ojca nie przybrała znowu ziemistego, sflaczałego wyglądu. Odsuwał wtedy swego syna i wstawał, żeby wypełnić polecenie robaka. Kiedy Harvey urósł, rozmawiali tak długo, jak mogli.

Moglibyśmy uciec, tato.

Już próbowałem. Ty tego pewnie nie pamiętasz. Sprowadził mnie z powrotem i ukarał *ciebie*. To było okropne. Już nigdy nie odważę się spróbować.

Więc co zrobimy?

Nie wiem. Coś na pewno. To nie może tak trwać. Mój biedny, mały chłopczyk.

Kiedy miał czternaście lat, ojciec wreszcie zrobił to „coś". Powinien był wiedzieć, co mu grozi i chyba wiedział, ale żaden człowiek nie byłby w stanie znieść tego, co on, a poza tym nie był już w stanie jasno myśleć. Pewnego dnia zapomniał o tym, o czym pamiętał przez tyle lat: że kara za nieudaną ucieczkę spadnie na jego syna. Zapomniał o tym, zabrał chłopca i spróbował uciec. I zginął.

Jechali samochodem na wieś po warzywa, którymi Wylie Lawson karmił robaka. Robak nie jadł, gdy znajdował się w ludzkiej postaci, ale nocą, zagrzebany w swojej jamie, przeżuwał bezustannie rzepę, marchew i buraki. Wylie Lawson podejrzewał, że farma, na której kupował warzywa znajduje się blisko granicy zasięgu mocy robaka, bowiem kilkakrotnie wyczuwał jej znaczne wahania, kiedy znajdował się w pobliżu tego miejsca. Tego dnia, zamiast skręcić do bramy, wdusił pedał gazu w podłogę.

Trzeba pamiętać, że już od dawna znajdował się na krawędzi szaleństwa; był świadkiem śmierci swej ukochanej, młodej żony i widział, jak jej miejsce zajmuje topornie wykonana imitacja, czuł w swoim umyśle obecność obcej inteligencji przypominającej oślizłego, cuchnącego ślimaka, zdawał sobie z przerażeniem sprawę, że nie jest w stanie przeciwstawić się jego rozkazom, obserwował, jak jego syn wyrasta na podobną do niego, udręczoną marionetkę, na życiowego rozbitka nie mającego żadnego kontaktu z rzeczywistością i wreszcie miał okropną świadomość, że nic nie może na to poradzić. Żył z tą świadomością przez dziesięć lat i wreszcie nie wytrzymał.

Wdepnął w pedał gazu i samochód skoczył z rykiem silnika do przodu.

– Tatusiu, co ty robisz? – wykrzyknął Harvey, jednocześnie uradowany i przerażony.

– Uciekam! Uciekamy, Harvey! Zostawiamy go!

Jeszcze mówił, kiedy śmierdzący śluz zalał jego umysł, a stopa raptownie nacisnęła hamulec. Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Silnik zgasł.

Jednak jego przypuszczenia, że wraz z rosnącą odległością malała moc robaka, nie były zupełnie pozbawione podstaw. Z olbrzymim wysiłkiem udało mu się otworzyć drzwi i wypełznąć na szosę.

– Wysiadaj! – szepnął ochrypłym głosem do Harveya.– Będziemy biec.

Wstał z trudem na nogi. Cała moc robaka skoncentrowała się na nim i Harvey poczuł, że jest niemal wolny. Wyskoczył z samochodu i chwycił ojca za ramię.

– Biegnij, tatusiu! – błagał przez łzy. We dwóch ruszyli powoli przed siebie, byle dalej od miasta, byle dalej od domu, w którym mieszkał robak.

Dla Wylie'ego Lawsona każdy krok stanowił osobną, wielką bitwę i możliwy był po pokonaniu bezwzględnego, kontrolującego go umysłu. Zacisnąwszy zęby i pięści zmuszał swoje stopy do posłuszeństwa, aż wreszcie jego obciążone nadmiernie serce zatrzymało się i upadł na drogę, martwy i nareszcie wolny. Udało im się oddalić od samochodu nie więcej niż o dziesięć stóp.

Wówczas cała odrażająca siła umysłu robaka zwróciła się przeciw Harveyowi, który najpierw zatoczył się, niemal upadając, a potem wyprostował, zawrócił i z obojętną twarzą i pustymi oczami powlókł się w kierunku miasta. Przeszedł mniej więcej dwie mile, kiedy zrównał się z nim radiowóz.

– Nazywasz się Lawson, synu? – zapytał milicjant.

Harvey nie zatrzymał się ani nie spojrzał na samochód, tylko człapał dalej przed siebie, nie dostrzegając sunącego obok niego radiowozu.

– Wsiadaj do wozu, chłopcze – powiedział milicjant. – Odwieziemy cię do domu. Matka będzie cię potrzebować.

Harvey nie reagował.

– Jest w szoku – odezwał się kierowca. – Nie wie, co robi. Wsadź go lepiej siłą.

Chłopiec opierał się ze wszystkich sił, kopiąc i wymachując ramionami. Był duży jak na swoje czternaście lat, więc zdążył nieźle posiniaczyć policjanta, zanim ten zdołał wciągnąć go na tylne siedzenie.

– Co się z tobą dzieje, chłopcze? – zapytał, zadyszany. – Chcemy cię tylko odwieźć do domu.

Na pustej do tej pory twarzy Harveya pojawił się nagle wyraz przerażenia i rozpaczy.

– Moja matka jest... była... – wykrztusił przez ściśnięte gardło. – Pomóżcie mi...

– Oczywiście, chłopcze. Co możemy zrobić?

Ale robak tymczasem odzyskał już pełnię władzy i twarz Harveya znowu zamieniła się w niewzruszoną maskę.

– Proszę, zawieźcie mnie do domu – powiedział bezdźwięcznym głosem.

– Jasne, synu. – Zawieźli go do domu i od tego momentu dla Harveya Lawsona zaczęło się niemal dziesięć lat piekła.

Oczywiście już od dziesięciu lat miał do czynienia z robakiem, gdyż ten zjawił się, kiedy Harvey miał nieco ponad cztery lata – zjawił się, zabił jego matkę i zajął jej miejsce. Jednak główną marionetką pozostawał przez ten czas jego ojciec, natomiast nacisk na chłopca był stosunkowo niewielki. Pełny ciężar dominacji robaka odczuł dopiero wtedy, kiedy ojciec już nie żył.

Za jego życia rozmawiali, kiedy im na to pozwalano, o swoim osamotnieniu, beznadziejnym męczeństwie. Pod koniec umysł Wylie'ego Lawsona zaczął trzeszczeć pod potwornym ciężarem i w chwilach pozornej wolności, kiedy mógł mówić ze swoim synem, powracał wciąż do okoliczności towarzyszących pojawieniu się robaka, ożywiając ponure wydarzenie, od którego zaczęło się ich nieszczęście.

Wylie Lawson i jego żona, obydwoje świeżo po studiach, przybyli do miasta, ponieważ Wylie został zatrudniony w miejscowej odlewni jako inżynier metalurg. W pracy powodziło mu się dobrze, więc kiedy urodził mu się syn, kupił działkę i wybudował dom. Trudno by znaleźć szczęśliwszą rodzinę; byli młodzi, przystojni i dawali się lubić. Oni zaakceptowali miasteczko, a miasteczko zaakceptowało ich. Stare rody – szczególnie Hodge'owie, do których należała odlewnia – polubiły ich i starały się jak najbardziej ułatwić im życie.

Jednak właśnie dobre serce Hodge'ów legło u podstaw całego nieszczęścia. Will Hodge, najstarszy z braci i zarazem przewodniczący rady nadzorczej, poczuł się niemal opiekunem Lawsona i pomógł mu urzeczywistnić jego zamiar wybudowania domu, sprzedając po niezwykle niskiej cenie należącą do rodziny działkę przy Wetzel Avenue. Nie zrobił tego jednak bez ukrytych zamiarów; działka, chociaż duża i znakomicie położona przy najelegantszej ulicy miasta, od lat nie mogła znaleźć nabywcy. Po okolicy krążyła nie wiadomo jak stara plotka, że coś jest z nią nie w porządku i że próba osiedlenia się tam sprowadzi na właściciela same nieszczęścia.

Ale Lawson był w miasteczku nowy, ponieważ zaś w ten przesąd wierzyli tylko ci, którzy wyssali go z mlekiem matki, nie zwlekając wybudował dom i wraz z rodziną się do niego sprowadził. Zło pojawiło się w rok później.

Wieczór zaczął się pogodnie, tak jak wszystkie wieczory w tym domu. Zjedzono obiad, mały Harvey został położony

spać, zaś Lawsonowie wymienili między sobą dyskretne znaki świadczące o tym, że najprzyjemniejsza część wieczoru dopiero na nich czekała po położeniu się do łóżka. Na razie usiedli na kanapie, by przez godzinę lub dwie pooglądać telewizję.

Annie Lawson poszła do kuchni, może po szklankę wody. W chwilę później Wylie usłyszał dziwny odgłos, jakby zduszony, nie wyartykułowany do końca krzyk. Był to ostatni dźwięk, jaki wydała w życiu jego żona. Zerwał się z miejsca i popędził do kuchni.

Robak już tam był. Wypełzł z piwnicy po schodach i wciągnął do kuchni mniej więcej trzy czwarte swego ciała, tak że bezlitosne, wielościenne oczy znajdowały się na wysokości bioder człowieka. Annie Lawson przyglądała mu się z zamarłym na twarzy wyrazem nieopisanego przerażenia; w chwili, kiedy Wylie wpadł do środka, osunęła się na podłogę.

Lawson z pewnością wpadłby w panikę, gdyby nie to, że jego żona leżała na podłodze, nie dając znaku życia. Rozejrzał się błyskawicznie w poszukiwaniu jakiejś broni, niczego nie znalazł, więc rzucił się na robaka z gołymi rękami. W tym samym momencie poczuł, jak coś niewypowiedzianie obrzydliwego wślizguje się do jego mózgu i jego rozpaczliwy skok zamienił się w bezradny podryg, po którym padł na podłogę obok swojej żony.

Kiedy się obudził, wciąż czuł w swojej głowie czyjąś obecność, ale jakby bardziej dyskretną – wiecznie czuwający strażnik, który donosił robakowi o tym, co strzeżona robi, a także, do pewnego stopnia, o czym myśli. Już do końca swoich dni miał być skazany na współżycie z tym budzącym odrazę donosicielem, pasożytniczym systemem alarmowym, uruchamiającym w razie najmniejszego nieposłuszeństwa narzędzie okrutnej kary. Od tej chwili był niewolnikiem.

Przekonał się o potędze robaka niemal natychmiast po odzyskaniu przytomności. Zerwał się na nogi, próbując przypomnieć sobie, skąd znalazł się na podłodze w kuchni, a kiedy udało mu się, krzyknął przeraźliwie „Annie!" i zaczął biegać od pokoju do pokoju, na dół i w górę (mały Harvey spał spokojnie), do piwnicy (gdzie zobaczył nisko w ścianie dziurę o średnicy mniej więcej dwóch stóp), a potem z powrotem do kuchni. Cały czas wydawał ciche, przerażone jęki.

– Policja – powiedział na głos. – Muszę zawiadomić policję!

Wziął do ręki słuchawkę. Na to robak nie mógł pozwolić. Nie można, rzecz jasna, stwierdzić z całą pewnością, na ile rozumiał wtedy poszczególne słowa i pojęcia. Można jednak przypuszczać, że jego znajomość języka była jeszcze wówczas mocno ograniczona i że najprawdopodobniej wyczuł po prostu, iż Lawson usiłuje wezwać pomoc i ma zamiar poinformować innych o jego istnieniu. W każdym razie w chwili, kiedy Wylie podniósł słuchawkę uderzył w niego z taką siłą, że Lawson ponownie stracił przytomność.

Kiedy tym razem doszedł do siebie zobaczył, że koło niego stoi jego syn. Przez okna wpadał do wnętrza blask porannego słońca.

– Tatusiu, dlaczego śpisz na podłodze? – zapytał chłopiec.

Lawson nie odpowiedział, tylko chwycił go w objęcia i rzucił się do drzwi. Otworzył je raptownie, wybiegł przed dom i popędził w stronę ulicy. Udało mu się przebyć około pięćdziesięciu jardów, zanim robak go zatrzymał; teraz potrafił już lepiej kontrolować swoją siłę, więc Lawson nie stracił przytomności, tylko przystanął, odwrócił się i nienaturalnym, sztywnym krokiem wrócił do domu. Jego twarz przypominała sflaczałą, obwisłą maskę.

W taki właśnie sposób zapoznał się z uczuciem zniewolenia, które miało mu odtąd towarzyszyć przez całe jego życie. Nigdy nie dane mu już było ujrzeć żony ani zobaczyć robaka w jego naturalnej postaci, ale niewidzialny strażnik na zawsze zagnieździł się w jego umyśle i gdy Lawson nie wykonywał w należyty sposób poleceń lub usiłował się im przeciwstawić, był surowo karany: śmierdzący muł zalewał mu niespodziewanie mózg, blokując wszystkie zmysły, wywołując nieopisany wstręt i nienawiść, i zamieniając go w bezwładną marionetkę.

W ciągu pierwszych dni wykształcił się pewien *modus vivendi*; robak nie miał najmniejszego pojęcia ani o zwyczajach ludzi, ani o świecie, w którym żyli, lecz jednocześnie potrafił bezbłędnie przewidzieć wszelkie zagrażające mu niebezpieczeństwa i znaleźć sposoby samoobrony. Można się tylko domyślać, jak bardzo był inteligentny i czy zachodzące w jego umyśle procesy można by w ogóle mierzyć miarą inteligencji, ale w każdym razie zawładnął całkowicie mózgiem Wylie'ego Lawsona i nauczył się odczytywać wszystkie myśli i zamiary w jakikolwiek sposób z nim związane tak, że nawet najmniejsza próba ucieczki spotykała się z natychmiastową reakcją. Wydaje się, iż niemal od razu wyczuł, że jego bezpieczeństwo zależy w dużej mierze od normalnego, nie zmienionego zachowania Lawsona, więc zmusił go do tego, żeby codziennie chodził do pracy i opowiadał znajomym, że jego żona pojechała w odwiedziny do przyjaciół, zaś podczas jego nieobecności w domu dzieckiem zajmuje się piastunka.

W chwilach, kiedy robak sondował jego umysł, Lawson odnosił często wrażenie, że intruza w szczególny sposób interesują wspomnienia o Annie, jego tęsknota i rozpacz; czuł się zmuszany do tego, żeby przypominać sobie w najdrobniejszych szczegółach jej postać i ich wspólne życie. Wspomnienia te sprawiały mu niewysłowiony ból, zaś ich owocem była stworzona przez robaka imitacja.

Odebrał Harveya od opiekunki i przygotowywał w kuchni obiad z mrożonek, kiedy otworzyły się prowadzące do piwnicy drzwi; odwrócił się, by ze zdumieniem zobaczyć stojącą w nich Annie. Jednak niemal natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że to nie ona, że to nawet nie ludzka istota, tylko jej potworna imitacja stworzona przez coś, co postrzegało świat oczami, ale nie potrafiło zrozumieć pewnych subtelnych szczegółów i związków, tworzących zindywidualizowany wygląd. Z całą pewnością jednak to m i a ł a być Annie i przyglądając się odrażającemu tworowi nie mógł się powstrzymać, żeby nie zacząć go z nią porównywać, korygując w myślach niedokładności i deformacje. W tej samej chwili na jego oczach twarz imitacji zaczęła się przekształcać i zmieniać zgodnie z jego poprawkami, tak że po kilku minutach stała przed nim niemal idealna kopia jego żony.

Niemal idealna, ale wciąż nie mająca nic wspólnego z człowiekiem. Lawsona ogarnęło potworne przerażenie i czując, że nie jest w stanie tego znieść, otworzył usta, żeby wykrzyczeć z całych sił swój strach, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Robak przejął kontrolę nad jego głosem i nakazał mu milczenie.

Odezwała się natomiast imitacja.

– Jaki... głos? – wyskrzeczała z trudem, a potem powtórzyła to samo piskliwym falsetem.

To chce się zapytać: „Czy mój głos brzmi tak jak głos Annie?", domyślił się Wylie Lawson. Boże, dlaczego?

– Czy mój głos brzmi tak jak głos Annie? – zapytała imitacja zupełnie normalnym, ludzkim głosem.

Oczywiście, że nie, pomyślał, przypominając sobie, w jaki sposób mówiła jego żona.

– Czy mój głos brzmi tak jak głos Annie? – powtórzyła po raz trzeci imitacja, tym razem rzeczywiście j e j głosem. Lawson poczuł się tak, jakby za chwilę miał zwymiotować albo zemdleć.

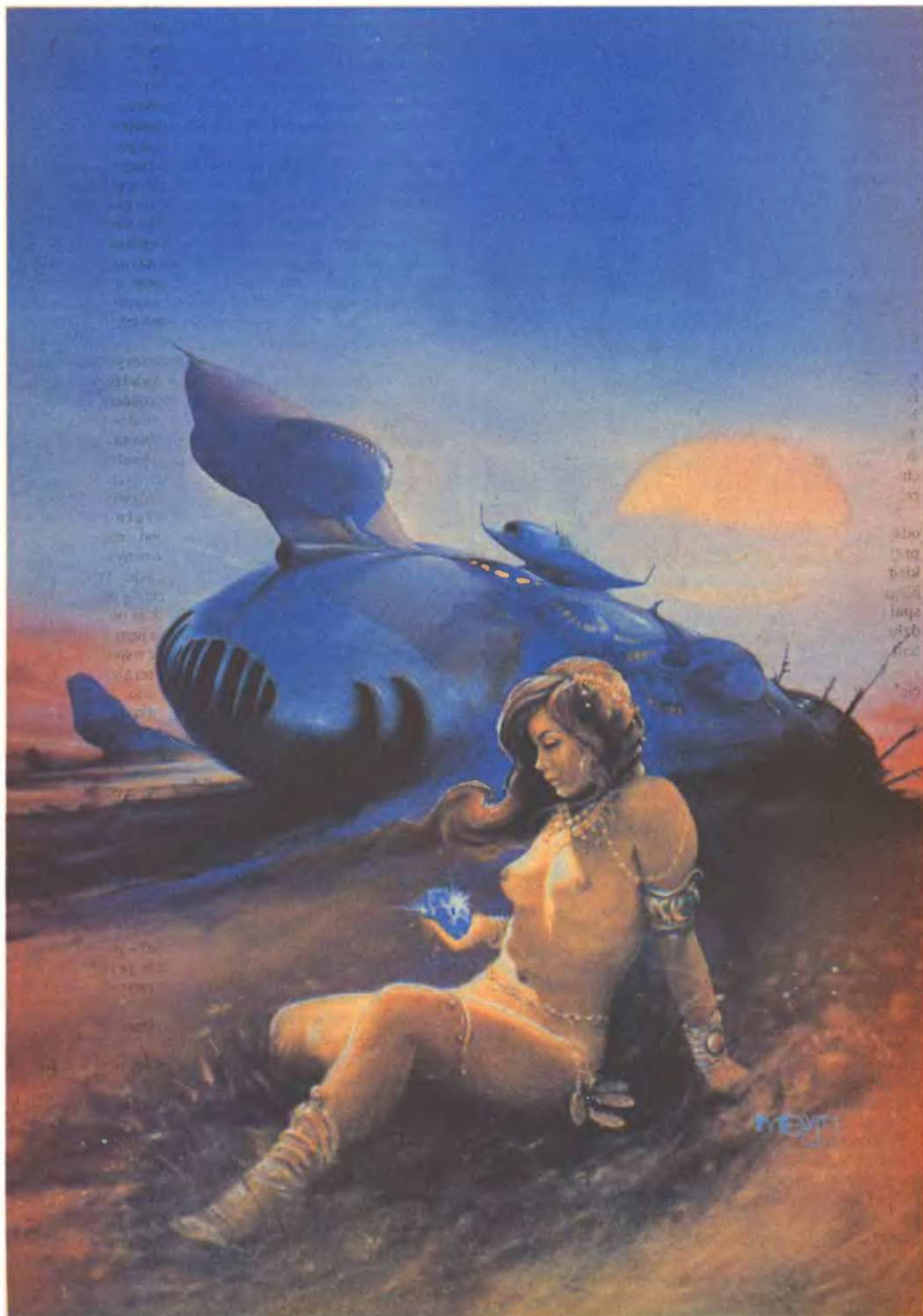
– Teraz codziennie będę Annie. I codziennie będę nią lepiej.

To chyba ma znaczyć, że ćwiczenie czyni mistrza, przemknęło mu przez głowę.

– Tak. Ćwiczenie czyni mistrza – potwierdził głos Annie.

Tego dnia robak stał się żoną Wylie'ego Lawsona i matką Harveya, i było tak przez dziesięć lat, aż do chwili, kiedy Wylie podjął próbę ucieczki i umarł na asfalcie. Początkowo przez kilka miesięcy mówił wszystkim, że jego żona nie czuje się dobrze i nie życzy sobie żadnych odwiedzin ani telefonów. Potem robak zaczął ostrożnie pokazywać się publicznie, co najpierw bardzo ucieszyło mocno zaniepokojonych przyjaciół, a następnie wprawiło ich w zdumienie. Zauważyli, że zmieniła się nie do poznania – nie chodziło o wygląd, bowiem nie znać po niej było ani śladu choroby, ale o osobowość. Zniknęły beztroski śmiech, skłonność do najrozmaitszych figli,

Melvyn Grant





serdeczna troskliwość, jednym słowem wszystko to, dzięki czemu tak ją wszyscy lubili. Nowa Annie była wyniosła, oziębła, roztargniona, powolna – po prostu nudna. Niewiele osób żałowało, że przestała w ogóle przychodzić na wieczorne przyjęcia i że ograniczyła wyraźnie swoją obecność na tych, które odbywały się w ciągu dnia.

Codziennie Wylie Lawson wychodził do pracy w odlewni a Harvey do szkoły. Żaden z nich, rzecz jasna, nie mógł nikomu powiedzieć o tym, co ich spotkało, a ich współpracownicy i koledzy z klasy zaczęli powoli uważać ich za dziwaków. Nie mieli przyjaciół: ojciec stracił swoich, zrażając ich do siebie kolejnymi opryskliwymi odmowami, zaś syn nigdy ich nie miał. Mogli liczyć tylko na siebie, wracając codziennie do uroczego, piętrowego domku, w którym rządził robak.

Dzielili jedną sypialnię, żeby móc jak najczęściej ze sobą przebywać, a także dlatego, że Wylie nie potrafił zmusić się do spania w pokoju, w którym mieszkała Annie. Przestawił łóżko do sypialni Harveya i tam właśnie rozmawiali tak długo, jak tylko mogli. Nie było to dużo: po zachodzie słońca, kiedy robak przybierał swoją zwykłą postać i zagrzebywał się w swej norze, żując pokarm, buszował po umyśle Wylie'ego wchłaniając to, co wydawało mu się interesujące. Po pewnym czasie wydawało się, że poznał już wszystko – nie tylko fakty, ale także emocje, obawy i wspomnienia. Z pewnością wiedział, że przed ucieczką powstrzymywała Lawsona jedynie miłość do syna; Wylie nieraz zastanawiał się nad tym i był przekonany, że zdołałby rzucić się przez okno lub wyskoczyć przed pędzący samochód, zanim robak zawładnąłby jego kończynami, ale nie uczynił tego, bowiem bał się o swoje dziecko.

Bracia Hodge, sp. z o.o., dbali o własne interesy. Kiedy Wylie Lawson z pełnego entuzjazmu, ambitnego młodego człowieka przeistoczył się nagle w odpracowującego pańszczyznę woła roboczego, nie spuszczającego z oka zegara i całkowicie bezradnego, gdy przychodziło mu zmierzyć się z jakimkolwiek zadaniem wykraczającym poza zwykły zakres jego obowiązków, jego przełożeni zareagowali początkowo troską i zdziwieniem, potem nerwowością i gniewem, a wreszcie rezygnacją. Posadzili go przy biurku, na którym leżał kalkulator, stały dwa pudełka, jedno z napisem DO ZAŁATWIENIA, drugie z napisem ZAŁATWIONE i przydzielili najprostszą, urzędniczą pracę – wypełnianie ksiąg i mechaniczne przekładanie papierków, pożyteczną, ale nieskomplikowaną i nie związaną z niemal żadną odpowiedzialnością. Z roku na rok stawał się coraz bardziej dziwny: niesamowicie chudy, wynędzniały, nerwowy i przygnębiony. Był też coraz bardziej nietowarzyski i zgorzkniały.

Kiedy robak przybierał ludzką postać, wolał porozumiewać się i wydawać polecenia przy użyciu głosu. Nie chciał jednak lub nie potrafił nauczyć się czytać, więc Wylie i Harvey spędzili wiele godzin czytając mu na głos i odpowiadając najlepiej, jak potrafili na dotyczące lektury pytania. Robak oglądał także telewizję i również żądał wyjaśnień. Był niezwykle dokładny w zbieraniu informacji na interesujące go tematy; po pewnym czasie Wylie zauważył, że jego największą ciekawość wzbudzają zagadnienia związane w jakiś sposób z problemem utrzymania go przy życiu, zapewnienia bezpieczeństwa i utrzymania jego istnienia w jak najściślejszej tajemnicy.

Początkowo próbował czasem go wypytywać, żeby dowiedzieć się czegoś na temat jego pochodzenia i zamierzeń, a także, czy on i jego syn mieli już na zawsze pozostać jego niewolnikami.

Skąd przybyłeś?

Przybyłem? Nie przybyłem. Tutaj.

Tutaj? Gdzie? Ten kraj? Planeta? Ten dom?

Ten dom. Pod tym domem.

Jak się tam dostałeś?

Dostałem? Nie dostałem. Byłem.

Zawsze?

Tak. Chyba nie. Może.

Kim jesteś?

Jestem (obraz robaka w jego naturalnej postaci).

Są jeszcze inni, tacy jak ty?

(Podniecenie). *Wystarczy. Koniec pytań.*

A więc są.

Wystarczy. Jestem tylko ja. Wystarczy.

I to było wszystko. Jeżeli kontynuował pytania, spotykała go surowa kara. Niewiele więcej osiągnął próbując z innej strony.

Dlaczego nam to robisz?

Żeby się chronić.

Przecież przedtem nic ci nie groziło, prawda? Nikt nie wiedział, że tutaj jesteś.

To konieczne. To... cykl.

Co jest konieczne? Żebyś zajął miejsce ludzkiej istoty?

Tak. Teraz ludzka istota. Ty mnie chronisz.

Ale jak długo jeszcze? Boże, jak długo?

To cykl. To konieczne.

Nigdy nie udało mu się nic więcej dowiedzieć, nie zdołał uzyskać wyjaśnienia, dlaczego dotknęła go ta potworna tragedia. Cierpiał przez długie, ponure lata, nie znając przyczyny pojawienia się robaka, ani powodu, dla którego stał się jego niewolnikiem. Trwało to dziesięć lat, aż wreszcie nie wytrzymał i spróbował się wyrwać.

Policjant odprowadził Harveya do drzwi, zadzwonił i powiedział:

– Przywieźliśmy chłopca, proszę pani. Przykro mi z powodu pani męża. Zawiadomiliśmy już Hostetlera, żeby przyjechał po... Hm, żeby przyjechał. Może pani do niego zadzwonić, żeby wszystko... eee... ustalić. Do widzenia.

Radłowóz odjechał.

Harvey wszedł do domu, poruszając się niczym nakręcana lalka. Robak zatrzasnął drzwi i rozluźnił uchwyt; chłopiec padł bezwładnie na podłogę. Dopiero po kilku minutach zdołał doczołgać się do krzesła i usiadł na nim, ciężko dysząc.

– Teraz porozmawiamy – powiedział robak. – Od tej pory musisz przejąć rolę swojego ojca i chronić mnie. Będziemy się utrzymywać z pieniędzy za ubezpieczenie. Będziesz dalej chodził do szkoły. Wszystko musi wyglądać normalnie. Nie wolno ci nikomu powiedzieć o moim istnieniu. Gdybyś spróbował, zrobię ci t o.

Zdołał już wiele się nauczyć o ludzkim umyśle i uczuciach. Harvey poczuł nagle, że wpada w bezdenną otchłań straszliwej, samobójczej depresji; przez chwilę znajdował się w pustce, którą można było porównać jedynie z przestrzenią międzygwiezdną, w samotności przesyconej bólem, rozpaczą i beznadziejnością. W rzeczywistości był to zwykły stan jego umysłu, wzmocniony i powiększony do maksymalnego natężenia. Nie mógł się z tym równać nawet najgorszy, fizyczny ból. Harvey wiedział z absolutną pewnością, że drugi raz już by tego nie wytrzymał.

– Zrobię, co zechcesz – powiedział. O mało nie dodał: „Będę grzeczny, mamusiu".

Życie, jakie było, toczyło się nadal i powoli mijały kolejne lata. Zmizerowany, spięty młodzieniec o twarzy wstrząsanej nerwowymi drgawkami uczęszczał pilnie na wszystkie lekcje, najwyraźniej nie przywiązując żadnej wagi do szyderstw, jakich nie szczędzili mu jego koledzy. Po zajęciach natychmiast wracał do domu, gdzie aż do zachodu słońca czytał robakowi książki i odpowiadał na jego pytania. Kiedy robak zagrzebywał się w swojej jamie, zmuszał się do przełknięcia czegokolwiek, odrabiał lekcje, po czym kładł się do łóżka, gdzie zawsze bardzo długo czekał na sen. Leżał, pogrążony w rozpaczy, żalu i nienawiści, starając się z całych sił znaleźć jakieś wyjście, gotów nawet popełnić samobójstwo, przed którym wzdragał się jego ojciec, ale cały czas w najdalszym zakątku swego umysłu czuł leniwą obecność czuwającego bez przerwy strażnika, który zdawał się już być niemal jego nierozerwalną częścią, towarzysząc mu swoim oślizłym dotknięciem bez chwili przerwy, we śnie i na jawie.

Mieszkali w brudzie, bowiem ani Harvey, ani robak nie mieli pojęcia o tym, jak należy dbać o dom. W powietrzu unosił się przykry odór, a każda powierzchnia była pokryta grubą warstwą kurzu. Kuchnia stanowiła jeden śmietnik, pełen brudnych naczyń, gnijących odpadków i najróżniej-

szych resztek. Trawnik zarósł chwastami, okna kurzem, aż wreszcie nic prawie nie było przez nie widać, zaś nie naprawiana dziura w dachu powiększała się po każdej ulewie. Psuły się kolejne urządzenia, ale nikt się o to nie troszczył. Dywany zrobiły się śliskie, wszędzie walały się sterty śmieci. Harvey kąpał się tylko w szkole, po gimnastyce, zaś podczas wakacji nie kąpał się w ogóle. On również cuchnął. Wiedział o tym, ale było mu wszystko jedno.

Skończywszy szkołę nie poszedł ani do pracy, ani na studia. Żył jak pustelnik, opuszczając swoją zaniedbaną samotnię tylko po to, żeby kupić coś do jedzenia dla siebie i warzywa dla robaka. Mając dwadzieścia trzy lata przedstawiał sobą zaiste dziwny widok: nędznie ubrany, cuchnący strach na wróble, dotknięty jąkaniem, nerwowymi drgawkami i paraliżującą nieśmiałością. Mimo to ów zdecydowanie nieatrakcyjny osobnik znalazł, usidlił i pokazał mieszkańcom miasta tak oszałamiającą piękność, iż wszyscy byli pewni, że przybyła prosto ze świata filmu i telewizji.

Rzecz jasna, był to robak. Pewnego dnia wezwał Harveya i powiedział:

– Nadszedł czas. Twoja matka teraz umrze, a ty niebawem znajdziesz sobie żonę. Zadzwoń do... – sięgnął do jego pamięci, żeby znaleźć odpowiednie słowo – ...przedsiębiorcy pogrzebowego. Powiedz mu, że twoja matka umarła i żeby przyjechał ją pochować.

Harvey wpatrywał się w robaka ze zdumieniem.

– Umarła? Pochować? Jak to? Czy to znaczy, że ty... Że ty umrzesz?

– Mam ciało – odparł robak. – Przyniosłem je. Leży w kuchni. Idź i zobacz.

Na podłodze w kuchni leżało ciało jego matki. Ręce miała przyciśnięte do boków, oczy zamknięte, a twarz i ubranie pokryte grubą warstwą kurzu. Harvey przyjrzał się jej uważnie.

– Ona żyje! – wykrzyknął w pewnej chwili.

Na ciele nie było widać żadnych oznak śmierci, nie mówiąc już o upływie dziesięciu lat. Pod warstwą kurzu policzki wciąż jeszcze były rumiane, a ciało wydawało się jędrne i zdrowe. Wyglądała bardzo młodo.

– Nie żyje – powiedział robak. – Nie żyje od dziesięciu lat. Zakonserwowałem jej ciało.

– Ale dlaczego? – zapytał przez łzy Harvey. – Dlaczego chcesz ją teraz pochować?

– Zadzwoń do przedsiębiorcy – powtórzył robak, a ta jego część, która na stałe zamieszkała w umyśle Harveya, poruszyła się ostrzegawczo.

Harvey zrobił, co mu kazano.

Kiedy wrócił po pogrzebie do domu, zastał robaka wciąż w znienawidzonej postaci fałszywej matki.

– Jeszcze tu jesteś? – zapytał. – Przecież przed chwilą cię pochowaliśmy. – Był to chyba jedyny, ponury żart, jaki powiedział w swoim życiu.

– Ostatni raz – odparł robak. – Teraz będę kimś innym. Będziesz miał żonę.

– Żonę? Ale jeśli zależy ci tylko na tym, żeby tu mieszkać, to czy to ci nie wystarczy? Przecież możesz wyglądać jak... Tak, jak teraz.

– Wrócę do mojej jamy – powiedział robak. – Nikt nie może zobaczyć mnie w tej postaci. Będziesz przynosił mi jedzenie, tak jak zawsze.

Po dwóch miesiącach powrócił jako telewizyjne bóstwo.

Tym razem nie musiał eksperymentować z twarzą i głosem; bóstwo pojawiło się w pełni uformowane, cudowne, o uwodzicielskim, łagodnym głosie. Stanowiła połączenie cech najwspanialszych aktorek i była doskonale piękna. I doskonale ludzka, ale o tym można się było przekonać dopiero spędziwszy jakiś czas w jej towarzystwie, a poza domem pokazywała się rzadko i nieregularnie.

Zmiana nie wpłynęła w żaden sposób na życie Harveya. Podczas dwóch miesięcy, które robak spędził w swojej jamie, lepki dotyk w mózgu był wciąż taki sam, zaś polecenia, choć może nieco rzadsze, nie straciły nic ze swojej bezwzględności. Nowe przebranie ciemiężyciela nic dla niego nie znaczyło; w imitacji nie widział olśniewającej piękności, podziwianej przez innych ludzi, podobnie jak wcześniej nie widział w niej swojej matki. Nawet na nią nie patrzył, bo przecież była z nim zawsze, niezależnie od tego, jak wyglądała. Nie mógł się uwolnić od obecności robaka, a jego fizyczna postać nie miała dla niego żadnego znaczenia.

Czekało go jeszcze siedem lat, siedem lat ukradzionych z jego życia, z jego człowieczeństwa. W chwili, kiedy nadszedł koniec, miał dwadzieścia siedem lat, z czego dwadzieścia trzy spędził we władzy robaka. Nigdy nie umówił się na randkę z dziewczyną, nie spędził ani jednej nocy poza swoim zrujnowanym domem, nie przeczytał żadnej książki dla własnej przyjemności, nigdy z nikim się nie zaprzyjaźnił. Prawie oduczył się mówić; rzadko widywał kogokolwiek oprócz robaka. Była to ponura, beznadziejna parodia życia.

Nadszedł dzień, kiedy robak powiedział:

– Jutro jedziemy. Dopilnuj, żeby samochód był w porządku.

Nie było w tym nic niezwykłego; od czasu do czasu Harvey zabierał żonę do miasta na zakupy, albo sam jeździł po stanowiące pokarm robaka warzywa. Przypuszczał, że te wycieczki miały na celu nadanie ich życiu pozorów normalności i nie dopuścił do tego, żeby zaintrygowani mieszkańcy miasta doszli do wniosku, że trzeba przyjrzeć się dokładnie temu, co się dzieje w domu Lawsonów.

– Fatalna pogoda – powiedział.

– Zajmij się samochodem – powtórzył robak.

Harvey poszedł do garażu i uruchomił silnik. Stary samochód był bardzo zaniedbany – wydawał różne dziwne odgłosy i potwornie kopcił, ale działał. Harvey drżąc z zimna siedział za kierownicą, aż niepokojące odgłosy ucichły, a dym nieco się przerzedził, po czym wyłączył silnik i brnąc przez śnieg powlókł się do domu.

– Naprawdę fatalna pogoda – powiedział do robaka. Nie otrzymał odpowiedzi.

Następnego dnia śnieg ciągle padał, a w dodatku zerwał się porywisty wiatr. W telewizji powiedzieli, że temperatura spadła do dwunastu stopni Fahrenheita.

– Opony są prawie zupełnie łyse, bez bieżnika – powiedział Harvey. – Będziemy się ślizgać. A w tym śniegu widoczność jest bardzo kiepska.

– Masz rację. Zobaczę, może śnieg przestanie padać.

Po południu nic się nie zmieniło.

– Nie mogę dłużej czekać – oświadczył robak. – Uruchom samochód.

Harvey prowadził ostrożnie w białej zamieci.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Na cmentarz. Na grób twojej matki.

Harvey myślał, że nie jest już zdolny do żadnych uczuć oprócz nienawiści, wściekłości i żalu, ale tym razem jeszcze raz poczuł zdumienie.

– Nie wiem, czy trafię – powiedział. – Byłem tam tylko dwa razy.

– Zapytamy kogoś.

Okazało się, że jednak pamięta drogę, która zresztą wcale nie była skomplikowana: prosto Donley Street, a potem wyboistą, boczną drogą do samego cmentarza – w sumie jakieś pięć lub sześć mil. Samochód prychał, czkał i zarzucał na zakrętach. Było bardzo zimno. Dmuchawa prawie nie działała,



Bob LEMAN

Współczesny autor amerykański. W numerze 10 z roku 1988 drukowaliśmy jego oryginalne i piękne opowiadanie o wampirze „Pielgrzymka Clifforda M." Nowe opowiadanie Lemana demonstruje tę samą wrażliwość – za klasycznym tematem spotkania cywilizacji kryje się obraz człowieka wyobcowanego, uwięzionego, zrozpaczonego, obarczonego straszliwą tajemnicą, której nie może zdradzić. W opowiadaniu Lemana bardzo wyraźnie widać romantyczny i surrealistyczny rodowód SF, a dobrą ilustrację do tekstu mogłaby stanowić słynna grafika Muncha „Krzyk". Co więcej, opowiadanie to mogłoby stanowić odpowiedź na niepokojące pytanie, dlaczego ten ktoś krzyczy.

L.J.

Melvyn Grant



a zimny wiatr wciskał się do środka przez szpary w przerdzewiałych drzwiach i podwoziu. Harvey szczękał zębami, nie czując prawie zaciśniętych na kierownicy dłoni i spoczywających na pedałach stóp. Zerkał na robaka, zastanawiając się, czy jemu też dokuczał przenikliwy mróz.

Pokonanie tych kilku mil zajęło im ponad godzinę. Droga prowadziła głównie z góry, dzięki czemu mogli nabrać dość rozpędu, żeby pokonać nieliczne podjazdy. Kiedy zatrzymali się przed bramą cmentarza, Harvey czuł pod pachami i na dłoniach krople lodowato zimnego potu.

Robak wysiadł z samochodu, przez chwilę stał bez ruchu, po czym ruszył zdecydowanym krokiem przez sięgający powyżej łydek śnieg. Szedł idealnie prosto, jakby wiedział dokładnie, dokąd się kieruje. Zniknął w zamieci, a Harvey wygramolił się na zewnątrz i zaczął przytupywać, usiłując się rozgrzać uderzeniami ramion.

Po godzinie robak pojawił się nagle wśród szalejącej burzy i usiadł na swoim miejscu. Głowę i ramiona miał pokryte śniegiem. *Jedź już. Szybko.* Myślał do niego, nie mówił. W sposobie, w jaki wydał to polecenie było coś nowego, czego na razie jeszcze Harvey nie potrafił nazwać. Może zmęczenie?

– Po co tam poszedłeś? – zapytał.

To było konieczne. Ważne. Milcz. Pośpiesz się.

W tę stronę zjeżdżali z góry, więc z powrotem czekały ich głównie podjazdy. Łyse opony ślizgały się, buksowały, a chwilami w ogóle traciły przyczepność. Harvey musiał wtedy ostrożnie cofać i ponownie atakować wzniesienie, biorąc rozpęd na w miarę równym odcinku drogi. Była to ciężka i irytująca praca, więc nic dziwnego, że kłębiąca się od tylu lat w jego duszy wściekłość zwróciła się na moment przeciwko drodze i samochodowi. Po dwóch nieudanych próbach pokonania bardziej stromego niż inne pagórka cofnął się, żeby spróbować po raz trzeci, kiedy usłyszał kategoryczne, niemal bolesne polecenie: *Szybciej. Musisz wjechać.* Jego wściekłość sięgnęła zenitu.

– W porządku! Dobra, ty śmierdzący robalu! – ryknął.

Wdusił pedał gazu w podłogę. Jakimś cudem koła odzyskały przyczepność i samochód ruszył pod górę. W trzech czwartych podjazdu koła zaczęły znowu buksować; należało w tym momencie zmniejszyć moc silnika, ale Harvey nie potrafił już logicznie myśleć i nie uniósł stopy. Koła obracały się coraz szybciej, aż wreszcie tył samochodu zaczął uciekać w bok. Harvey cały czas nie zmniejszał gazu i silnik wył na najwyższych obrotach. Poślizg trwał nadal i w pewnej chwili samochód stanął w poprzek szosy.

W tym samym momencie robak zorientował się w grożącym niebezpieczeństwie i błyskawicznie przejął całkowitą kontrolę nad ciałem Harveya. Jego stopa zwolniła pedał gazu, przenosząc się na hamulec. Silnik zgasł, samochód zaczął toczyć się do tyłu, coś łupnęło, jeszcze raz, tylne koła wjechały do rowu, po czym zapadła cisza.

Harvey siedział bez ruchu, porażony odrazą i szokiem, a potem jego ciałem zaczęły targać potworne skurcze. Robak wysłał do jego ciała impuls znacznie silniejszy, niż był w stanie przyjąć; przestała działać koordynacja mięśni, więc polecenie uruchomienia silnika zaowocowało jedynie gwałtownymi ruchami nadgarstka i zmianą wysokości niesamowitego dźwięku, który cały czas wydobywał się z ust Harveya. Robak zauważył to i na chwilę całkowicie się wycofał, pozostawiając go obolałego i zadyszanego. Kiedy zorientował się, że Harvey wraca do sił, natychmiast, zdesperowany i natrętny, pojawił się w jego umyśle.

Musimy natychmiast wracać do domu. Za godzinę zajdzie słońce. Wydostań nas stąd.

Harvey wysiadł i obejrzał zagrzebane w rowie koła.

– Nic z tego. Muszę iść po pomoc.

Nie. Nie nie nie. Wydostań nas.

– Mówię ci, że nic z tego. Przecież wiesz, bo jesteś w mojej głowie.

Więc idź. Szybko. Szybko. Czuł wyraźnie desperację i... czyżby strach? Sprawiło mu to przyjemność.

– Wrócę najszybciej, jak tylko będę mógł – powiedział.

Miał zamiar iść bardzo wolno, żeby maksymalnie przedłużyć jego niepewność, ale robak odebrał mu władzę nad ciałem i zmusił do szybkiego biegu. Od chwili ostatniego przejazdu pługa dopadało dwa lub nawet trzy cale śniegu i teren był bardzo trudny, szczególnie dla takiego prowadzącego siedzący tryb życia i żywiącego się ochłapami lektora książek jak Harvey. Po przebyciu ćwierć mili płuca i nogi odmówiły mu posłuszeństwa; szlochając i chwytając łapczywie powietrze padł bez sił na drogę.

Robak, teraz już bez wątpienia przerażony, szalał w jego umyśle. *Wstawaj! Wstawaj! Biegnij!* Harvey zaczął się czołgać, ale niemal od razu zerwał się na nogi i ruszył biegiem. Zanim upadł, zdążył pokonać zaledwie kilka stóp. Ponownie zerwał się, ale tym razem przewrócił się niemal natychmiast. Jego nogi i ręce nie przestawały się poruszać, chociaż w znacznej części były to ruchy zupełnie bezproduktywne. Znowu się podniósł...

Potem już tylko się czołgał. Coś stanęło mu na drodze; próbował to odsunąć, ale nie mógł. Potrząsnął głową i zamrugał, żeby zobaczyć, co to jest. Słup. Niedobrze. Nie da rady przesunąć słupa. Spojrzał wyżej i dostrzegł wiszącą na słupie skrzynkę pocztową. Skrzynka. Gdzieś w pobliżu musi w takim razie być dom. Może mają ciągnik. *Szybciej, szybciej,* krzyczał rozpaczliwie robak.

Jęcząc i łkając zatoczył się w kierunku drzwi. Zaczął walić w nie pięścią, a kiedy otworzyły się, runął po raz kolejny na ziemię i stracił przytomność.

Odzyskał ją na chwilę w karetce. Słyszał myśli robaka: *Jest za późno słońce zachodzi umrę jeżeli nie znajdę ciepłego miejsca nie mogę w mojej prawdziwej postaci żyć na zimnie słońce zachodzi umieram...* Ponownie ogarnęła go błogosławiona ciemność.

Obudził się w szpitalu, w ciepłym pokoju, w miękkim łóżku, koło którego stała ładna pielęgniarka.

– Co się stało? – zapytał.

– Zemdlał pan wczoraj wieczorem przy farmie Detweillerów. Sam wezwał karetkę.

– A co mi... Co mi jest?

– Właściwie nic. Zemdlał pan z powodu zimna i wyczerpania. Lekarz mówi, że jest pan w nie najlepszej formie. Musi pan dużo jeść i zażywać ruchu, ale to nic groźnego. Lekarz przyjdzie około dziesiątej. Myślę, że pana wypisze.

Wyszła z pokoju.

Harvey rzeczywiście czuł się dobrze, nawet bardzo dobrze, niemal znakomicie. Czegoś mu jednak brakowało, czegoś, bez czego nie był zupełnie sobą... Oczywiście, że nie był sobą. Do tej pory zawsze czuł się podle, a teraz czuł się świetnie. Dlatego, że...

Dlatego, że robak wyniósł się z jego umysłu. Boże, on naprawdę zniknął! Lepki dotyk, obrzydliwa obecność towarzysząca mu od czwartego roku życia – wszystko zniknęło! Robąk odszedł! A może... Czy to możliwe? Może zginął? To by było dopiero wspaniale!

Zjadł z wilczym apetytem nędzne, szpitalne śniadanie, wziął od lekarza wypis i pomaszerował do domu. Zdumiała go ruina, w jakiej się znajdował. Kiedy wszedł do środka, zaszokował go panujący w środku brud, smród i nieporządek. Zerknął przypadkiem do lustra i niemal załamał się swoim niechlujnym wyglądem. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jeszcze wczoraj wszystko to wydawało mu się zupełnie normalne. Teraz nareszcie mógł rozkoszować się wolnością.

Ciesząc się, wciąż jeszcze nie był w stanie do końca uwierzyć w jej nadejście. Kiedy zaglądał po kolei do wszystkich pomieszczeń w domu, jakby widząc je po raz pierwszy, przyłapał się na tym, że cały czas oczekuje w napięciu na niespodziewane polecenie lub karę. Robak wyniósł się z jego umysłu, to prawda; ale czy na pewno nie żył? Musiał się co do tego upewnić.

Nie był przyzwyczajony do samodzielnego rozwiązywania problemów, bo nigdy w życiu nie musiał tego robić. Dojście do wniosku, że osiągnąć swój zamiar może tylko wtedy, jeśli odszuka samochód, zajęło mu sporo czasu. Zaraz zresztą pojawiła się nowa zagadka: jak ma tam dotrzeć. Ostatecznie postanowił wziąć taksówkę i niebawem znalazł się przy swoim samochodzie, zepchniętym tymczasem do rowu przez pług śnieżny.

Samochód był pusty. Drzwi po stronie pasażera były szeroko otwarte i na siedzeniu oraz na podłodze nagromadziło się sporo śniegu. Obszedł samochód dookoła; żadnego śladu, śnieg po obydwu stronach drogi był nienaruszony, ale to nic nie znaczyło; robak mógł opuścić samochód – i zapewne tak uczynił – kiedy jeszcze trwała zamieć. Dokąd mógł pójść?

U podnóża drugiego wzniesienia, w odległości kilkuset jardów zaczynała się czarna ściana lasu; jeżeli ma szukać, to równie dobrze może zacząć właśnie stamtąd. Popędził w dół zbocza i wszedł między drzewa.

Śnieg był tutaj znacznie płytszy, a po pewnym czasie Harvey dostrzegł podejrzanie symetryczny pagórek. Zaczął kopać; niebawem jego dłonie natrafiły na coś twardego. Ze zdwojoną energią odrzucał śnieg, odsłaniając skryty pod nim przedmiot.

Robak. Czerwonobrązowy, chitynowy pancerz zdawał się świecić własnym blaskiem. Harveya ogarnęła panika, podchodząc mu do gardła falą mdłości, wprawiając w drżenie kończyny i pozbawiając resztek sił, tak że z trudem mógł utrzymać się na nogach. Nie rzucił się jednak do ucieczki; został, wpatrując się z zapartym tchem w swego wroga. Robak nie poruszył się. Z pewnością nie żył. Zacisnął zęby, objął go oburącz i z całej siły szarpnął go do góry.

Okazał się niespodziewanie lekki, niemal nieważki. Przeleciał kilka stóp w powietrzu i upadł na grzbiet. Harvey spiął się cały do ucieczki – niewiele by mu dała, gdyby robak dysponował swoją dawną mocą – ale nic się nie stało. Powoli, krok za krokiem podszedł i przykucnął, nachylając nisko twarz.

Skorupa była pusta.

Nie żyje! Wszystko jedno, zjedzony przez zwierzęta, czy zniszczony działaniem nieznanych reakcji chemicznych. Nie żyje!

Mógł wreszcie odpłacić za długie lata przerażenia, frustracji i tłumionej nienawiści; w radosnej, bezmyślnej gorączce kopnął skorupę, a potem skoczył na nią, tłukąc z całej siły ułamaną z powalonego drzewa gałęzią. Okazała się cienka i bardzo krucha, być może z powodu zimna; trzasnęła, rozpadając się na niezliczone, rozsypane w śniegu fragmenty. Nie żyje!

I taki już pozostał, chociaż Harveya często chwytał w swe szpony potworny lęk, że robak może znowu się pojawić. Kiedy jednak czas mijał i nic nie wskazywało na taką możliwość, ataki strachu stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie nawiedzały go od przypadku do przypadku jedynie w nocy, kiedy robak pojawiał się w przerażających snach. Harvey budził się wtedy, wstawał z łóżka i spacerował po domu, znajdując ukojenie w czystości i porządku, panujących we wszystkich pomieszczeniach. Postukał w betonową plombę, która wypełniała dziurę w ścianie piwnicy, obejrzał dokładnie swoją twarz w lustrze, przejrzał wiszące schludnie w szafie ubrania, a czasem wziął prysznic i ogolił się. Wszystko to pomagało mu odzyskać równowagę; potrzebował fizycznych dowodów swego nowego życia i odzyskanej wolności.

Przemiana w normalnego człowieka nie była łatwa, ani też nie mogła zakończyć się całkowitym sukcesem. To, co się z nim działo, trwało zbyt długo i za wcześnie się zaczęło. Zawsze już miał pozostać trochę dziwny: nie bardzo potrafił zachować się w towarzystwie innych ludzi, ani oni w jego, nie umiał płynnie mówić i precyzyjnie myśleć, nie był w stanie osiągnąć długotrwałej koncentracji, niezbędnej podczas nauki. Mimo to uczynił znaczne postępy na drodze ku temu, żeby stać się normalnym obywatelem. Znalazł pracę (wspaniałomyślni bracia Hodge zatrudnili go jako chronometrażystę), próbował czytać najróżniejsze samouczki, zajął się kręglami i pielęgnacją swego trawnika, stał się miłośnikiem filmów komediowych i z samozaparciem usiłował rozbudzić w sobie zainteresowanie zawodowym futbolem.

Bardzo chciał być normalnym, przeciętnym człowiekiem. Chciał zapomnieć o czasie, kiedy znajdował się we władzy robaka. Co prawda nie było to możliwe, ale kiedy zaczął chodzić do kościoła (a nigdy wcześniej tam nie bywał), przekonał się, że nawet pierwsze, niezobowiązujące kontakty z wiarą stanowią dla niego wielką pomoc w rozprawieniu się z okrutną przeszłością.

Nadeszła i minęła kolejna zima. Nocne koszmary pojawiały się już bardzo rzadko, a w pracy Harvey dostał podwyżkę. Stosował dietę przepisaną w książce, którą polecano w jakimś telewizyjnym show, co w połączeniu z fizyczną pracą przy sprzątaniu domu i pielęgnacji trawnika przyczyniło się do wyraźnej poprawy jego kondycji fizycznej. Powoli uczył się uśmiechać, a nawet zaczął nieśmiało adorować pewną pracującą razem z nim w odlewni kobietę – prostą, trochę skrytą, podobną do niego. Widywał ją codziennie w pracy, a każdej niedzieli w kościele i sądził, że może być dobrą żoną. Jej niczym nie wyróżniającą się urodę uważał za jedną z jej zalet; doświadczenia z robakiem uprzedziły go do olśniewających piękności.



Janusz Gutkowski

Zaczęli jadać wspólnie lunch w niedzielę po mszy, czując się w swoim towarzystwie coraz bardziej swobodnie i przekonując się, że im dłużej ze sobą rozmawiają, tym więcej mają sobie do powiedzenia. Każde z nich chciało wiedzieć wszystko o tej drugiej, cudownej osobie.

Jedna z rozmów dotyczyła rodziców.

– Oboje nie żyją – powiedział Harvey. – Dlatego mieszkam sam.

– Tak mi przykro. Czy... Czy to już dawno?

– Jak miałem siedemnaście lat. – Prawdziwe okoliczności były zbyt skomplikowane, żeby miał je teraz wyjaśniać, a zresztą nawet gdyby spróbował jej o wszystkim opowiedzieć, bez wątpienia wzięłaby go za szaleńca.

– Czy są tutaj pochowani? – zapytała.

Harvey skinął głową.

– A troszczysz się o ich groby? Wyrywasz chwasty i w ogóle?

Była to rzecz, która nigdy nie przyszła mu na myśl; jedna z luk w jego wiedzy o tym, jak żyją ludzie.

– Nie – odparł. – Nie wiedziałem, że powinienem.

– W takim razie pójdziemy tam w następną sobotę – powiedziała. – Nie można zaniedbywać ich grobów.

– Dobrze – skinął głową Harvey. Kocham ją, pomyślał. Nauczy mnie wszystkiego, o czym powinienem wiedzieć. Dzięki niej stanę się normalnym człowiekiem.

Wzięli ze sobą rydle, nożyce, motykę, grabki, dwa kwiaty w doniczkach, sierp i drugie śniadanie. Harvey nie miał pojęcia, gdzie znajdują się groby, ale cmentarz nie był zbyt wielki i na mogiłę jego ojca natrafili po bardzo krótkich poszukiwaniach. Ponieważ od dwudziestu lat nikt się nią nie opiekował, była pokryta plątaniną martwych i żywych chwastów, sprawiając wrażenie opuszczonej i zapomnianej.



O, Boże. Bierzmy się do pracy.

Po kilku godzinach grób zmienił całkowicie swój wygląd. Wrócili wówczas do samochodu, wyjęli jedzenie i rozłożyli koc na trawie w zacienionym miejscu. Panowała tam niezwykła cisza, przerywana jedynie rozlegającym się co chwila śpiewem ptaków. Harvey poczuł, jak ogarnia go fala zadowolenia i spokoju, uczuć których nigdy do tej pory nie dane mu było zaznać.

– Kocham cię – odezwał się niespodziewanie. – Bardzo cię kocham. Wyjdziesz za mnie?

A ona odpowiedziała:

– Oczywiście, Harvey.

Objęli się mocno; dwoje życiowych rozbitków, którzy na przekór wszystkiemu odnaleźli w sobie kogoś, kogo warto było kochać.

Nagle znalazła się cała masa spraw, które trzeba było natychmiast omówić, więc kiedy przypomnieli sobie, że mają jeszcze coś do zrobienia, słońce chyliło się już ku zachodowi. Schowali koszyk z resztkami posiłku do samochodu, po czym wyruszyli na poszukiwanie grobu jego matki.

Żadne z Lawsonów nie miało w miasteczku rodziny, a że oboje umarli w młodym wieku i nie zdążyli zatroszczyć się o miejsce pod rodzinny grobowiec, pochowano ich w dużej odległości od siebie, na przeciwległych krańcach cmentarza; ta jego część, w której leżała jego matka, została otwarta krótko przed jej pogrzebem. Tu właśnie przyszedł robak, żeby złożyć w jej brzuchu jajko.

Zwłoki matki Harveya nie były w gruncie rzeczy zwłokami; przez te wszystkie lata tliło się w niej spowolnione w niewyobrażalny sposób życie, podtrzymywane dzięki wstrzykniętemu przez robaka jadowi. Miała żyć, aby dostarczyć pokarmu małej, uzbrojonej w potężne zęby istocie, która wykluła się z jaja i zaczęła jeść. I rosnąć.

Tego ciepłego, czerwcowego popołudnia szli przez cmentarz trzymając się za ręce i odczytując napisy na nagrobkach.

– Za wolno nam to idzie – powiedziała po pewnym czasie. – Rozdzielmy się i szukajmy w różnych miejscach.

– Dobry pomysł – odparł. Były to ostatnie słowa, jakie ktokolwiek od niego usłyszał.

Zakończywszy poszukiwania na obszarze, który sobie wyznaczyła, obejrzała się, żeby sprawdzić, jakie postępy poczynił Harvey. Stał bez ruchu, wpatrując się w jedną z mogił.

– I jak tam? – zawołała. – Znalazłeś?

– Nie odpowiedział. Pospieszyła w jego kierunku, a gdy się przy nim znalazła, spojrzała na tabliczkę; to był rzeczywiście grób jego matki. Przeniosła wzrok na niego i wtedy zaczął się koszmar.

Jego twarz była pusta, bez żadnego wyrazu.

– Harvey? – zapytała nieśmiało, a potem głośniej, z przerażeniem: – H a r v e y?

Nie zareagował ani teraz, ani nawet później, kiedy krzyczała, szarpiąc go za ramię i gdy w popłochu pobiegła do samochodu, żeby sprowadzić z miasta pomoc.

Przyjechał ambulans i zabrał nieszczęsnego katatonika, którego umysł nie był w stanie znieść szoku, jaki wywołał ohydny, przerażająco znajomy głos, który przemówił do niego z grobu. Nie miał żadnych szans na ucieczkę. Jego świadomość natychmiast się cofnęła, zagrzebując się błyskawicznie w pokładach umysłu, coraz głębiej i głębiej, bezustannie się kurcząc, aż wreszcie była już tylko drobniutkim pyłkiem unoszącym się w najgłębszej, najczarniejszej otchłani. I tam miała pozostać.

A prosta, młoda kobieta, która właściwie owdowiała zanim jeszcze zdążyła wyjść za mąż, powróciła do szarego, bezcelowego życia, jakie prowadziła zanim spotkała Harveya, rozpaczając nad straconymi tak nagle nadziejami. Opłakiwała go tak, jakby nie żył – bo pod każdym względem można go było uznać za martwego – i pogodziła się z tym, że jedyna okazja na to, żeby zaznać w życiu trochę szczęścia, zgasła wraz ze światełkiem płonącym w jego umyśle. Stała się nawet jeszcze bardziej ekscentryczna niż do tej pory.

W rok później zjawiła się na cmentarzu z kwiatami, które chciała złożyć na mogiłach rodziców Harveya, pragnąc w głębi duszy (chociaż bała się do tego przyznać nawet przed sobą), żeby jeden z tych grobów był także i j e g o grobem, dzięki czemu te kwiaty byłyby również dla niego. Położyła bukiet na mogile ojca, po czym przeszła do drugiego grobu, uczyniła to samo i zatrzymała się na chwilę z pochyloną nisko głową.

Stojąc samotnie w spowijającej cmentarz ciszy drgnęła nagle i wyprostowała się, sztywna niczym posąg. Niespodziewanie, bez żadnego uprzedzenia jej umysłem zawładnęła emanująca z grobu moc, a obcy, ohydny głos wyszeptał: *Teraz powiem ci co masz robić.*

Cykl trwał nadal.

Przełożył **Arkadiusz Nakoniecznik**

*...Północą przelatał anielski posłaniec. I cichą pieśń śpiewał niebiosom bez granic...**

Oczywiście, że to plagiat. Ale nie sposób precyzyjniej przekazać słowami widoku, który można było spostrzec z południowego stoku Smoczej Grani o zachodzie pewnego niezapomnianego lipcowego dnia. W zmierzchającym niebie drżała blada jeszcze Gwiazda Polarna, przypominająca zamgloną plamkę światła mdłej lampy ulicznej na gładkiej powierzchni zatoki.

Aż nagle, od strony gwiazdy przez ciemny lazur nieboskłonu powoli przepłynął w stronę równika biały anioł. Jego srebrzyste skrzydła połyskiwały różowym odblaskiem słońca, które skryło się już za horyzontem. Ostatnie jego promienie płonęły ognistymi iskrami w złotych, kędzierzawych puklach anioła. I rzeczywiście śpiewał on cichą pieśń. W jaki sposób można wyjaśnić tak wielką zgodność z klasycznym tekstem? Może aniołowie mają zwyczaj pętać się po falach wolnego eteru z pieśnią na ustach i kryształową lutnią w delikatnych palcach?

Należy tu stwierdzić, że ów stary smok nie był takim sobie zwykłym, reliktowym gadem. W przeciwnym bowiem razie, skąd w jego olbrzymim, guzowatym łbie mogłyby się pojawić takie radykalne myśli? Był to władca smoczego ludu, król tej rozległej i bogatej krainy, a jego tytuł brzmiał: Jego Drakońska Wysokość Smokról Ósmy.

Rządził od niepamiętnych lat, przywykł do władzy jak do własnego ogona i dlatego nie miał najmniejszej wątpliwości, że wszelkie, nawet najbardziej mgliste koncepcje, które wylęgły się w jego mądrej głowie, winny być wprowadzone w życie.

Z tym właśnie zamiarem powrócił na marmurowe pokoje swojego pałacu. Tam, jak co wieczór, wychylił czarę nalewki z żółci zawistnika na jadzie żmij cmentarnych (wspaniale działa na trawienie), opisał swoje samopoczucie pełnemu szacunku nadwornemu medykowi i wezwał do siebie Sekretarza-Doradcę (w skrócie SD). Sekretarz-Doradca wszedł z zaaferowaną miną trzymając pod lewym skrzydłem safianową teczkę z bieżącymi dokumentami. Ale Jego Drakońska Wysokość tylko machnął na dokumenty, co wcale SD nie zaskoczyło. Zaskoczyła go natomiast dalsza rozmowa.

Ludmiła Koziniec

Pazury anioła

(Kogti angieła)

No cóż, obojętne jak tam było, w każdym razie leciał, śpiewał i wzniesionymi ku górze oczyma wyniośle nie dostrzegał tego, co dzieje się na grzesznej ziemi.

Był to widok wyjątkowej piękności i nic dziwnego, że oddziałał on na uczucia starego, mądrego smoka, który wygrzewał swoje zgrzybiałe kości w nagrzanej przez cały dzień skalnej kotlince na górskim zboczu. No a jak my byśmy zareagowali na widok lecącego anioła? Popatrzylibyśmy na niego, wzruszyli ramionami i wrócilibyśmy do naszych codziennych zajęć. Leci sobie anioł, to niech sobie leci. Jego sprawa.

Ale jak już wspomniano wyżej, smok był stary i w związku z tym sentymentalny. Dlatego właśnie widok bezgrzesznego posłańca niebios wydobył zeń spazmatyczne westchnienia, palące łzy i głęboki żal.

Oto, pomyślał smok, prawdziwie doskonały i szczęśliwy twór Pana. Ani strach, ani namiętność, nienawiść, głód, ni chciwość nie nękają jego pełnej błogostanu duszy, a umysł jego zwrócony jest ku wyżynom poznania i nienagannej harmonii. I nie ma w jego idealnie zrównoważonym jestestwie miejsca na bezsensowne uczucia, które miotają żałosnymi mieszkańcami ziemi.

Z tą ponurą refleksją zwrócił smok tęskne spojrzenie na dolinę, gdzie po ukończeniu swych dziennych zajęć liczne smocze plemię szykowało się do spoczynku.

Zobaczył, jak pod mirtowym krzewem trzech smarkatych wyrostków z krwiożerczym rykiem wybija denko zgrabnego krągłego antałka. Wkrótce dołączył do nich czwarty, który przywlókł skradzionego barana. Starzec z obrzydzeniem obserwował, jak młode smoki rwały kłami i pazurami nieszczęsne zwierzę smarując przy okazji uszczęśliwione pyski krwią, jak opróżniły antałek, jak wywiązała się leniwa, ale wstrętna bójka, jak uganiały się za szacowną smoczycą. Ostatecznie zasnęły chrapiąc pod mirtowym krzakiem utraciwszy zupełnie przyzwoity wygląd.

Jakież to godne ubolewania, myślał stary smok. Dokąd zmierza nasz wspaniały ród? Jakże niskie i niegodne jest nasze życie! Należy bezzwłocznie zacząć działać, aby pradawny naród nasz mógł osiągnąć ogród na wysokościach, ogólną harmonię i szczęście.

Smokról Ósmy przymknął z rozmarzeniem żółte, skórzaste powieki i oznajmił kapryśnym tonem.

– Mój ty łuskowaty, nadzwyczaj się nam sprzykrzyło, że w ogrodzie rosną te wstrętne, powykrzywiane i kłujące kaktusy. Natychmiast usunąć to obrzydlistwo!

– Tak jest!

– Uprzątnąć kamienie, nawieźć żyznej ziemi...

– Tak jest!

– I zasadzić tam... eee... zasadzić... Ciekawe, a co rośnie w ogrodach Edenu?

– Przepraszam, gdzie?

– W ogrodach Edenu, gamoniu!

– Pokornie melduję, że nie wiem.

– No to niech się dowie! I w ogóle, proszę mi przygotować na jutro niewielkie memorandum o ogrodach Edenu, ogrodzie na wysokościach i o aniołach. Z ilustracjami!

Nieszczęsny SD wypełzł z gabinetu jak omdlały lunatyk. W przedpokoju kucnął na ogonie i długo przychodził do siebie. Z uprzedzającą grzecznością pochylił się nad nim komendant ochrony Smobor.

– Stary chyba ma... tego... – wyszeptał SD zapominając o ostrożności. – Aniołków mu się zachciało.

– Wezwać specgrupę? – zapytał rzeczowym tonem Smobor.

– Chociaż ty nie głupiej! – jęknął błagalnie SD. – Dawaj mi akademika, szybko!

Dostarczono mu rozchełstanego, siwego smoczego kurdupelka, najgłówniejszego akademika o imieniu Smofim.

– Co ma pan o aniołach? – rzucił się na niego SD, który zdążył już jakoś się pozbierać.

– Wierszyki, prosz...

– Cooo?

– Za pozwoleniem, litanie, modlitwy, pieśni, utopie, bajki, ballady, kancony, ronda, elegie...

– I co, to wszystko u nas występuje? – z zawodową zręcznością przysunął się Smobor.

– Ależ skąd, jakże tak można... To zagraniczna, że tak powiem, literatura, a także folklor. A u nas – skądże? U nas tylko cherlawe smoczęta przezywają aniołkami. Mnie też, w rozkosznym dzieciństwie... hi, hi...

* *Michał Lermontow: „Anioł". Przeł. M. Jastrun.*

– Ładny mi aniołek – wysyczał wściekle SD. – Słuchajcie no, Snofim, jutro, tak koło południa, kiedy Jego Drakońska Wysokość raczy zwrócić swoją szlachetną uwagę na sprawy państwowe, mam mieć w pazurach treściwe informacje o aniołach i temu podobnych. Jasne?

– A jakże... Poproszę telefonik, ja zaraz...

Smofim wykonał kilka rozmów telefonicznych i zręcznie zwalił całą robotę na referentów.

Czujny Smobor nie wypuścił akademika z przedpokoju, ale okazał wzgląd na jego siwiznę – polecił przynieść koc, poduszki i wiadro jadu giurzy. SD denerwował się przez całą noc, mierzył krokami przedpokój i z wysiłkiem przypominał sobie wszystko, co wiedział o aniołach. Ale do głowy pchało się coś niedorzecznego i niezbyt pocieszającego. SD wmawiał sobie ze wszystkich sił, że to po prostu zawodzi go pamięć.

Rankiem, ostrym wirażem opadł na balkon dziarski goniec z akademii. Podał Smofimowi plik papierów, szczęknął pazurami po parkiecie i wybył.

SD rzucił się zapamiętale na papiery i szybko rozdzielił je na trzy mniej więcej równe stosiki.

– Tak – oznajmił kładąc pazurzastą łapę na jednym z nich. – Ten pokażemy Jego Drakońskiej Wysokości w pierwszej kolejności. Ten, jeżeli najmiłościwiej raczy się dokładnie zainteresować problemem. A ten, czcigodny Smofimie, możecie sobie zabrać i dać jak trzeba po karku temu mądrali, który wpieprzył do anielskiej dokumentacji najrozmaitsze plotki o życiu i rozrywkach rusałek Jan-Czy, metodykę pilotażu na lotni i atlas anatomiczny muchy tse-tse. To wszystko! Jesteście wolni!

Przez następne dwa tygodnie życie Sekretarza-Doradcy pełne było kłopotów. Czasami, kiedy otrzymywał kolejny rozkaz Jego Drakońskiej Wysokości, popadał w stan całkowitego osłupienia. Stwierdzić należy, że docierały doń zaiste zadziwiające polecenia – zasadzić w ogrodzie anemony i narcyzy, dostarczyć do komnat lutnię, zdobyć recepturę ambrozji oraz nektaru, i temu podobne.

Co się dzieje?! – zadawał sobie pytanie Sekretarz-Doradca i nie znajdował odpowiedzi. A to był jeszcze drobiazg, mięta, że tak powiem...

Smokról Ósmy jednak przeczytał wszystkie dostarczone mu materiały na temat aniołów. Któż by przypuszczał... Sekretarz-Doradca bardzo liczył na naturalną starczą sklerozę, ale jego kalkulacje strasznie go zawiodły. Przeklęte białe anioły głęboko zapadły w ponurą wyobraźnię Jego Drakońskiej Wysokości i opanowały wszelkie jego myśli. I stawiając pierwszy krok na wytyczonej przez siebie drodze, Smokról zwrócił się pewnego razu do swego niezastąpionego sekretarza: „Mój najdroższy..."

Biedny SD wpadł w histerię – jego, który dwanaście już lat strzeże progu władcy, nie dosypia, nie dojada, trwa na posterunku i w gotowości, oddany do szpiku kości i końców pazurów, przezwano najdroższym! Ale Smokról Ósmy nie dał Sekretarzowi-Doradcy czasu na skomplikowane konflikty wewnętrzne. Powiedział:

– Najdroższy mój, zaproście mi tu Wielką Radę. No, powiedzmy na jutro, w południe.

Wielka Rada zebrała się o wyznaczonej porze. Zajadłe, o zmatowiałej ze starości łusce smoki z trudem poznawały się nawzajem – Rada dawno już nie zbierała się w pełnym składzie. Najwidoczniej tym razem Smokról miał zamiar zakomunikować swoim poddanym coś rzeczywiście ważnego.

W oczekiwaniu na kolejne historyczne wystąpienie swego władcy członkowie Wielkiej Rady żarłocznie spoglądali na wąskie, boczne drzwiczki, z których zazwyczaj wysuwano przed audiencją stoły z poczęstunkiem. Smoki z rozrzewnieniem wspominały pasztety z wątroby ojcobójcy, pieczone w całości kaszaloty, faszerowane jaja ptaka Roka, ogromne puchary napełnione krwią dziewic. Miał nawet miejsce uprzejmy spór dwóch smakoszy, z których jeden twierdził, że krew brunetek posiada o wiele wyższe walory smakowe niż krew blondynek. Jego oponent pozwalał sobie nie zgadzać się z przedmówcą. Natomiast ich poglądy na temat nie dającego się wysłowić bukietu kipiącej lawy z sopki Kluczewskiej były całkowicie zgodne.

Boczne drzwi istotnie się otworzyły i zgodnie z ustalonym zwyczajem, młode smoczyce wytoczyły stoły. Smoczyce były



Jacek Jabłoński

ubrane jakoś dziwnie – w szerokie, białe szaty całkowicie ukrywające figurę. Na ich wdzięcznych główkach widniały wzruszające wianuszki z różyczek. Członków Wielkiej Rady specjalnie to nie zdziwiło – cóż, może taka obecnie panuje dworska moda. Z tym można się było jakoś pogodzić. Ale tego, co Wielka Rada zobaczyła na stołach, zaakceptować w żaden sposób się nie dało.

Na dobrze znanej królewskiej porcelanie z monogramami dostojne smoki nie znalazły żadnego z tradycyjnych dań. Zamiast tego...

Na długich półmiskach leżały wspaniałe bukiety narcyzów, sałata i rzeżucha. W srebrnych czarach piętrzyły się naręcza białych lilii i błękitnych lotosów. Wspaniałe bochny chleba obsypane ziarenkami kminku i kolendry roztaczały nieznane tu przedtem aromaty. W pucharach rozsiewała blaski słodka amrita. A na dobitkę najwyraźniej zapachniało kadzidłem.

Oszołomiona Wielka Rada, wbijając wzrok w nowe dziwactwa monarszej kuchni, nawet nie zauważyła pojawienia się samego Smokróla Ósmego. Ten natomiast przyjrzawszy się żałobnym minom swoich dworzan obłudnie słodkim, ale wyraźnie jadowitym tonem powiedział:

– Co się z wami dzieje dziateczki moje najmilejsze? Od kiedy to gardzicie królewskim chlebem i solą?

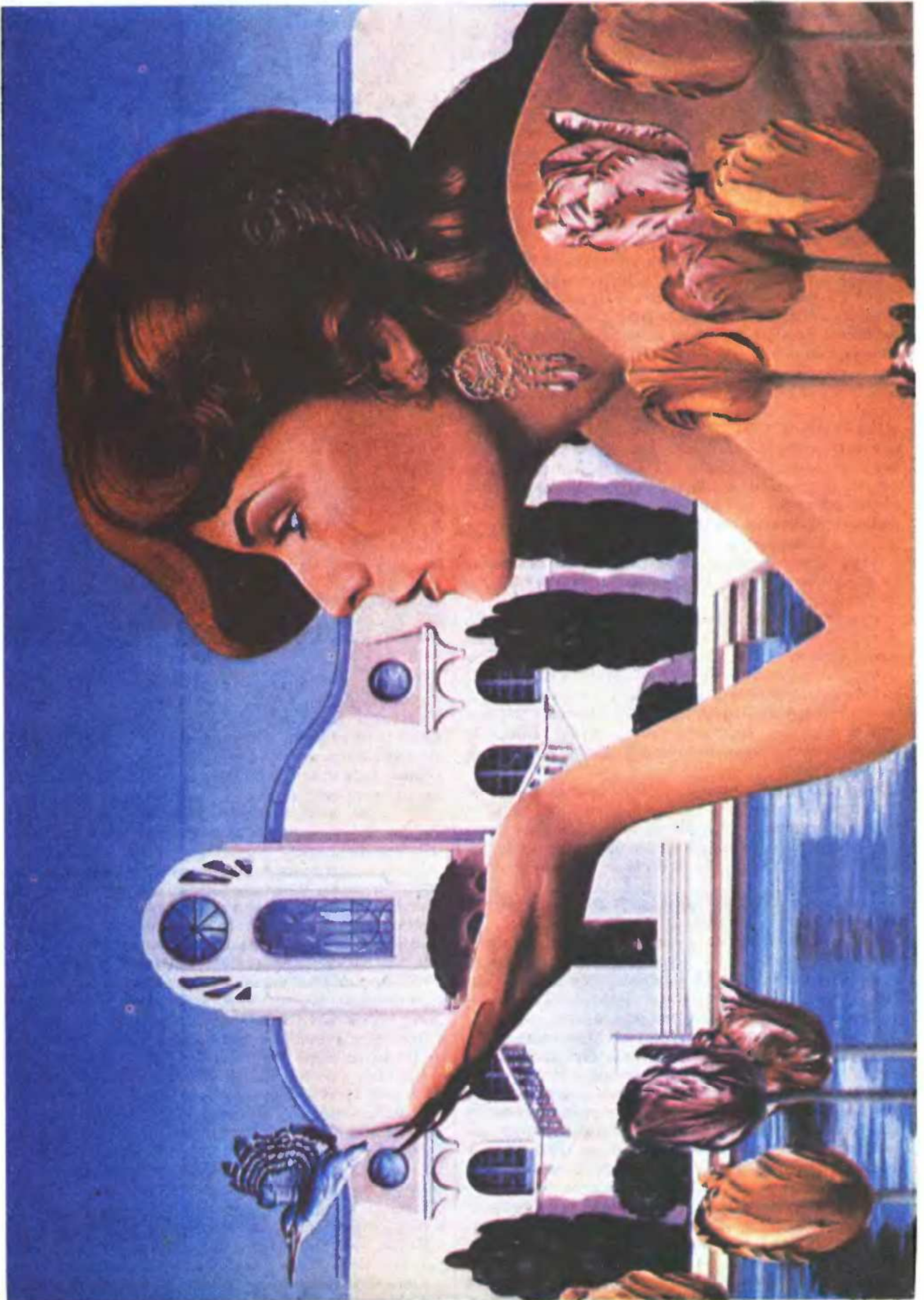
Po takich słowach dwór w milczeniu rzucił się na poczęstunek. Smokról Ósmy z satysfakcją obserwował, jak znikają ze stołów chleby, lilie i lotosy. Nie bez złośliwości patrzył, jak ze źle skrywanym obrzydzeniem wydłubywał spomiędzy kłów żółtą lilię wodną leciwy wódz naczelny Smopoleon.

Ponieważ jednak już od dawna na dworze nie znano się na żartach, wegetariański obiad został posłusznie zjedzony, obrażająca zaś smak każdego szanującego się smoka amrita wypita przy akompaniamencie rzucanych w myśli przekleństw.

Całkowicie załamana psychicznie poczęstunkiem Wielka Rada w ciszy wysłuchała pokornie maleńkiego koncertu. Mło-

☞

Melvyn Grant



de smoczyce w jasnych szatach przebierały diamentowymi pazurkami struny harf i jak można najwyższymi głosami śpiewały – „Wejdź w mój przedziwny, rajski ogród...”

Dworacy zupełnie nie mogli pojąć, co się w gruncie rzeczy dzieje. Smokról natomiast patrząc na swoich wiernych poddanych, którzy zbili się w gromadkę pośrodku sali audiencyjnej, powoli dochodził do stanu wrzenia na swym łożu tronowym. Z podwiniętymi ogonami, opuszczonymi skrzydłami zadziwiająco przypominali zmokłe nietoperze.

– Co? Nie podoba się?! – ryknęła Jego Drakońska Wysokość. – Ugrzęźliście w grzechu i rozpuście, i wzniosła sztuka wam nie odpowiada? Ja was... ja wam... Nauczę was kochać wszystko co jasne i piękne. Skórę z was zedrę, ale zrobię z was anioły! Jesteście wolni! Na razie!...

I członkowie Wielkiej Rady po otrzymaniu od Sekretarza-Doradcy powielonych już materiałów, tych samych, które przygotowała grupa Smofima, wypełzli do przedpokoju. Wódz naczelny Smopoleon dostrzegł na pierwszej kartce adnotację „Do bezwzględnego wykonania” i rzekł prosto, po żołniersku.

– Koniec, chłopaki.

I runął w głębokim omdleniu.

A potem w smoczym królestwie zapanował kompletny rozgardiasz. Lud został obdarowany najwyższym dekretem, który ogłaszał program całkowitego przekształcenia obywateli w anioły w ciągu trzech lat. Po niewielkim, w pełni zrozumiałym oszołomieniu, lud pośpieszył z gorącym odzewem na nowe dobrodziejstwo Jego Drakońskiej Wysokości, który w niewysłowionej łasce swojej w dzień i w nocy troszczy się o szczęście swoich poddanych. Odzew ten uzewnętrznił się w manifestacjach i marszach z pochodniami przed pałacem. Z entuzjazmem przyjęto dalej idący plan – smocze społeczeństwo podjęło podwyższone zobowiązania i wyraziło wolę zostania aniołami w ciągu dwóch i pół roku.

Periodyki i gazety rozchwytywano. Wielką popularnością cieszył się naukowy artykuł Smofima o starym, genetycznym pokrewieństwie aniołów i smoków. A więc i te i tamte mają skrzydła, te latają i tamte również, wcale nie gorzej. Natomiast pióra anielskich skrzydeł to nic innego jak przekształcone w wyniku ewolucji łuski smoków.

– Patrzcie no – dziwiły się smoki. – Coś podobnego... A my nie wiedzieliśmy i zeszlibyśmy ze świata w tej niewiedzy.

Dlaczego więc w takim razie te anioły zadzierają nosa? Czasem spotkasz takiego w przestworzu, to nawet się nie przywita, przeleci przez ciebie, jakby nie widział. No, teraz pokażemy im, kto jest aniołem! Ależ poszybujemy w górę!

Z pełną pompą odbył się pokaz nowej kolekcji domu mody – chitony, muślinowe draperie, najrozmaitsze futerały, dzięki którym skórzaste narządy lotne starodawnych gigantycznych gadów zupełnie nieźle udawały skrzydła serafinów i cherubinów. Już następnego dnia światowe smoczyce paradowały na przyjęciach w nowomodnych strojach, choć z braku przyzwyczajenia nieco się w nich plątały.

Pewne przygnębienie wywołała wydana pośpiesznie broszurka nadwornego medyka Smotryta o szkodliwości mięsnej diety. W godnych poetyckich strof zwrotach nadworny medyk wynosił pod niebiosa doskonałą jakość wegetariańskich środków spożywczych – nektaru, ambrozji, pyłku kwiatowego. Ale niewiele czasu pozostało na przygnębienie, jak również na wahania w rozwiązywaniu problemów gastronomicznych, bowiem z masarni i sklepów podejrzanie szybko zniknęły tusze bawołów, słoni i w ogóle wszystkiego, co można było nazwać mięsem. W barach i restauracjach zapanował zwyczaj podawania mleka i soków owocowych. Chcąc nie chcąc trzeba się było przyzwyczaić.

Ale jak powiadają, bieda wszystkiego nauczy. Pewnego razu patrol legionu „Naprzód do anielizmu” zajrzał pod pewien adres uprzejmie zakomunikowany przez czujnego patriotę, który zapragnął utrzymać swoje nazwisko w tajemnicy. Płonący słusznym oburzeniem informator oskarżał swoich sąsiadów o gwałcenie zasad anielizmu wyrażające się w tajnym mięsożerstwie.

Patrol wtargnął i zastał imieniny pani domu w pełnym toku. Nad zastawionym do imieninowej uczty stołem w rzeczy samej unosiły się przestępcze aromaty. Gospodyni jednak nie straciła głowy. Przysiadając w głębokim reweransie przed dowódcą patrolu podała mu wielką czarę napoju, od zapachu którego dzielnemu kapralowi od razu zakręciło się w głowie.

– Co to takiego? – ryknął groźnie.

– Z pozwoleniem waszej miłości, kwas.

– Kwas?

– Właśnie tak. Tylko... najpokorniej proszę o wybaczenie, widzi pan, stał w cieple i dlatego, być może...

– Aha, w cieple! – i kapral zręcznie osuszył czarę jednym haustem.

A gospodyni, spowita fałdami błękitnego szyfonu, już podawała kapralowi talerz, na którym zarumienioną skórką połyskiwał bezczelnie pieczony królik.

– Mięso? – ryknął kapral.

– Ależ skąd, proszę pana... Mięso obciąża smoka, nie pozwalając mu osiągnąć anielskich wyżyn, jak mądrze zauważył nasz największy uczony Smofim. To, za pozwoleniem waszej miłości, tak zwany fałszywy królik – z makaronu i marchwi.

– Aha, z makaronu i marchwi... Cóż, to można, tego się nie zabrania.

Cieniutkie królicze kostki nawet nie zachrzęściły w zębach kaprala. Połknął królika w całości i z przesadnym zdziwieniem powiedział:

– Rzeczywiście, z makaronu i marchewki. Baardzo smaczne! W lewo zwrot, chłopaki, tu wszystko w porządku.

I patrol oddalił się krokiem marszowym.

Na głównym placu patrol zatrzymał się na chwilę przy Królewskim Muzeum Sztuk Pięknych, z którego drzwi wylatywały na bruk wykonane w Żółtej Krainie obrazy i zwoje jedwabiu z podobiznami lśniących smoków. Zamiast nich w salach galerii rozwieszone były płótna malarzy Kraju Pomarańczy, specjalizujących się prawie wyłącznie w malowaniu aniołów.

Zza pobliskiego ogrodzenia przedszkola dobiegały głosy niezgrabnego chóru smocząt: „W jasne niebo społem lecim, Drakońską Wysokość sławim wciąż”.

Nad stadionem eskadra dobrze wyszkolonej młodzieży poznawała metodykę serafińskiego pilotażu. Z ziemi dobiegał ochrypły ryk kapitana drużyny: „Lżej, lżej! Żeby cię... przecież to nie anioł, ale latająca beczka! Gdzie się pchasz, idioto, kładź się na skrzydło, a potem płyyynny zwrot... Wzrok wznoś ku górze, cóżeś tak ślepia wytrzeszczył, ciemnoto?!”

Na centralnym rynku tłum aktywistek ruchu „Naprzód do anielizmu” długo i zażarcie kopał na wpół dzikiego ciemniaka z Czarcich Wąwozów, który nawet nie podejrzewając tego co dzieje się w stolicy, przywiózł na targ świeżą koninę. Wieśniak ten niezbyt interesował się polityką i nawet nie wiedział, że Czarcich Wąwozów też już nie ma, bowiem miejscowość ta nazywa się obecnie Pałac Cherubinów.

Patrol ukrócił nieporządki i trzymając chłopa pod wyłamane skrzydła zawlókł go do lochów pałacowych, aby tam w trakcie cichej, intymnej rozmowy wyjaśnić, czyje wrogie podszepty skłoniły pobitego półgłówka do takiego kroku.

Kapral zaczął od wybicia wieśniakowi dwóch kłów i kazał mu stać na baczność.

– No, gadaj, kto cię namówił?

– Do czego namówił?

– Kto cię, łajdaku, namówił, żebyś przywiózł do stolicy tę przeklętą koninę?

– Czemu „przeklętą”? – Wieśniak nawet się obraził. – Dobra koninka, panie kapralu, świeżutka. My zawsze...

– Mil-czeć! Ja ci pokażę – „zawsze”! Nie strugaj durnia, przejrzałem cię na wylot! Po co przywiozłeś mięso?

– Przecież my, panie kapralu, zawsze handlowaliśmy mięsem. I dziadek mój, i tatuś-nieboszczyk, i ja sam tyle już lat przywożę mięso do miasta i nigdy nic, zawsze byli zadowoleni...

– Otóż to. Wpadłeś bratku. Ładne rzeczy – twoja wredna rodzinka „zawsze” truła sławetne smocze plemię zabójczym dla zdrowia mięsem i przez to na wiele lat opóźniła triumf anielizmu. Dywersant z ciebie i twojego tatusia- nieboszczyka. Poczekaj! A skąd... wziąłeś to mięso?

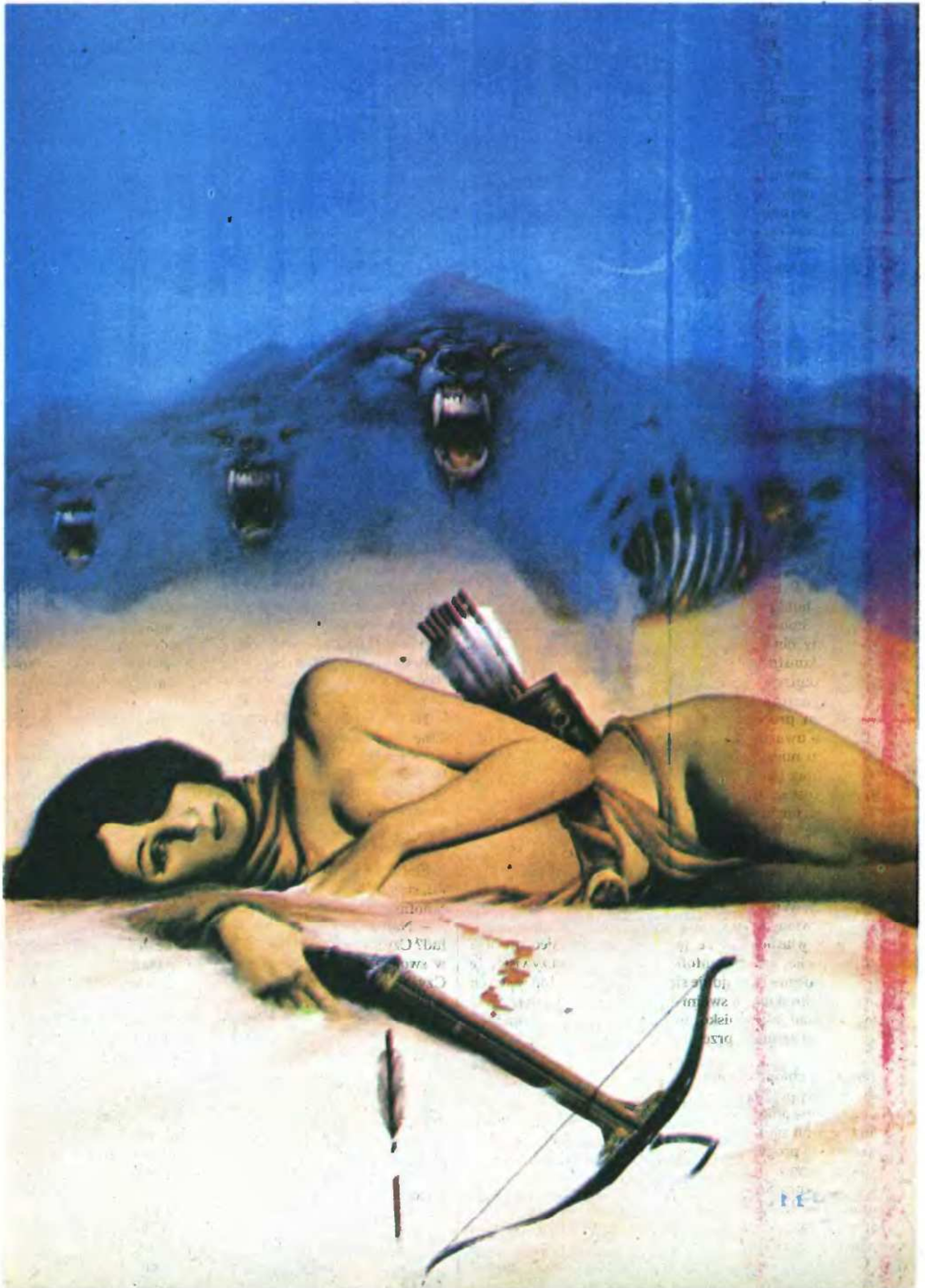
– A my, panie kapralu, zawsze polujemy w Południowym Stepie, a potem, znaczy się...

– Dosyć. Wystarczy. Na dodatek jesteś jeszcze szpiegiem. Za ile, ścierwo, sprzedałeś południowcom swoich braci-smoków, którym niewiele już brakuje do anielizmu? Weźcie mi go sprzed oczu i utopcie, nie mogę już na niego patrzeć.

W tym samym czasie głównodowodzący Smopoleon przeży-



Melvyn Grant



wał poważny dramat rodzinny. Jego żona, jedna z najpiękniejszych smoczyc kraju, odsunęła swego męża od małżeńskiego łoża.

Pewnego wieczoru Smopoleon we wspaniałym nastroju wszedł do sypialni swojej żony. Siedziała przy oknie w marzycielskiej pozie i patrzyła w gwiazdy. Łagodny wietrzyk bawił się wstążeczkami liliowego chitonu. Na dywanie leżała lutnia obsypana płatkami róż z rozsypanego bukietu. Smopoleon widząc zniszczony bukiet zaniepokoił się:

– Co się stało, kochana?

Małżonka wbiła wzrok w obraz przedstawiający archanioła Gabriela, który z miłym uśmiechem podawał białą lilię i odparła znudzonym tonem:

– Ach, odczep się.

Smopoleon miał zamiar pocałować żonę w łuskowate ramionko, ta jednak odsunęła się z poirytowaniem.

– Nie rozumiem?

– Zostaw mnie.

– Co się stało mojej żabce, mojemu maleńkiemu ptaszkowi? Czemu odpędza swego wiernego mężusia?

– Smopoleonie, jesteś durniem. Od tej pory drzwi mojej sypialni są przed tobą zamknięte raz na zawsze!

– Kochana, po cóż sięgać do tak drastycznych rozwiązań? Może omówimy wszystko spokojnie i dojdziemy do porozumienia? Czego pragnie moja ukochana? Nowego naszyjnika z ludzkich czaszek czy może etoli z futra ślimaków?

– Kretyn. Nie masz nawet odrobiny rozsądku, żeby pojąć, iż twoja żona jako najbardziej przodująca smoczyca kraju, całym sercem przyjęła idee anielizmu.

– Mam nadzieję, kochana. Ale co ma do tego nasza miłość?

– Miłość! Nie śmiej nazywać tym wzniosłym słowem swoich brudnych chuci! Jesteś złym obywatelem i złym poddanym, niedbale zapoznałeś się ze wskazówkami, które raczył ci dać Jego Drakońska Wysokość. Tam zaś napisano wyraźnie, że anioły... więc, jednym słowem, drzwi mej sypialni są na zawsze przed tobą zamknięte!

Mówiąc między nami, małżonka Smopoleona nie była jedyną smoczycą w kraju, która całym sercem przyjęła idee anielizmu. Właśnie dlatego w położonym pod fundamentem willi Smopoleona bunkrze zebrali się wkrótce ojcowie-założyciele Ligi Obrony Smoczyzmu. Był również obecny wychudły SD rozwścieczony obiadkami z rzeżuchy. Pierwsze posiedzenie Ligi było niekonstruktywne – wszyscy się skarżyli. Na lamentach i narzekaniach minęła cała noc. O świcie Liga zjadła dwa słonie, a potem rozjechała się.

Tymczasem proces anielizacji tryumfalnie kroczył przez cały kraj. Po uważnym zbadaniu wszelkich zebranych informacji o życiu mieszkańców ogrodu na wysokości, teoretycy szkoły Smofima poczynili interesujące wnioski – anioły jako takie są po prostu... aniołami. A w związku z tym nie jedzą, nie piją alkoholu, nie kradną, nie kłamią, nie zabijają i tak dalej, wszystko „nie". W dodatku zaś wysoko niosą sztandar. Ale dlaczego zachowują się tak anielsko? To bardzo proste – nie posiadają własności, która ma właściwość rozpalania niezdrowych instynktów. Jedyne, co posiadają to aureola, chiton, lutnia i sandały. Wniosek – precz z własnością we wszelkich jej odmianach i wtedy smoki staną się aniołami!

Ale jakąż własność może posiadać mieszkaniec miasta? Drzwi, zasuwkę, ranne pantofle i nocnik? To oczywiste, że źródło wszelkiego zła znajduje się na wsi, gdzie chłop w swych rewirach myśliwskich, w swoim domu nad bogato zaopatrzoną piwnicą siedział jak panisko, w kaszę nikomu nie dmuchał i wcale nie miał zamiaru przeradzać się w anioła. Było mu dobrze i tak.

I dopóki ci chłopi-skąpiradła nie wyrzekną się swojego dobytku, prędzej potężne państwo smocze zobaczy własne uszy niż powszechną anielizację i obywatele jak byli, tak będą dalej nieokrzesanymi smokami.

Zarządzono program rozsmoczenia wsi.

Rozsmoczono...

Do Ligi Obrony Smoczyzmu wstąpił w trybie nagłym wybitny pisarz Smopir. Na drugim tajnym zjeździe patrząc z obrzydzeniem na zastawiony trawkami (w celach konspiracji) stół deklamował namiętnie.

– Co się dzieje, bracia? Pragnę być smokiem i nikim innym! Nasze sławne plemię istniało zupełnie zadowalająco przez tysiące lat, dlaczego więc teraz ma ono zniknąć? Żyliśmy sobie nie najgorzej, aż tu macie! Z woli tkwiącego w marazmie sklerotyka... proszę na mnie nie syczeć, generale Smopoleonie! Powtarzam – z woli tkwiącego w marazmie sklerotyka, który ze względu na swój nieżyt żołądka może obyć się owsianką, że nie wspomnę już o smoczycach, sami wiecie... Z jego kaprysu naród nasz pozbawiony został wszystkich przyrodzonych praw! Gdzież to ktoś widział, żeby zmuszać smoka do jedzenia siana! Żeby zabraniać mu swobodnych polowań w południowych stepach! A na domiar złego okazuje się, że te przeklęte anioły są bezpłciowe i rozmnażają się nie wiadomo jak. I co dalej robić? Nie potrafię rozmnażać się nie wiadomo jak! Naród nasz wymrze w ciągu najbliższych stu lat z powodu wegetariańskiej diety i anielskiej moralności. A sąsiedzi nas wyśmieją!

– Masz rację, bracie – roniąc skąpą łzę oświadczył Smopoleon. – Wczoraj chciałem się udusić. Przyjechałem do koszar „Alfa", wyszedłem na plac i własnym oczom nie mogłem uwierzyć. Garnizon stoi w trójszeregu, trzepoce białymi skrzydełkami, w łapach lutnie i takimi obrzydliwymi głosami śpiewają psalm. Tfu! Pora umierać, koniec smokom.

– A wokół króla kręci się ta smofimowska banda – ponuro zakablował Sekretarz-Doradca i wydmuchał nos w chusteczkę o rozmiarach prześcieradła. – Do obu uszu mu szepczą – ach, Wasza Drakońska Wysokość, jakże pięknie wygląda pan z tymi cudownymi skrzydełkami, z tą wspaniałą aureolą nad olśniewającym czołem!

– Jaka aureola? Co, może stary od tych postów zaczął się już świecić?

– Ależ skąd. Aureolka z drutu, wysadzana diamentami. W jakiś sposób przymocowali mu nad głową, a stary cieszy się jak dziecko. A oni mu wciąż – Wasza Drakońska Wysokość już jest prawie serafinem. Wkrótce zaczną go nazywać archaniołem. Stary rozpływa się, we wszystko wierzy, uczciwie tylko kwiatuszkami się żywi. Ale tamci... Przechodzę wieczorem obok kuchni, patrzę – leży zakrwawiona barania skóra. Aha, myślę sobie. I specjalnie przypadkowo trafiam na obiad. No i co myślicie? Mięso wcinają! Po prostu zaniemówiłem na taką bezczelność! Ale Smofim patrzy mi czule w oczy, bierze pod łokieć i meczy – a to, powiada, wcale nie mięso, jak się to może panu wydaje. To nowy syntetyczny produkt spożywczy, wszyscy zaś ucztujący to ochotnicy, którzy wystawiają na szwank swoje zdrowie po to, aby zbadać ów produkt, którym wkrótce zostanie zasypany cały smoczy rynek, jeżeli eksperyment zostanie pomyślnie zakończony. Co mi on wciska? Myśli, że mięsa nie widziałem?

Na dźwięk słowa „mięso" wszyscy konwulsyjnie przełknęli ślinę.

– W takim razie w ogóle nie rozumiem, po co to Smofimowi było potrzebne? – zapienił się Smopoleon.

– Jak to po co? Podbija staremu bębenka, przytakuje nowej bzdurze, staruszek zbliżył akademika do swojej osoby i Smofim jest teraz pierwszym doradcą króla. S-s-s-specjalista do spraw aniołów...

Ślepia Smopoleona zapłonęły mrocznym ogniem żądzy mordu, stalowoszare pazury obnażyły się powoli. Marnie byłoby ze Smofimem, gdyby się tutaj teraz znalazł.

– Najbardziej dziwię się, moi panowie, dlaczego milczy lud? Czyżby lubił przeżuwać na śniadanie lilie wodne i widzieć w swojej smoczycy nie żonę, ale towarzyszkę w anielizmie? Czyżby kły nam stępiały, a pazury nie świerzbiły? – Smopir uwielbiał piękne zwroty oratorskie.

– Licho wie, to jakiś fenomen. Rozumiesz, bracie, nikt się nie zdążył połapać. A poza tym zastanów się – Smokról panuje od niepamiętnych czasów. Przywykli do posłuchu. A mówiąc między nami, pazury świerzbią. Kapral z patrolu się wygadał – nie wszystko układa się tak cicho i spokojnie jak nas zapewnia „Goniec poranny". Kapral był zdrowo wymiętoszony. W nocy, powiada, starali się zwinąć jakiegoś smoka na przedmieściu. Nakryli go, kiedy rozszarpywał ukradzionego z zoo tygrysa – z głodu można się połakomić na byle co. Patrol rzucił się na biedaka, ale ten, doprowadzony do ostateczności, kaprala poturbował, patrol rozpędził i tyle go widzieli.

– O, proszę! Są jeszcze bohaterowie! Dopóki istnieją tacy jak ten dzielny nieznajomy, duch smoczy nie zginie!

– Niech pan na razie wstrzyma się z tymi odami. To jeszcze nie wszystko. W prowincji Kobra powstanie.

– No? To dlaczego tu jeszcze siedzimy?

– Chociaż... powstanie, to może zbyt silne określenie. Jednak oddziały anielizacyjne spotkały się z poważnym oporem ze strony aborygenów. Lud tam jest prosty i ciemny, i w ogóle nic się nie wyznaje na tych aniołach. Ale sprawę terenów łowieckich – o... tę rozumie doskonale. Innymi słowy, kotłuje się tam. I w prowincji Boa, i w prowincji Iguana...

– Fatalna sprawa, smoki. To wojna domowa. Wegetariańskie żarcie, anielska moralność i wojna domowa! Nic więcej nie trzeba, aby zniszczyć nasze sławne plemię. Koniec... – Mądry łeb Smopira opadł na blat stołu.

Rozchodzili się w przygnębieniu. Smopir, stojąc na ganku długo wpatrywał się w gwiazdy i rozprostowywał skrzydła przed startem. Jego uwagę zwrócił ostrożny szmer w rosnących koło domu krzewach tarniny. Pisarz uważnie wpatrzył się w ciemność.

Od domu co sił w nogach umykał, lawirując między ciernistymi krzewami, niewielki krokodyl.

Szpicel, pomyślał Smopir oblewając się zimnym potem. Ech, przegapiliśmy... – Dopędzić krokodyla Smopir nie był w stanie, tamten biegał szybciej. Dopaść szpicla z powietrza również się nie uda – już się ściemniło.

Smopir nie poleciał do domu, lecz udał się do znajomej smoczycy aby tam, pijąc wino, oczekiwać aresztowania. Był do tego stopnia szlachetny, że powiadomił Smopoleona i Sekretarza-Doradcę, iż najprawdopodobniej Ligę szlag trafił. Słysząc to, rozwścieczony Smopoleon wyryczał, że wszystko mu już obrzydło do ostateczności i że lepiej paść w uczciwej walce o słuszną sprawę, niż pełzać jak wzgardzony przez wszystkich wąż. A potem popędził do koszar, aby wezwać armię do broni.

Smopoleonowi nie udało się zginąć w uczciwej walce. Garnizon stacjonujący w koszarach „Alfa", całkowicie zdemoralizowany śpiewaniem psalmów i poważnie osłabiony racjami żywnościowymi z górskiego siana, okazał się niezdolny do walki. Okrążono go, zręcznie rozdzielono, dano każdemu buntownikowi po łbie i zapędzono z powrotem do koszar. „Anielskie zastępy" walczyły wspaniale, zupełnie jak archistrateg Michał...

Generała natomiast związano i dostarczono do pałacowych lochów. A potem – wiadomo. Buntownika należy przesłuchać przy użyciu środków przymusu i sprzątnąć. Ale już na samym początku przesłuchania powstał pewien problem – więzień nie chciał odpowiadać, tylko wściekle klął. Dać mu w zęby? Trochę niezręcznie – w końcu to generał. Natomiast użycie tortur nie miało najmniejszego sensu. No bo jak torturować opancerzonego łuskami smoka? Przecież ma głęboko gdzieś wszelkie metalowe przedmioty i rozżarzone węgle. Oprawcy, nieco zakłopotani, chwilowo pozostawili swoją ofiarę w lochu. Okazało się, że posiadają niewielkie doświadczenie i niskie kwalifikacje. Trzeba się było uczyć. Pomyślawszy nieco, przyszli mistrzowie katowskiego rzemiosła wystąpili z podaniem o skierowanie kilku przedstawicieli do Krainy Czarnego Pająka w celu doskonalenia metod pracy.

Ta właśnie zwłoka zapewne tłumaczy fakt, że następnego dnia nikt nie przyszedł po Smopira, Sekretarza-Doradcę ani po żadnego z członków-założycieli Ligi. Kiedy jednak ledwo żywy ze strachu i niemiłych przeczuć SD przypełzł do pałacu, aby pełnić służbę u wrót Jego Drakońskiej Wysokości, podszedł do niego z typowym dla niego dobrotliwym uśmiechem Smofim i rzekł:

– Jakoś marnie pan wygląda, mój drogi. Nasz władca w niewypowiedzianej łaskawości swojej raczył zwrócić na ten fakt swoją najwyższą uwagę. Nawet naradzał się z nadwornym medykiem, który zaordynował panu intensywne odżywianie.

Należy stwierdzić, że ostatnimi czasy nieszczęsny SD stale znajdował się na granicy głodowego omdlenia. Nie mógł sobie pozwolić, jak niektórzy inni, na „fałszywe króliki z makaronu i marchewki". Bądź co bądź, ciągle znajdował się przed oczyma władcy i nie daj Boże, gdyby tamten zauważył tłustą plamę, albo poczuł jakiś zapach... Dlatego też na głęboką troskę Smofima zareagował wściekłym zgrzytnięciem kłów. Smofim udał, że nic nie zauważył i ciągnął dalej:

– Dlatego też Jego Drakońska Wysokość rozkazać raczył, iżby od chwili niniejszej wydawano Panu co tydzień przydział specjalny składający się z produktów żywnościowych o zwiększonej kaloryczności...

W tej samej chwili smętny asystent Smofima postawił przy nogach Sekretarza-Doradcy obszerny koszyk, z którego dolatywały oszałamiające aromaty. Na przekór wszelkim zasadom anielizmu sterczała z niego połówka tuszy baraniej i ogon bieługi.

Prowokacja! – pomyślał w panice biedny SD. Nie zdążył jednak odrzucić z dumą owego danajskiego daru, bowiem Smofim wytrzeszczając naiwnie oczy wymruczał:

– Co się z panem dzieje, mój drogi? Mowę panu odjęło od nadmiaru uczucia wdzięczności za okazaną łaskę? Jakże to zrozumiałe... Proszę się nie denerwować, uspokoić...

– Ale to... co to?!

– Widzi pan, mój drogi, ostatnimi czasy nasz Instytut Żywności osiągnął oszałamiające, nieprawdopodobne sukcesy. Zostały zsyntetyzowane produkty żywnościowe, które prawie idealnie imitują grzeszne mięso i ryby. Zostały one jednak wykonane z całkowicie wegetariańskich składników wyjściowych, o to może być pan zupełnie spokojny! Ja sam jem tę żywność! To zaś, że owe produkty żywnościowe zewnętrznie przypominają poprzednie, stanowi maleńkie ustępstwo na rzecz naszych pradawnych instynktów, których, sam pan przyzna, nie sposób wykorzenić od ręki. W przyszłości zaopatrzymy w takie towary wszystkie smoki, chwilowo jednak, sam pan rozumie, nie starcza nam mocy produkcyjnych. A potem... o, cóż za perspektywy otwierają się przed nami! Będziemy robić takie maleńkie tableteczki – połknie się jedną, i będzie się sytym przez cały dzień. Idealnym rozwiązaniem w dążeniu do osiągnięcia prawdziwego anielizmu byłoby pełne odzwyczajenie smoków od złego, atawistycznego zwyczaju odżywiania się. Ale to we właściwym czasie. Na razie proszę wziąć koszyk, nie opowiadać o tym i nie dziękować królowi – władca uważa za swoją powinność troszczyć się o swe wierne sługi. I niech pan pamięta – dopóki pilnie spełnia pan swoje obowiązki, dopóty taki koszyk będzie pana oczekiwać co tydzień. Wszystko pan dobrze zrozumiał?

Sekretarz-Doradca wszystko dobrze zrozumiał. Wieczorem, na kolację, jego smoczęta najadły się do syta, zupełnie jak za dawnych czasów. Jego smoczyca z zachwytem wysławiała króla i osiągnięcia nauki. Narzekała na to, że z powodu buntu w prowincjach prawie ustały dostawy nawet dozwolonych produktów. Ale teraz, dzięki łasce władcy, ich rodzina nie umrze z głodu i ona sama nie będzie musiała błąkać się po rynkach w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia dla maleństw. Sam zaś SD żuł mięso i myślał: Niech mnie szlag trafi, niech mnie Tyfon weźmie, ale przecież to baranina! Jeszcze nie zapomniałem jej smaku. Nic nie rozumiem. Kto kogo tu oszukuje? Smofim ze swoją bandą robi króla w konia, król mnie, ja żonę i wszyscy razem robimy ludowi wodę z mózgu! Ale przecież nie chciałem tego. Jak się to stało?

Zresztą, SD wkrótce przywykł do cotygodniowego specjalnego przydziału. Do takich rzeczy można się przyzwyczaić zadziwiająco szybko. I już zupełnie bez skrępowania kładł przed żoną olbrzymią wątrobę kaszalota i mówił:

– A to, moja droga, zostało zrobione z czerwonej koniczyny. Spróbuj, w smaku prawie nie różni się od prawdziwej, co?

Żona próbowała w zamyśleniu i kręciła głową:

– Nie, żabeczko. Wiesz, jednak jest różnica. Prawdziwa trochę trąci jakby goryczką...

– No nic, dobrze, że choć taką mamy. Wiesz przecież, że w mieście...

A w mieście było źle. Zoo zjedzono już dawno. Jakiś czas smoki próbowały wytrzymać żywiąc się zgodnie z ideami anie-

Ludmiła KOZINIEC

Urodziła się w 1953 roku w Krasnojarsku. Z wykształcenia jest filologiem. Pracowała w prasie, wydawnictwach, Agencji Praw Autorskich (WAAP). Obecnie jest przedstawicielką WTO MPF (Wszechzwiązkowego Stowarzyszenia Twórczego Młodych Pisarzy Fantastów) w Kijowie. Fantastykę pisze od siedmiu lat, ma w swoim dorobku m.in. dwa zbiory opowiadań. „Pazury anioła" to pierwsza publikacja w Polsce tej bardzo ciekawej i utalentowanej przedstawicielki nowej radzieckiej fantastyki. Inne utwory Ludmiły Koziniec zostaną zamieszczone w antologii przygotowywanej przez Wydawnictwo Poznańskie oraz w „Galaktyce 3" Iskier.

(S.K.)



Jacek Jabłoński

lizmu sianem, ale zaczynały się już głodowe psychozy, już umierały dzieci, starcy, chorzy... Krążyły przerażające słuchy o przypadkach smokożerstwa. Kiedy zaś z objętych buntem prowincji zaprzestano dostarczać nawet siano, rozpoczęła się ogólna ucieczka ze stolicy. Wygłodniałe smoki pasły się na rzecznych łachach pożerając żółte lilie wodne i trzcinę, i nawet najczujniejsze patrole z „Anielskich zastępów" nie były w stanie spostrzec, kiedy smok wraz z naręczem wodorostów pakował do paszczy rybę albo nieostrożną czaplę siwą. Poza tym szeregowcy z „Anielskich zastępów" też nie byli aniołami. Każdy chce jakoś żyć.

Społeczeństwo zostało poinformowane o haniebnych przypadkach emigrowania niektórych smoków w ościenne kraje. Smoki te w tajemnicy przekraczały granice i oczywiście od razu rzucały się na tłuste stada. Przestępców jednak schwytano i wsadzono do stalowych klatek. No i pędzą teraz nędzny żywot w zwierzyńcach dostarczając rozrywki gapiom.

Wydarzenia te strasznie irytowały pisarza Smopira. Patrząc w okno, gniewnie szczękał kłami i płodził gniewne apele, sens których sprowadzał się do prostej idei: „Z powrotem do prawdziwego smoczyzmu!"

W samotności, jakiej nie była mu już w stanie osłodzić przyjaciółeczka, która zresztą zdążyła mu się diabelnie uprzykrzyć, zdziczał do tego stopnia, że nawet ucieszył się, kiedy przybyli po niego dwaj sierżanci z pałacowej straży. Nieokiełznana wyobraźnia pisarza natychmiast nakreśliła obraz niesprawiedliwego sądu, na którym on, oczywiście, wygłosi namiętną mowę, publiczność będzie szlochać, a występni sędziowie drżąc w swych czarnych togach wlezą pod stół nie mając odwagi spojrzeć w oczy niewinnie skazanemu i odpowiedzieć rozgniewanemu ludowi. Oczywiście, po procesie tłum wyniesie go tryumfalnie z sali, smoczyce obrzucą go kwiatami... W tym momencie Smopira silnie potrząśnięto i pisarz oprzytomniał. Okazało się, że stoi bezpośrednio przed łożem tronowym, z którego spogląda nań miłościwie Jego Drakońska Wysokość Smokról Ósmy.

Smopir usiadł na ogonie, zaniepokojony. W tym momencie do złudzenia przypominał psa, wielkiego, mądrego psa, który oczekuje od swojego pana spokojnej bury za przypadkowe przewinienie.

– Jakże tak, mój ty utalentowany? – z pełnym dobroci wyrzutem w głosie zwrócił się król do pisarza. – Ładne rzeczy mi o panu opowiadają!

– Złośliwi i zawistni wrogowie moi – dziarskim, wyuczonym tonem ryknął Smopir.

– Ta-ak? No, niech i tak będzie. Wie pan przecież, mój genialny, jaki jest mój stosunek do pana. Nawet ich nie słuchaliśmy... Wtedy pokazano mi właśnie to...

W powietrzu błysnął i opadł na dywan żółty arkusik papieru, zapisany dobrze znanym charakterem Smopira. Literat zamarł – był to jego wczorajszy manifest. Tak naprawdę nic szczególnego w nim nie było. Rozpoczynał się od łkań przepełnionych tęsknotą za starymi, dobrymi czasami. Potem w jaskrawych barwach odmalowana została smutna rzeczywistość. A w zakończeniu wyrażona została nadzieja na świetlaną przyszłość. Podczas gdy Smopir gorączkowo starał się obmyśleć taktykę obrony, Smokról Ósmy uronił łzę i kiwając ciężką głową, rzekł:

– Ach, jakże pan nie ma racji, mój słynny. I z jakim smutkiem widzimy, że najlepsze umysły narodu błąkają się w mgle przestarzałych dogmatów i omszałych stereotypów, zamiast tego, aby zjednoczywszy swe siły w trudnej dla kraju chwili, uczciwie służyć szlachetnej sprawie smoczego postępu. Proszę się zastanowić, dokąd przyzywa pan nasz naród, który tak wiele wycierpiał? Do mroku minionych wieków, do okrutnego barbarzyństwa? W pęta lepkiej pajęczyny przesądów? Czymże jest prawdziwy smoczyzm, którego pan tak uparcie broni? Całkowitym barbarzyństwem! Proszę nie protestować, nie trzeba. Lepiej niech pan uda się do Smofima, a on pokaże panu wszystkie materiały opracowane przez grupę teoretyków.

Smopir spędził w pałacu cały tydzień. Codziennie robiono mu wykłady, pokazywano filmy, przedstawiano obliczenia, namawiano, błagano, przekonywano. Wkrótce zaczął odczuwać wyraźne symptomy rozmiękczenia mózgu i poprosił, żeby pozwolono mu odpocząć. Na jakiś czas pozostawiono go w spokoju. Smopir leżał na nagrzanym słońcem balkonie i rozmyślał.

Pod wieloma względami mają rację, zastanawiał się pisarz. I wszystko to jest bezpośrednio związane z filozofią starożytną. Istnieli, istnieli u nas myśliciele, którzy nieco przedwcześnie głosili równość wszystkich, miłosierdzie i dobroć. Co prawda, los ich był nie do pozazdroszczenia. Smok wyznający takie ideały nie przeżyje w naszym okrutnym świecie. To śmieszne, doprawdy – smok i miłosierdzie! A poza tym, co to znaczy „równość"? Z jakiego to niby powodu ja – potężny, piękny, mądry i utalentowany, powinienem uważać jakiegoś jąkającego się smoka-niedojdę, wioskowego przygłupa, za równego sobie? Tak, ale ma to sens dopóty, dopóki obaj jesteśmy smokami. Ale gdybyśmy zostali aniołami, to o co mamy się kłócić? Żarcia nam nie trzeba, terenów łowieckich również, bab – to rozumie się samo przez się, biorąc pod uwagę bezpłciowość. No i dlaczego mielibyśmy skakać sobie do gardła? Do diabła, to pociągające... Chociaż z drugiej strony umarlaki też się nie sprzeczają i również nic im nie potrzeba. Wygląda na to, że być aniołem to wcale nie lepiej niż być umarlakiem. Zresztą, Smofim mruczał coś o wyżynach poznania i doskonalenia moralnego. Trzeba to przemyśleć...

A przy okazji, o umarlakach. W czasie, kiedy w kancelarii podejmowano decyzję, co począć z upartym Smopoleonem, ten cicho kopnął w kalendarz w podziemnym lochu. Z głodu. Taki był żałosny koniec słynnego niegdyś wojownika.

Smopir zaś nie zrozumiał do końca o co chodzi w tym moralnym doskonaleniu i poważnie podejrzewał, że akademik wymyślił wszystko z jednego, prostego powodu. Smofim był cherlawy, wymęczony nauką i zdechlak z natury. Nie udałoby mu się dorwać do władzy i wszystkiego, co władza daje. Ale gdyby zdołał namówić wszystkie smoki, żeby zostały aniołami... Cóż, w kurniku i kogut jest orłem. Smopir udał się do akademika, by uzyskać dodatkowe wyjaśnienia.

Ów uczony mąż poważnie się zmienił ostatnimi czasy – stał się pobłażliwy i niedbale protekcjonalny. Chętnie zniżył się do rozmowy z pisarzem. Najpierw powtórzył wszystkie dobrze już znane informacje o ogrodzie na wysokości i zbawiennej roli idei anielizmu dla smoczego rodu.

Kiedy zaś Smopir zaczął ryczeć, że smoki po prostu wymrą na długo przed tryumfem idei anielizmu, Smofim odparł twardo:

– Tak. Tak, mój przyjacielu. Zdajemy sobie sprawę z tego, że jakaś część społeczeństwa powinna złożyć się w ofierze, złożyć swoje kości w fundament świetlanej przyszłości. To nieuniknione i proszę mi wierzyć, głęboko nad tym ubolewam. Za to potomkowie nasi będą żyć w raju. Piękny cel wart jest poniesionych ofiar, nieprawdaż? Aniołowie są nieśmiertelni i nasze dzieci uzyskawszy anielskość staną się wiecznymi, doskonałymi istotami. Proszę to sobie tylko wyobrazić!

Wstrząśnięty Smopir wyobraził sobie. Nieograniczoną gromadą unosiły się w promienisty zenit bezgrzeszne istoty, o których pochodzeniu przypominał jedynie zielonkawy refleks na potężnych skrzydłach. Eter rozbrzmiewał chóralnym, uroczystym śpiewem. Chwała wiecznemu szczęściu unosiła się nad polami narcyzów i asfodelii...

Wzniosła wizja dokonała przełomu w monumentalnej świadomości pisarza. Załkał ciężko, okazując skruchę za to, że kiedyś, nikczemnie zwątpiwszy, wstąpił do Ligi Obrony Smoczyzmu, tej kompanii amatorskich spiskowców- konserwatystów. Nie, precz z zawstydzającą przeszłością! Od tej pory pragnie służyć swoim piórem sprawie wyniesienia narodu!

Szczery zapał Smopira oceniono godnie i zaproponowano mu na początek opracować projekt pewnego dokumentu, nazwanego umownie „Moralne nakazy anielizmu". Pisarz, czując się pochlebiony najwyższym zaufaniem, z entuzjazmem zabrał się do pracy. Było rzeczą zupełnie zrozumiałą, że dostarczano mu co tydzień osławione kosze ze sztuczną żywnością, dzięki czemu mógł tworzyć w spokoju, nie zaprzątając swej uwagi problemami chleba powszedniego.

I nie wiadomo czym by się to skończyło, gdyby pewnej nocy Jego Drakońska Wysokość Smokról Ósmy nie poczuł pragnienia.

Nie wiadomo czemu na dźwięk dzwoneczka nikt się nie pojawił. Przeklinając niedbałą służbę Smokról spełzł z łoża i powlókł się do kuchni, która obecnie nazywała się laboratorium syntetycznej żywności.

W kuchni płonął ogień w paleniskach, rozlegał się brzęk naczyń, głosy kucharzy, syczenie rozgrzanego tłuszczu na patelni. Zaintrygowany tym hałasem Smokról ostrożnie zajrzał w drzwi. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim. W pomieszczeniu kuchennym wszystko było tak, jak dawnymi, smutnej pamięci, czasy. Krzątali się kuchcikowie, ciągnęli sprawione tusze zwierzęce, rąbali je na kawałki, pakowali do kotłów, piekli całe góry drobiu.

Smokról wszystko zrozumiał. Akademik i jego sprytni asystenci-teoretycy okazali się zręcznymi praktykami. Ośmielili się wodzić za nos swojego króla! A on wierzył, że podawane mu pasztety zostały wykonane z warzyw i owoców! Jak śmieli oszukać króla i pohańbić wielkie idee anielizmu!

Królewski gniew był straszny. Od grzmiącego królewskiego ryku pałac drżał i kołysał się w posadach. Jego Drakońska Wysokość szalał przez pozostałą część nocy. A o poranku nieszczęsnego, wrzeszczącego Smofima zakutego w łańcuchy zawleczono na sąd i kaźń.

Ale, jak już wspomnieliśmy wyżej, Smokról był stary i mądry. Dlatego, kiedy ochłonął, zastanowił się poważnie nad tym, co skłoniło szacownego akademika do oszustwa. Po namyśle król doszedł do wniosku, że zapewne zwycięskie relacje o całkowitym tryumfie idei anielizmu są taką samą aferą jak syntetyczna żywność. Teraz król nie wierzył już nikomu.

Ogarnięty godnym pochwały zamiarem zobaczenia wszystkiego własnymi oczyma, król wzbił się w powietrze pragnąc obejrzeć stolicę z powietrza. Stare skrzydła skrzypiały, ale jeszcze zupełnie nieźle utrzymywały właściciela.

Smokról Ósmy zdziwił się nieco, widząc, że niebo nad stolicą jest zupełnie puste, podczas gdy dawniej bez przerwy snuły się po nim stada smoków. Obecnie nie było widać ani jednego....

Smokról szybował nad miastem. Przed jego wzrokiem rozpościerał się żałosny widok. Po zapuszczonych, zasypanych śmieciami ulicach gdzieniegdzie ledwo wlokły się wyczerpane smoczyce. Szperały po śmietnikach stolicy w poszukiwaniu jakiegokolwiek jadalnego kęsa. Chylące się ku upadkowi domy ziały jamami wybitych okien. Przedmieścia zupełnie opustoszały. Nie słychać było dawnych zadziornych pieśni młodych smoków i smoczyc. Patrole „Anielskich zastępów" dosłownie chwiały się na nogach od najmniejszego podmuchu wiatru. Na skrzyżowaniu siedział doskonale wszystkim znany miejski wariat Smogłup i ze zdziwieniem mówił do dwóch dam:

– Po co płakać, po co się martwić? Jakiż jest cel smoczego ludu, niemądre? Wielki Wódz wyjaśnił: „Naszym celem – anielizm!" Czemu więc jesteście niezadowolone? Nie pojmuję was i śmiech mi gdy na was patrzę, paniusie. Chłód? Głód? I słusznie! Wyciągniecie łapy i od razu, bez kłopotów, zostaniecie anielicami! Coo łaskaaa...

Niezwykle smutny widok ujrzał w swojej stolicy Smokról Ósmy. Zupełnie jakby łuski spadły mu z oczu. Ciężko opadł na dach swojego pałacu, wysapał się, uspokoił łomocące serce i postanowił: „Dosyć! Koniec! Wszystko jasne – popełniono błąd. Idea jako taka była dobra, ale do wprowadzenia jej w życie naród nasz, należy z bólem stwierdzić, jeszcze nie dorósł. Trzeba będzie trochę odczekać, bo w przeciwnym razie istotnie cały naród szlag trafi. Zawiedli mnie niegodziwi, niegodni zaufania dworzanie, którzy udawali moich towarzyszy broni. Pochlebcy i kłamcy! Trzeba wszystko naprawić".

Dla smoków to normalka. Rozkazano naprawiać – będzie wykonane. Praca wre...

Smokról Ósmy zaś postanowił pewnego razu powygrzewać się na ulubionym, południowym skłonie Smoczej Grani. Leżał sobie i patrzył w dolinę rozmyślając o dalszych losach tak osłabionego smoczego rodu. Zainteresował się jednak, widząc jakiś ruch w zaroślach. Gałęzie krzewów rozchyliły się i na polankę wyszedł Człowiek.

Wysoki, zgrabny, brązowy od opalenizny, był bardzo piękny. Smokról Ósmy, chcąc nie chcąc, zapatrzył się na niego z zachwytem. Władca smoków, jak zapewne zdołaliście państwo zauważyć, w ogóle zbyt łatwo ulegał emocjom. Z zapartym tchem przyglądał się mężnej twarzy Człowieka, jego długim włosom przepasanym skrawkiem kory, wąskiej talii, biodrowej przepasce z łyka. Na szyi Człowieka wisiał naszyjnik z kłów dzika.

Nad głową Człowieka zakołysała się korona drzewa i z gęstych liści rzuciła się w dół ruda błyskawica. Człowiek zdążył odwrócić się, wyszarpnąć nóż i odeprzeć atak jaguara. Jedną ręką chwycił drapieżnika za gardło, drugą zaś wbił nóż w jego maleńkie, przepojone nienawiścią serce. Po sekundzie wszystko było skończone. Myśliwy wycierał ostrze, u jego stóp zaś leżał martwy cętkowany zwierz. Człowiek zdarł z niego piękne futro, zarzucił je niedbale na plecy i zniknął w leśnej gęstwinie.

Smokról Ósmy był zachwycony.

– Taki maleńki, słaby! Ani pazurów, ani kłów! Ale jakże odważny i piękny! Jakże szybkie są jego nogi, jakże zręczne ręce, jakże subtelny umysł! I chwała Bogu, nie żywi się samymi tylko kwiatkami... oto prawdziwie doskonały twór Pana! Zrozumiałem... I jakże mi to wcześniej nie przyszło do głowy! Nie aniołów należało czynić z moich smoków, ale ludzi. Do nich należy przyszłość!

Smoki, jak państwu doskonale wiadomo, wymarły.

Przełożył **Sławomir Kędzierski**

Scenariusz: Radosław Kleczyński
Rysunki: Andrzej Pieniążek

Requiem

...Był czas, w którym miejsce to nosiło nazwę Kalifornia!



Requiem

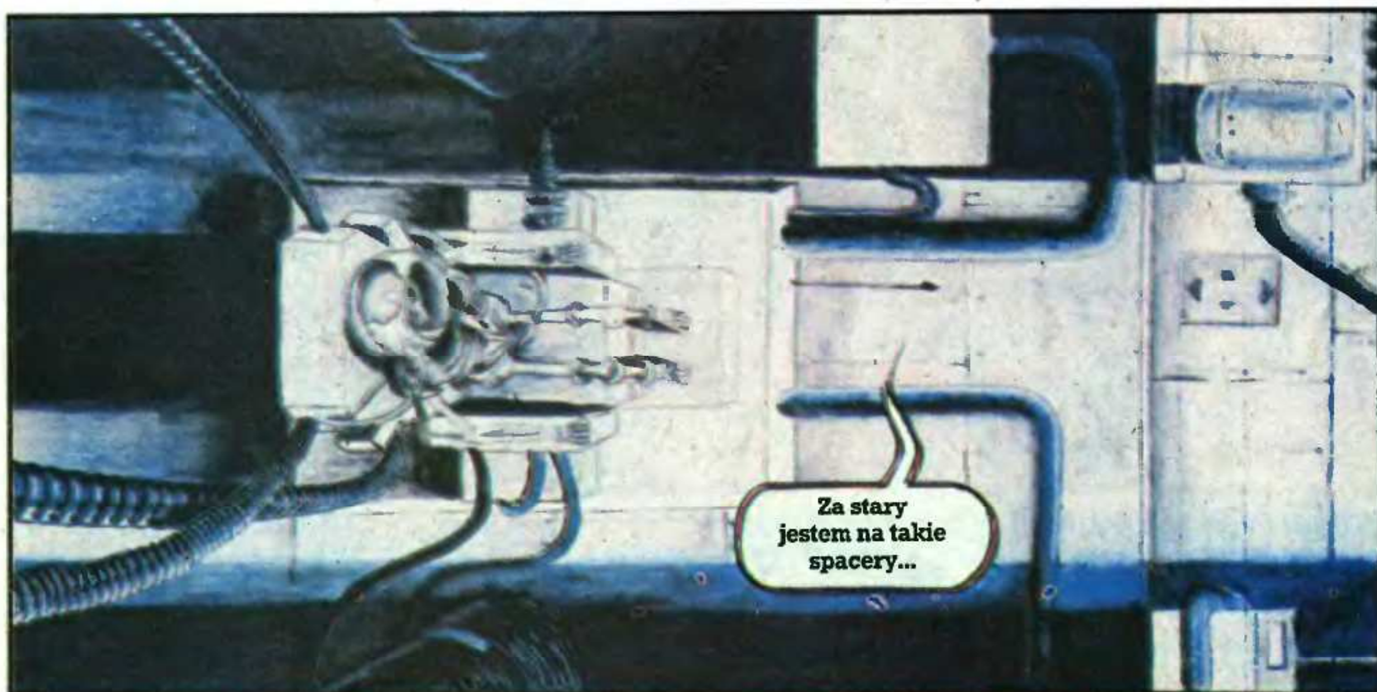








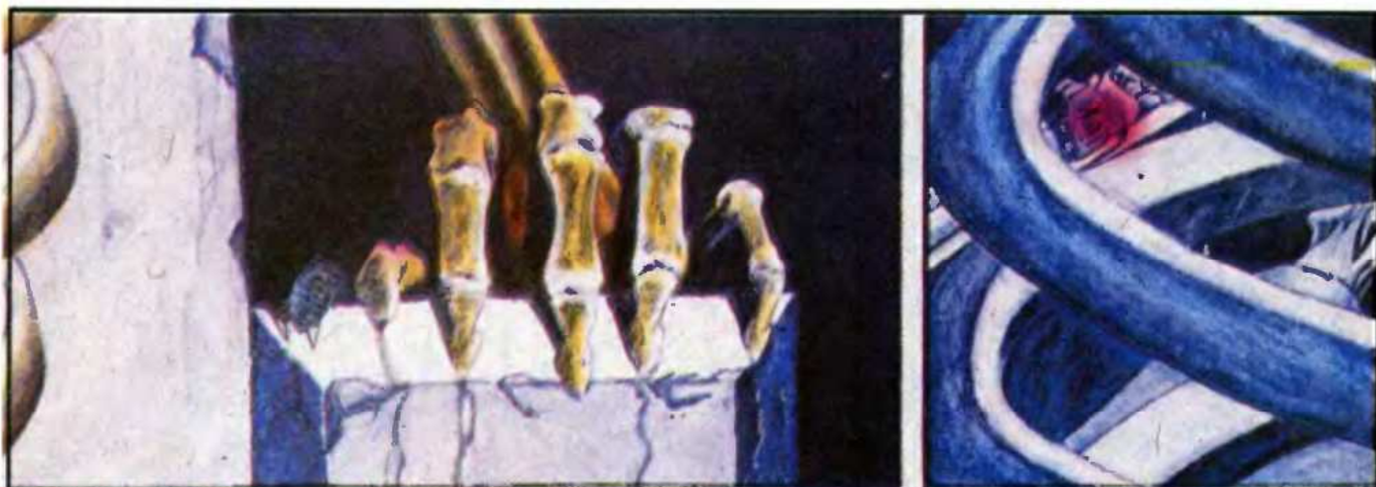
Requiem







Requiem









PRZEDSTAWIONY KOMIKS MA CHARAKTER EKSPERYMETNALNY, CO SĄDZĄ O TYM CZYTELNICY? (RED.)

Cyngiel

Katarzyna Molenda



Nie była specjalnie ładna ani pociągająca, ale kiedy poprosiła, żebym z nią poszedł – zgodziłem się od razu. Nie było zresztą wielkiego wyboru – parę staruszek, kilka mężatek, oblepionych od góry do dołu dziećmi i pryszczate, kanciaste nastolatki.

Milcząc przeszliśmy przez kwadratowy rynek, wzdłuż wąskiej ulicy, zasłanej podartymi plakatami z szachownicą, potem polną drogą, obsadzoną mizernymi krzewami głogu. Jej bose stopy wzniecały małe obłoczki kurzu, które zastygały przez chwilę w gorącym powietrzu, aby w końcu oprószyć czubki moich butów. Nie liczyłem na zbyt wiele i nie zastanawiałem się, jak będzie.

Postanowiłem pozostać tutaj.

Miałem dwie kobiety. W przytułku w Clinton, w którym wychowywałem się odkąd pamiętam – czyli od zawsze – nauczyłem się wielu pożytecznych rzeczy. Kłamać, walczyć na pięści, brzytwy, miotacze z podpalonych dezodorantów, wspinać się po rynnach lub wyciągać z cudzej kieszeni to, co akurat wpadło mi w oko. Nie wiedziałem tylko, jak postępować z kobietami.

Kiedy wychodziliśmy na spacery – rozbiegały się na nasz widok jak gromadka spłoszonych wróbli. Wyzywaliśmy je od dziwek, czasami gorzej, nieraz usiłowaliśmy ciskać w nie kamieniami, a kiedy za karę ograniczono nam wyjścia – wariowałem, marząc o dziewczynie z policzkiem ufnie opartym o moje ramię.

Meryl Jonson nazywano „Piper", bo przepadała za tym gatunkiem whisky, wlewała ją w siebie w nieprawdopodobnych jak na kobietę ilościach, rozcieńczając skąpo wodą z kranu. Poznałem ją mając dwadzieścia dwa lata, byłem już wtedy cynglem Hesterbridge'a i razem z kumplami przychodziliśmy wieczorami do baru „U Eda".

Hesterbridge prowadził z nami zajęcia, przy których West Point było przedszkolem dla grzecznych dzieci, a szkolenie służb specjalnych można było bez cienia przesady porównać do prowincjonalnego college'u. My – cyngle, mieliśmy za sobą bez wątpienia uniwersytet.

Kiedy wchodziliśmy do baru „U Eda" – natychmiast robiło się cicho. Tylko Piper nie przejmowała się nami – i pewnie dlatego zwróciłem na nią uwagę. Była najbardziej czarnoskórą Murzynką, jaką w życiu widziałem, a jej twarz przypominała okrągłą, okopconą patelnię. Nigdy jednak nie spotkałem kobiety, która tak potrafiłaby chodzić. Miała szczupłe, długi nogi, o pięknie sklepionych kostkach i jędrnych udach, pośladki jak marzenie onanisty i skaczące piersi. Nieraz widywałem facetów – dobrze ubranych i porządnie wyglądających – którzy fundowali Piper whisky, prosząc tylko o jedno – aby przeszła kilka razy przez zatłoczony i zadymiony bar.

Pewnego dnia zdobyłem się na odwagę i poprosiłem ją, żeby przeszła się nieco dalej. Chciałem jej dać trochę pieniędzy, ale śmiertelnie się obraziła twierdząc, że spacer do mojego łóżka to zupełnie coś innego niż kręcenie tyłkiem dla tych starych, obleśnych typów „U Eda". Wyszła po trzech godzinach, zostawiając mnie zupełnie pokonanego, zmęczonego i rozbitego; litościwie nie dopiła whisky, abym mógł doprowadzić się do porządku. Powtarzaliśmy to potem kilkanaście razy i zawsze mnie pochłaniała, niszczyła, pożerała ta moja kanibalka – Piper z West Street. W końcu przestałem przychodzić do Eda. Przez chłopaków przesłałem jej tylko czerwone róże z końcami zawiniętymi banknotem. Przypadkiem dowiedziałem się, że Piper z rozbebeszonym brzuchem znaleziono pod barem, parę dni temu. Wojna – wojną, ale jestem pewien, że to jeden z tych facetów, którzy fundowali jej drinki dopadł ją w końcu i zemścił się za pogardę, z jaką spoglądała z wysokości barowego stołka.

Marek Bielecki

Wojna zaczęła się szybko, a jeszcze szybciej skończyła. Nowym Prezydentem został czarnoskóry Jeremiash Pope. Tydzień później jakiś biały świrus nie wytrzymał i wygarnął do niego, zakłócając uroczysty mityng. Ludzie z obstawy Prezydenta nie popisali się silnymi nerwami. Puścili serię w tłum. Zabójca jakoś się wymknął, za to dostało kule dwóch senatorów z Południa, biskup, kilka pań zajmujących się dobroczynnością, wschodząca gwiazda filmowa z niewiarygodnie długimi rzęsami, jej mąż oraz jeden z trzech właścicieli koncernu Forda.

Opinia publiczna zawrzała. Pierwsza Anglia, potem Francja i Dania urządziły demonstrację pod hasłem „Czarnuchy do domu". Polała się krew. U nas – zmasakrowano czarnego zakonnika. Po godzinie – w tym samym miejscu – złożono pięć martwych ciał białych kobiet. W Harlemie, zza barykad złowieszczo wyglądały okrągłe oczy luf. Po jednej stronie reaktywowały się Czarne Pantery, po drugiej wyciągano z kufrów na strychu stare kaptury Ku-Klux-Klanu. Dziecinne zabawy.

My – biali – okazaliśmy się jednak w ostatecznym rozrachunku strasznymi megalomanami, ze swoim poczuciem, że trzymamy w szachu cały świat głowicami termojądrowymi. Czarni – sięgając do prostej wiedzy szamanów – wyprodukowali coś bardziej skutecznego, coś, co potem nazwaliśmy „kurarą na przemysłową skalę". Jeden mały pojemniczek z tym świństwem został rozbity w Anglii. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Wojna skończyła się po tygodniu. W Europie i Azji nie zostało ani jednego żywego człowieka.

Moja żona – Jane – znajdowała się właśnie w Paryżu.

Miałem dwadzieścia pięć lat, kiedy zostałem zaproszony na przyjęcie do samego Jo Page. Skończyłem właśnie ostatni etap szkolenia z Hesterbridgem. Nauczył mnie sztuki dobierania właściwych win do zakąsek i właściwych zakąsek do głównego dania, umiałem wybrać odpowiedni krawat do garnituru, dawać napiwki i znałem na tyle francuski, aby poradzić sobie w restauracji z kartą potraw. Dostałem wytłaczany portfel z cielęcej skórki, komplet do pielęgnacji paznokci i listę książek, które muszę przeczytać.

Jane urządzała nowe mieszkanie Jo Page'a. Była początkującą dekoratorką wnętrz i czuła się okropnie speszona. Na tle całego ogromu niklowo-plastikowych konstrukcji, które spiętrzyła wśród ścian, wyglądała jak mała, przestraszona dziewczynka. Ktokolwiek zwracał się do niej z gratulacjami – wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Rozczuliła mnie swoją wrażliwą delikatnością i w dwa miesiące później została moją żoną. Wstawała zawsze wcześniej niż ja, pędziła do klientów, biegała po magazynach, potrafiła zawzięcie targować się w małych sklepikach, wygrzebywała spod ziemi tanie drobiazgi – chociaż nie musiała tego robić, bo Hesterbridge płacił mi doskonale. Miała wiele werwy i świetną kondycję. Bywaliśmy na przyjęciach z bardzo ważnymi ludźmi, poznałem kilku milionerów i kilku zbzikowanych plastyków, aktorów i przedsiębiorców, których domy Jane zastawiała tandetą w stylu japońskim lub pośpiesznie charakteryzowała na kajuty „Mayflowera", a w knajpach nareszcie mogłem wypróbować moją francuszczyznę. Myślę, że Hesterbridge byłby ze mnie zadowolony.

Tylko w łóżku nam nie wychodziło. Jane, okryta skromnie prześcieradłem, jadła podłużne, miętowe pomadki i tłumaczyła mi, zlizując z palców czekoladowe plamki:

– Widzisz, Mark, jeżeli ludzie się kochają, tak jak my – prawda? – to seks nie jest aż tak ważny. Najważniejsze jest wzajemne zrozumienie, tolerancja, akceptacja...

Do pewnego czasu przytakiwałem jej, a potem wszystko między nami ostygło i bez uczucia żalu odprowadziłem Jane w nowym, fiołkowo-czarnym kostiumie na lotnisko.

W końcu doszliśmy do jej domu, niezgrabnego i przysadzistego jak stodoła, już w przedpokoju zaczęła zdejmować sukienkę i odwróciła się, nie patrząc jak szarpię guziki od kurtki.

To, co się zdarzyło potem na niskim, zarzuconym kocem łóżku było snem, moim snem. Pasowaliśmy do siebie jak dwie połówki rozdartego banknotu i długo patrzyłem na nią w pełnym zachwytu milczeniu. Nie pytała mnie o nic, ale ponieważ była skazana – mogłem opowiedzieć jej wszystko.

Europa i Azja konały w męczarniach – ślepnąc, puchnąc i rzygając. Pary zakochanych trzymając się za ręce skakały z najwyższych pięter budynków, kobiety szpikowały swoje dzieci tabletkami nasennymi, aby uchronić je od koszmarnej agonii, mężczyźni rozwalali się samochodami, wieszali na drzwiach swoich domów, a stare panny otwierały gaz i wsadzały głowę do piecyka. Nie było żadnego ratunku. Czarni żołnierze Armii Nowego Wyzwolenia umierali tak samo jak biali – nie nacieszywszy się swoim zwycięstwem. Ciało Jane – bezwładne i opuchnięte – gniło gdzieś na paryskiej ulicy.

Hesterbridge obwołał się Prezydentem Tymczasowym i stworzył Komitet Ocalenia. Pierwszy raz musiałem ubrać się w mundur, w zwykły, wojskowy, polowy mundur. My – wszyscy cyngle – staliśmy za plecami Hesterbridge'a. A na wiecu przed Białym Domem tworzyliśmy formację, na widok której przeciwnicy wycofali się pośpiesznie, zostawiając nam wolną rękę i władzę nad światem. Przy utrzymaniu się takiej cyrkulacji powietrza mieliśmy około czterech dni i jeżeli rzeczywiście czas działania „kurary" wynosił około miesiąca – była to jakaś szansa, tylko...

– Mów dalej – poprosiła.

Powiedziałem, że jest wspaniała, ale chyba nie na to czekała. Przyniosła mi trochę letniej wódki w szklance, dolała wody z kranu – zupełnie jak Piper.

Zachowywała się tak, jakby chciała dodać mi odwagi, z wdzięcznością pogłaskałem ją po chudym przedramieniu, pocętkowanym śladami po wkłuciach.

Natychmiast zaczęliśmy ewakuację ludzi. Upychaliśmy ich w schronach, w których mogli spokojnie przesiedzieć rok – a nie tylko miesiąc. Tylko przedtem dowiedzieliśmy się, że miejsc nie wystarczy dla wszystkich. Nie wystarczy ich nawet dla połowy obecnie żyjących. My, wojsko, policja – wszyscy otrzymaliśmy od Hesterbridge'a ten sam rozkaz.

– Tylko zdrowe, młode, płodne kobiety, zdrowe dzieci i silnych mężczyzn. Reszty możecie po prostu nie zabrać. Żadnych cukrzyków, gruźlików, narkomanów, kryminalistów, chorych psychicznie czy po prostu chorych na grypę, nie zawracajcie sobie głowy pacjentami żadnych szpitali, ludźmi powyżej pięćdziesiątego roku życia i nikim, kto wyda wam się chory, głupi albo po prostu niesympatyczny.

Specjalnie opowiedziałem to tak dokładnie, rzeczowo i beznamiętnie. Siedziała spokojnie, wpatrzona we mnie, kolana podciągnęła pod brodę. Nad jej głową wisiał plakat z szachownicą, na której białe pionki zepchnęły czarne pionki na sam skraj pola. Nawet nie zapytała, co mam zamiar dalej robić.

Ewakuacja dobiegała końca i powinniśmy jak najszybciej się zwijać. Dwie ciężarówy pełne ludzi podjechały już do Tenesville. Pozostali będą czekać, wyglądać, wychodzić na szosę – zanim nie zrozumieją. Będzie wśród nich pani Backstone, w starannie odprasowanej granatowej sukience, szczupła i schludna.

– Kiedy zobaczyłam cię z daleka – stwierdziła – byłam przekonana, że to mój syn. Wybacz starej kobiecie, ale jesteś do niego podobny jak dwie krople wody – jej dłoń przez krótką chwilę zanurzyła się w moich włosach, potem zmieszana poklepała mnie po ramieniu i pośpiesznie odeszła.

– Chcę tutaj zostać – powiedziałem.

Podniosła się, pocałowała mnie i wyszła, długo siedziałem sam w dużym, dusznym pokoju, przesyconym zapachem naszych ciał, a kiedy wreszcie poszedłem jej szukać, okazało się, że byłem spóźniony o kwadrans. Skonała właśnie, leżąc w kałuży rzygowin, igła pozostała wbita i na podłogę miarowo kapały ciemne krople krwi. Skaleczyłem stopę szkłem z rozbitych ampułek. Nawet nie wiem, jak miała na imię.

W ogrodzie wyryłem płaski dół i przysypałem ją cienką warstwą piachu. To był wspólny grób – dla Piper z rozdartym brzuchem, dla Jane w fiołkowo-czarnym kostiumie, dla pani Backstone i dla mnie.

Pogoda jest ładna. W nocy padał deszcz, powietrze jest chłodniejsze, wreszcie skończył się ten cholerny upał. W jej bibliotece znalazłem książkę z listy, którą wręczył mi kiedyś Hesterbridge. Wieczorem pani Backstone przyniesie mi kolację i chyba spędzimy trochę czasu nad jej rodzinnym albumem w safianowej oprawie.

Hesterbridge pewnie cieszy się, że zostałem gdzieś na trasie, teraz jestem dla niego tylko niewygodnym świadkiem.

To ja byłem tym świrusem, który załatwił Jeremiasha Pope.

Łódź, styczeń 1989

Katarzyna Molenda

Katarzyna MOLENDA

Autorka przejmującego opowiadania „Sprawa honoru" (opublikowanego w „Fantastyce nr 2/88 pod nazwiskiem Katarzyna Kuligowska). Obecnie mama 22-miesięcznego mężczyzny. Prosiła, by jej nowy tekst „Cyngiel" podpisać tylko inicjałem – Katarzyna M. Udało nam się wpłynąć na zmianę tej decyzji, bo przekonaliśmy ją, że opowiadanie jest przyzwoite i na pewno nie przyniesie wstydu jej nowej rodzinie.

(mp)

Jarosław J. Grzędowicz

Rozkaz kochać!



Piotr Łukaszewski

W życiu każdego człowieka następuje moment, kiedy staje się zupełnie kimś innym. Bezczelny gaduła, czy wyszczekana dusza towarzystwa zamienia się w nieśmiałego gamonia, zdeklarowani cynicy stają się romantycznymi kretynami o duszach poetów i wrażliwymi jak dmuchawce, twardzi, oporni faceci przeistaczają się w potulne pieszczoszki, jak dogi ucharakteryzowane na pudle-miniaturki. Żałosne.

Przynajmniej tego zdania był Kris Random, kiedy pewnego popołudnia posadził kuter eksploracyjny pośrodku przygnębiającego, stepowego pustkowia. Zwolnił osłony termiczne i patrzył na strugi drobnego deszczu toczące się lirycznie po obiektywach zewnętrznych skanerów. Random był bowiem beznadziejnie i straszliwie zakochany. Nie przypominał pudla-miniaturki. Stanowił dziewięćdziesięciokilogramowy komplet wytrenowanych mięśni rozpiętych na szkielecie długości prawie dwóch metrów i powinien, zwłaszcza przy pracy, mieć w sobie nie więcej wrażliwości niż sprawna gilotyna.

Jednak w tym momencie czuł się mały i bezbronny – mimo że dysponował arsenałem, który wystarczyłby na eksterminację dużego i wojowniczego plemienia. Patrzył w ekrany i myślał ponuro, że widok za oknem znakomicie odpowiada jego nastrojowi. Pole szarofioletowych krzaczków ciągnęło się smętnie ku spłaszczonym pagórkom, a zimny wiatr gnał po nim długie fale. Górą ciągnęły niepowstrzymanie posępne, ołowiane chmury. Siąpił jesienny deszczyk. Brakowało tylko uschniętej olchy, żeby się na niej powiesić i dopełnić tego beznadziejnego pejzażu.

To był standardowy zwiad. Taki sam, jak dziewięćdziesiąt trzy poprzednie, w jakich Random brał udział i jak kilkadziesiąt podobnych, które miały miejsce na tej planecie w ciągu ostatniego miesiąca. Najpierw zasypywano planetę dziesiątkami automatycznych sond, a potem, jeżeli zaklasyfikowano ją jako nadającą się do kolonizacji, olbrzymi statek planetologiczny ustawiał się na orbicie stacjonarnej i na powierzchnię wysyłano zespoły badawcze. W skład każdego wchodziły dwie osoby. Badacz i obstawa. Taka obstawa to absolutna konieczność. Naukowiec przy pracy to osoba zajęta, która nie może mieć oczu dookoła głowy i blastera w każdym ręku, poza tym wybitne zdolności w jakiejś dziedzinie wcale nie świadczą o rozsądku i wyobraźni w życiu codziennym.

Random był obstawą. Praca jak każda inna, tyle że dobrze płatna. Na ogół była to praca męcząca, czasem nudna, częściej irytująca, zawsze niebezpieczna.

Stał za plecami naukowców najróżniejszych maści, strzelał do zwierząt najróżniejszych wielkości i najkoszmarniejszych kształtów, naprawiał urządzenia i chronił ludzi przed pożarciem, rozszarpaniem, wyssaniem, wchłonięciem, porażeniem, złożeniem w nich jaj i zarażeniem, a oni mieli go za kretyna. To był cały problem. Większość naukowców fakt, że ktoś musi ich chronić, uważała za osobistą obrazę, zaś samego ochroniarza za coś w rodzaju tresowanej małpy albo wyuczonego debila.

Mówili do niego głośno i wyraźnie, unikając trudnych wyrazów, albo nie mówili w ogóle, dawali do potrzymania tylko solidne przedmioty i traktowali jak zbędny ciężar. Na ogół śmiał się z tego, ale tym razem wcale nie było mu do śmiechu. Tym razem, wyjątkowo, nie chciał być traktowany jak uzbrojona małpa.

Cała historia zaczęła się w czasie odprawy, jeszcze na pokładzie „Konkwistadora". Siedział w fotelu słuchając ględzenia szefa departamentu ochrony. Przedramiona swędziały go od jakichś zastrzyków, którymi nafaszerowali go faceci z medycznego, a po przestrzennej mapie sektora badawczego pełzła przerywana linia marszruty. Nie spodziewał się niczego nadzwyczajnego. Rutynowy zwiad – rozpoznanie obszaru desantu i rekonesans, porównanie siedlisk, badania takie, badania siakie, wszystko było na ostatnią chwilę, jego wspólnik doktor Rosita Savonen spóźniała się. W umyśle zwykły chaos, jak to przed desantem – odebrać bieliznę, dopilnować, żeby wymienili wirnik alternatora w prawym pędniku, wydusić pieniądze od Milandera, który leci pojutrze, szef terkotał chaotycznie, w dane oczywiście wprowadzili poprawki i nagle otworzyły się drzwi sali i wszystko przestało istnieć.

To było jak piorun. Jak błysk.

W jednej chwili oszalał.

Rosita Savonen przeszła obok niego z kocim wdziękiem, usiadła w fotelu i uśmiechnęła się przepraszająco. Była

szczupłą, smagłą brunetką o miodowych oczach, w których zobaczył podzwrotnikowe słońce, plażę i gałęzie pinii na tle rozpalonego nieba. Usłyszał muzykę, poczuł zapach maciejki i smak ananasów. Przed chwilą był pogodnym, niezależnym facetem. Teraz stał się niewolnikiem. Miał lecieć z nią i to ją miał chronić. Wiedział, że ją ochroni. Za każdą cenę. To już nie była kwestia pracy. To już była misja. Włos nie ma prawa spaść jej z głowy. Jeżeli straci nogi, to będzie się czołgał. Rozegnie rękami rozpalone kraty, zagryzie tygrysa, ale przywiezie ją żywą z powrotem.

Teraz byli sami. We dwoje, na pustej części kontynentu.

Była skazana na jego towarzystwo przez trzy dni. Trzy dni. To dość czasu, żeby poznać kobietę. Dość czasu, żeby się zaprzyjaźnić. Dość, żeby przespać się z sześcioma cichodajkami na urlopie. O wiele za mało, żeby zdobyć Rositę Savonen. Zdobyć miłość pani doktor Savonen, zwłaszcza jeżeli się jest uzbrojoną małpą. Postanowił się zaprzyjaźnić. Być uroczym, inteligentnym, wesołym i męskim wspólnikiem. Przyjacielem. Nic prostszego. Postarać się nie czerwienić, nie skubać kołnierzyka i nie obgryzać paznokci. Zachować spokój i dystans do tego wszystkiego. Zabrać się do roboty.

Przestawił tokamaki na bieg jałowy i odblokował układy transportera. Szczęknęły klamry pasów, fotele zahurkotały na plastykowych prowadnicach, wizgnęła pneumatyka luku zejściówki.

– Zawsze jesteś taki milczący? – zapytała z drwiną w głosie.

– Tylko kiedy staram się wyglądać inteligentnie. – Gdzie się podziały jego dowcipne odzywki?

Rosita dźwignęła się z fotela i przecisnęła na tył kokpitu.

– Transporter jest na dole?

– O ile go zapakowaliśmy, to jest. – Wcisnął się za nią do luku i zsunął do wnętrza transportera nie stając na szczeblach.

Zdawkowe rozmowy. Gdyby tak można było rozluźnić atmosferę. To atrakcyjna kobieta. Pewnie bez przerwy się do niej dostawiają. Jeżeli nie chciał być uznany za jeszcze jednego podrywacza, musiał zrobić coś innego. Najlepszym sposobem zdobycia takiej kobiety jest niereagowanie na jej urodę. Podobno. Trzeba udawać obojętność. Boże, jaka ona śliczna.

Ze złością zatrzasnął pasy i włączył tablicę rozdzielczą. Z jękiem otworzyły się wrota śluzy i ramię wciągarki opuściło transporter na wypaloną ziemię, między rozłożyste podpory kutra. Zwolnił sprzęgło i pojazd wystrzelił z rykiem silnika, rozgarniając maską fioletowe, niskopienne krzaczki. Padało. Włączył dmuchawę, zmiatając rzadkie krople z obiektywów. Z tyłu dochodził cichy wizg turbin. Nie rozmawiali.

Random czuł się niepewnie. Zupełnie jakby stał na scenie. Było to idiotyczne uczucie. Nie wiedział, co ma mówić. Nie wiedział, czy ma mówić. Nie wiedział o czym mówić. W takich chwilach codzienne, niezauważalne odruchy znikają bezpowrotnie, a każdy, choćby najbardziej rutynowy gest trzeba wykonywać tak, jak pierwszy raz. W takich chwilach można założyć kapelusz do góry nogami, albo ogolić się lusterkiem. Nic nie jest pewne.

Kobiety nigdy go nie onieśmielały i nigdy nie przywiązywał do nich większej wagi. Ta, czy inna, co za różnica? Dopóki będzie miał naszywkę Administracji Astronautycznej i odznakę Departamentu Ochrony Zwiadu zawsze będą się koło niego kręciły. Będą przychodzić i odchodzić szybko, i bez problemów. Będzie pamiętał je jako epizody i znaki szczególne. Bez imion i osobowości, i zawsze będzie wolny i samotny.

Teraz chciał Rosity Savonen. Na zawsze. Chciał mieć z nią dzieci. Chciał ją nosić na rękach.

Wziął się w garść i zaczął odstawiać obojętnego fachowca przy pracy. Włączył panoramiczny ekran. Podniósł zawieszenie wozu. Wyświetlił trasę marszruty. Podkręcił klimatyzację. Ukradkiem spojrzał w bok i nadział się na spojrzenie miodowych oczu. Badawcze i ironiczne. Mruknął pod nosem i odwrócił wzrok. Miał ochotę sprawdzić broń, ale się wstydził. Pitekantrop z karabinem.

Zablokował stery, rozpiął suwak kurtki i wydobył pudełko papierosów. Potrząsnął nim, wysuwając ustnik na zewnątrz i uniósł do ust.

– Nie poczęstujesz mnie? – spytała. Podsunął jej pudełko.

– Nie wiedziałem, że palisz – powiedział. Wzięła papierosa i trzymała czekając na ogień. Wyciągnął zapalniczkę.

– Co za kurtuazja – zakpiła. Dalej patrzyła w ten sam sposób. Jakby wiedziała i jakby ją to bawiło.

– Do usług – powiedział. – Jestem użyteczny. Prowadzę transporter, przypalam papierosy, podaję kawę do łóżka i tańczę kaczuczę.

– I mordujesz straszliwe potwory. Jesteś moim prywatnym, błędnym rycerzem płatnym od godziny. Wzruszające. – Odrzuciła głowę i wypuściła z ust strużkę dymu. Nie odpowiedział. Transporter trzymał się trasy pokonując łagodne wzgórza.

– Na ilu planetach byłeś? – spytała.

– Na dwudziestu dwóch. A ty?

– Na czterech. Robię doktorat.

– Ja nie.

Roześmiała się, jakby to był znakomity dowcip.

Miała niski, przyjemny śmiech.

– Z jakimi naukowcami pracowałeś?

– Z różnymi. Z geologami, planetologami, ksenologami...

– A z biologami?

– Też. Sam w jakimś sensie jestem biologiem. Bardzo wąsko specjalizowanym.

– Biologiem od zabijania?

– Zwierząt. Zabijam zwierzęta, żeby nie zabijały ludzi.

– Bardzo szlachetne.

– Nie jestem szlachetny. Jestem skuteczny.

– Mam nadzieję.

Kiedy dotarli na miejsce, deszcz ustał. Transporter stał wśród skał i kamieni na dnie małego wąwozu, wokół rosły szarozielone rośliny z pióropuszami włochatych liści. Panowała cisza. Random włączył wykrywacz masy, który niczego nie wykrył. Dużych zwierząt nie było w pobliżu. Odpiął pas i wstał. Rosita zrobiła to samo i poprawiła włosy. Zrobiło mu się gorąco. Zacisnął szczęki i podszedł do bakisty z bronią. Kiedy otworzył drzwiczki, zachichotała.

– Wybierasz się na wojnę? – spytała. – Myślałam, że będziesz się posługiwał maczugą.

– Zginęła mi w zeszłym tygodniu – wycedził – musiałem to pożyczyć. – Zdjął z haków obwieszoną kaburami parcianą uprząż i zaczął się ubierać.

– Po pierwsze, nie oddalaj się ode mnie poza zasięg wzroku. To jest bardzo aktywna biologicznie obca planeta. Jeżeli napotkasz zwierzę, nie ruszaj się. Jeżeli ono ruszy w twoją stronę, spojrzy, jeżeli zrobi cokolwiek, co nie będzie ucieczką, padnij na ziemię, albo przynajmniej zejdź z linii strzału, jeżeli na niej będziesz i nie wchodź na nią, jeżeli na niej nie będziesz.

– A mogę sobie nazrywać kwiatków?

– Możesz sobie nazrywać czego chcesz. Tylko uważaj. – Wyciągnął pistolet impulsowy, otworzył i zamknął z trzaskiem komorę odpalania. Zabezpieczył broń i wetknął do olstra.

Planeta przywitała ich mokrym zapachem niedawnego deszczu i rozlicznymi, obcymi odgłosami kipiącej wokół aktywności biologicznej. Rosita Savonen kroczyła beztrosko, kręcąc krągłą, opiętą polowym kombinezonem pupą, całkowicie spokojna i nieświadoma czyhających wokół zagrożeń.

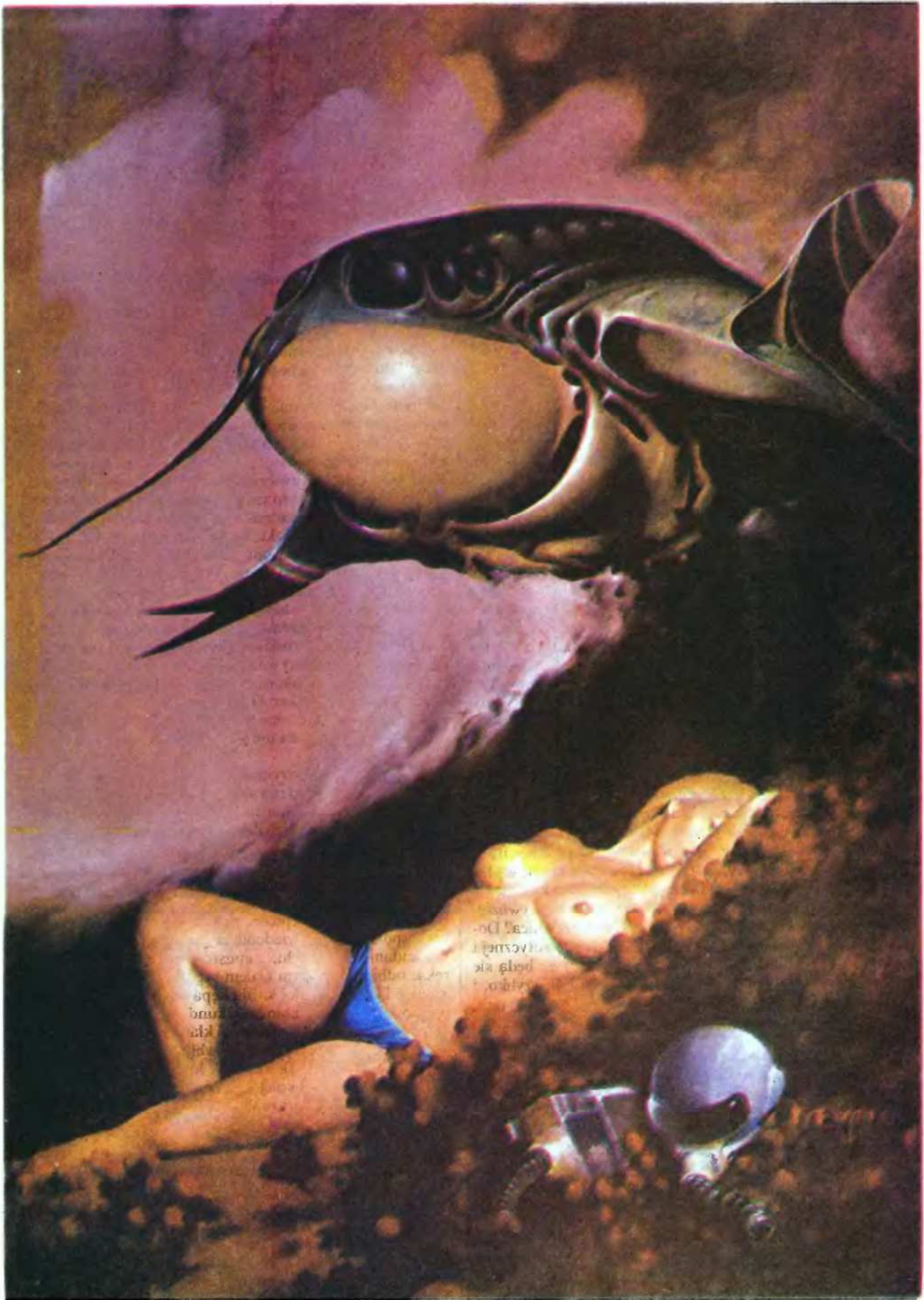
Random szedł z tyłu, z opuszczoną i rozluźnioną prawą ręką, odbierając całym ciałem sygnały z otoczenia. Każdy kamień i każdy krzak i każda kępa ostrej, niebieskawej trawy mogły w każdym ułamku sekundy eksplodować gejzerem ślepej, jadowitej furii, syczącej i kłapiącej szczękami, plującej jadem, porażającej prądem, wbijającej żądło. Każdy kamień, roślina i pagórek mógł być kamuflażem drapieżnika, który czeka na swoją kolej. Coś zatrzeszczało i z ciężkim furkotem skrzydeł wystartowało z kamienistej kałuży pod nogami. Random odetchnął i opuścił karabinek. Wydawało się, że łoskot jego serca odbija się echem od ścian wąwozu. Rozluźnił mięśnie szczęk.

Jak tak dalej pójdzie, to puszczą mi nerwy – pomyślał.

Gdyby było tak jak dawniej, to siedziałby sobie na kamieniach, palił papierosa i raz na jakiś czas spojrzał dookoła. W tej chwili był maszyną bojową – Zlokalizować – Namierzyć – Zniszczyć. Kris Random – błędny rycerz płatny od godziny.

Rosita nie zwracała na niego uwagi. Pomocniczy zasobnik sunął za nią posłusznie, kołysząc się pół metra nad ziemią,

Melvyn Grant





słuchawka detektora masy nasunięta na prawe ucho Randoma milczała. Panował spokój.

Zatrzymali się. Rosita otworzyła drzwiczki pojemnika, zmontowała jakieś skomplikowane urządzenie i przystąpiła do pobierania próbek.

Próby wody, zwierzęta wodne, plankton, drobne owady, rośliny charakterystyczne dla siedliska – widział to dziesiątki razy. Niedobrze się od tego robiło. Ekologia.

Uniósł lekko karabinek i zaczął się koncentrować na otoczeniu. Dno wąwozu, na którym stali, pokrywały drobne kamienie i rosły na nim dziwaczne rośliny z pierzastymi pióropuszami. Coś mogło siedzieć w ich koronach. Mogło się czaić na dole pomiędzy gigantycznymi okrągłymi liśćmi pokrytymi nalotem srebrzystych włosków. Coś mogło tkwić w tych oczkach wodnych, w których zatapiała sondę.

I tkwiło. Na kamienistym dnie coś się zakotłowało i wystrzeliło ku jej nogom dwoma rzutami wężowego ciała jak purpurowa błyskawica. Karabinek zaterkotał sucho, znacząc powierzchnię wody ściegiem małych fontann. Ściana wąwozu odpowiedziała tępym łomotem serii. Rosita stała pochylona z pobladłą twarzą, stworzenie skręcało się u jej nóg w konwulsyjnych splotach purpurowego cielska, z którego sterczały pokracznie zredukowane łapki. Zapadła cisza, a potem rozskrzeczały się ptaki. Random wypuścił powietrze z płuc i podszedł. Stworzenie przestało się wić i tylko krótkie kończyny uczepione do walcowatego ciała drgały konwulsyjnie.

– Masz refleks – powiedziała doktor Savonen i z bulgotem zanurzyła próbnik w wodzie.

Zmierzchało, kiedy wrócili do transportera. Rosita otworzyła zasobnik i wyjęła próby zakręcone szczelnie w plastykowych pojemniczkach. Wyglądało na to, że spędziła udany dzień.

Wojna nerwów trwała. Rosita nie zwracała uwagi na Randoma, Random udawał, że nie zwraca uwagi na Rositę. Pomału zaczął wątpić w swoją taktykę, tylko że w końcu nic innego nie mógł zrobić.

Stanął przy bakiście z bronią i rozpiął sprzączki pasów. Rosita klęczała na tle odsuniętego włazu przekładając swoje próby do plastykowych pudeł. Wyjrzało zachodzące słońce i Random mógł ukradkiem obserwować plamy ciepłego, złotego światła kładące się na jej szyi i barkach. Miała mocny profil, podkreślony lekko orlim nosem, odrobinę za długim, wyraźne brwi i zmysłowe usta. Ciekawe, kto mógł je całować? Random westchnął. Zdjął uprząż i powiesił na zaczepach karabinek. Tego dnia zabił jeszcze jedno zwierzę. Paskudną krzyżówkę kota z hieną o gibkich ruchach i długim pysku, który otwierał się niemożliwie szeroko, pokazując szeregi koślawych zębów. To była jeszcze gorsza klęska niż za pierwszym razem. Kiedy zwierzę zaczęło skakać po skałach w ich kierunku, nawet się nie przestraszyła. Wyprostowała się tylko i spojrzała. Zaczął strzelać ledwo złapał je w celownik krótką serią z bezpiecznego dystansu. Pociski trafiły stworzenie poniżej szyi rozrywając mięśnie i rzucając nim o skałę. Sturlało się na dół jak drgający łachman i legło na piargu przebierając nogami. Rosita odwróciła się i odeszła. Nie okazywała pogardy. Po prostu, nic ją to nie obchodziło. Nie oczekiwał oklasków, ale mogłaby się przynajmniej uśmiechnąć. W końcu to jej bronił.

Zamknął bakistę i odwróciwszy fotel usiadł niedbale przewieszając nogę przez poręcz.

– Pomóc ci w czymś? – zagadnął. Rosita potrząsnęła głową i odgarnęła z twarzy włosy.

– Dziękuję. Tu nie ma do czego strzelać. – Podniosła pudło z próbami i zaniosła do ładowni. Random wzruszył ramionami. Rosita szurała i łomotała czymś w ciasnym przedziale ładowni, a w końcu wyszła, prosto w pomarańczową plamę zachodzącego słońca i uśmiechnęła się. Wyglądała prześlicznie i Random oszalał jeszcze bardziej.

– Zjedzmy coś. – Wcisnęła przycisk i luk zasunął się z łomotem. Potem podeszła do wnęki kuchennej i zaczęła wyświetlać jadłospis na ekranie.

– Co chcesz?

– Wszystko jedno. To co ty. – Stała tyłem, więc mógł z całą swobodą wodzić za nią rozpromienionym wzrokiem. Pożerać ją oczyma. Rozbierać ją oczyma. Kochać ją oczyma. Patrzeć jak się krząta, taka szczupła i piękna, przygotowująca kolację dla niego. Dla nich o b o j g a. Jakby była jego żoną. Jakby robiła kolację w ich domu. O Jezu!

Co prawda, nie było przy tym zbyt wiele roboty. Wydobyła z bakist kilka puszek i plastykowych pudełeczek, wdusiła kilka przycisków. Zdążył odchylić od ściany stół i złożyć siedzenia naprzeciwko siebie, kiedy podeszła z dwoma tackami i usiadła.

„Kolacja we dwoje" – pomyślał. – Gdyby tylko wiedział. – Mieć wino, kryształowe kieliszki, jakieś świece – to by zrobiło wrażenie. Mogłaby włożyć sukienkę. Na przykład ten wzorzysty, jedwabny sarong, w którym widział ją po raz pierwszy. Teraz miała na sobie zielonkawe polowe portki i szarooliwkową podkoszulkę. Jedynym kobiecym szczegółem stroju był cienki złoty łańcuszek na smukłej, opalonej szyi. Patrzył z przyjemnością jak żuła, energicznymi ruchami szczęki, popijając wielkimi łykami. Zdecydowana kobieta, która wie czego chce i nie traci czasu na jedzenie. Złowiła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Nie do niego. Do siebie. Jakby w i e d z i a ł a.

– Dziwny facet z ciebie – powiedziała.

– Dlaczego?

– Tak sobie. Jak to się stało, że zacząłeś tu pracować?

– Lubię ryzyko. Lubię pracę, w której coś się dzieje. Lubię kosmos, nowe światy, wszystko dzikie i nietknięte. Lubię walczyć, strzelać, budzić się w nowych miejscach i polegać na swoim sprycie, sprzęcie i wyszkoleniu. Przygody, twarde życie... to ciekawe zajęcie dla mężczyzny. Robiłem już różne rzeczy, ale to mnie nudziło. Nic nie robić na dłuższą metę też nie potrafię. W końcu trafiłem tutaj. Dobrze płacą... nie wiem, spodziewałaś się specjalnych motywacji?

– Tak tylko. Dlaczego na przykład nie poszedłeś do wojska? Do komandosów?

– Do wojska? A co wojsko ma do roboty? Szkolić się latami, żeby raz być użytym przeciw jakimś terrorystom? Żeby raz na pięć lat brać udział w drobnym konflikcie granicznym? Zresztą nie mam ochoty zabijać ludzi. Poza tym, tutaj działam na własną rękę. Nie znoszę szarży i rozkazów – tu jestem wolny i niezależny. – Zaczęła się śmiać. Nagle i gwałtownie. Tak, jakby opowiedział znakomity dowcip.

– Przepraszam. To nie z ciebie, tylko tak, coś mi się skojarzyło. – Napiła się kawy i odsunęła od siebie tackę. Zamilkł i siedział speszony żując peklowaną wołowinę jak skrawek papieru.

– Nie przejmuj się tak. Wyglądasz jak gladiator, a peszysz się jak panienka. Masz kogoś?

– Kogoś?

– Kobietę, narzeczoną, dziewczynę?

– Na stałe nie.

– Tylko dziesiątki chwilowych, co?

– Słuchaj, to nie jest tak... – zaczął. Znowu zaczęła się śmiać.

– Co ty? Będziesz się tłumaczył? Stary! Przecież wiem, jak jest. Nie jestem zazdrosna. W końcu tylko mnie bronisz przed smokami. Powiedz, co byś zrobił, gdyby mnie coś zeżarło? Pomściłbyś mnie? – Wzruszył ramionami. Kpiła sobie z niego. Czyżby to aż tak było widać? Pewnie zachowywał się jak idiota.

– Nie wysilaj się – powiedział – to dla mnie po prostu praca.

Dlaczego na pokładzie nie ma alkoholu? Jak mógł nie wziąć żadnego alkoholu? Upić ją. W ostateczności samemu się upić. Królestwo za butelkę jałowcówki. Zapalił papierosa.

– Powiedz mi coś o sobie – zaproponował – masz męża? Dzieci?

– Nie mam męża ani dzieci. Nie mam na to czasu. Może później. Nigdzie mi się nie śpieszy. Ale nie jestem samotna. I nie jestem do wzięcia. Sama wybieram sobie mężczyzn, Tarzanie.

– Nie robiłem ci żadnych propozycji.

– Bo tobie się wydaje, że już mnie kupiłeś. Siedzę w twoim transporterze, wozisz mnie, ochraniasz, jesteśmy sami. Zdaje ci się, że jak jesteś takim wspaniałym samcem, obwieszonym armatami, to mi od razu stanik pęknie?

– Nie nosisz stanika – rzekł Random. – A ja nie lubię dyskutować z feministkami. Są nudne i fanatyczne. Zresztą większość z nich to lesbijki.



Piotr Łukaszewski

– Nie jestem feministką. Po prostu wiem o tobie więcej, niż ci się zdaje. Wiem nawet więcej, niż ty sam wiesz.

– Trochę ci się to wszystko poplątało, ale i tak – imponujące.

– Co?

– To, że tyle o mnie wiesz. Skąd?

– Mniejsza z tym. Kiedyś ci powiem. Żal mi cię.

– Żal?! Mnie?!

– Tak. Zresztą powiedziałam za dużo. Posłuchaj. – Dotknęła jego ręki. Miała delikatne, ciepłe palce. – Wiele rzeczy w życiu okazuje się pozorem. Jesteś sympatycznym chłopakiem i wiele rzeczy mogłoby wyglądać inaczej. Ale to nie twoja wina.

– Dziewczyno, o czym ty mówisz?!

– Nieważne. Sama już nie wiem, co mówię. – Uścisnęła lekko jego dłoń i wstała zabierając tacki i kubki. Zniknęła w kuchennej wnęce, zawył młynek do śmieci, a ona zaczęła mówić o jutrzejszym dniu, o badaniach i pogodzie. Random nie słuchał. Coś nie zostało dopowiedziane, a Random nie znosił niedomówień. Ona wiedziała. To jasne. Wiedziała od samego początku. Tylko o co, u diabła, chodzi w tej całej gadce?

Wstał i otworzył swoją osobistą bakistę. Miał tam książki, bieliznę, papierosy, karty, kasety, przewracał to wszystko nerwowo szurgając przedmiotami. Na kutrze coś by się znalazło, ale tutaj... Wstał i kopniakiem zatrzasnął drzwiczki. To jest klęska. Ona wie, i ma to gdzieś. Bez względu na to, co tam miała na myśli, to jest klęska. Z jakichś niejasnych kobiecych powodów – nieważne. Zaraz. W kuchni? Nie. Ostatnio latał z tym geologiem Hansenem. Facet był regularnym... gdzie on spał? Na trzeciej hundce. Kucnął przy trzeciej hundkoi, podniósł żaluzję, wysunął materac i wsadził rękę głęboko w podręczną niszę na drobiazgi. Jest! Jak rany, jest! Wiwat stary oliwa Hansen! Alkoholiczny święty Mikołaj. Potrząsnął piersiówką, niewiele tego, ale zawsze. Zbierze się ponad ćwiartka.

Random usiadł przy stoliku, wydłubał papierosa z pudełka i otworzył butelkę. Zapalił i pociągnął łyk. Taki bez przesady. Na początek. Rosita wyszła z kuchni z foliowym opakowaniem sześciu puszek lemoniady. Szurnęła je po blacie i usiadła naprzeciwko.

– Napijesz się? – Skinęła głową. – Przyniosę jakieś szklanki.

– Daj spokój – powiedziała. – Nie latam od wczoraj.

Wzięła od niego butelkę i pociągnęła spory łyk. Skrzywiła się, oddała butelkę i rozerwała folię, wzięła sobie puszkę. Random otworzył drugą.

– Słuchaj – zaczął niepewnie. – O co ci chodziło przed chwilą? Męczy mnie to. – Pokręciła przecząco głową i odgarnęła włosy.

– Nic. I nie mówmy o tym. Dowiedziałam się czegoś. Czegoś, czego nie powinnam się była dowiedzieć.

– Czegoś o mnie?

– Tak i nie. Zresztą, sam się kiedyś dowiesz. Nie pytaj więcej. Chcę o tym zapomnieć. Gdybym potrafiła, wszystko by było inaczej.

– Wszystko?

– To, co cię męczy. Nie chcę o tym mówić. Nie chcę, rozumiesz! Daj butelkę. – Podał jej butelkę. Wypiła i bardzo szybko popiła lemoniadą. Wzdrygnęła się. – Nie chcę już pić. Nie umiem. Wolałabym się upić.

– Dlaczego?

– Dlatego. Przestań mnie męczyć. Nic cię to nie obchodzi.

– Dobra. Przepraszam. Nie powinienem był pytać.

– Nie powinieneś. Gdzie mam spać?

– Możesz w mojej sypialni, ja się prześpię na kanapie w salonie.

– Och, nie zgrywaj się.

– W tym transporterze jest sześć hundkoi. Jedna jest zajęta, ale wszystkie są do twojej dyspozycji.

– Już mówiłam, że sama o tym decyduję.

– Masz wolny wybór. – Pociągnął łyk żytniówki, a potem papierosa. Rosita wstała i podeszła do otwartej koi Hansena.

– To twoja?

– Strzał w dziesiątkę – to nie moja. – Wydobyła z bakisty swój śpiwór i rozwinęła go na materacu, potem znalazła kosmetyczkę i poszła do łazienki. Random też wstał od stołu, wziął butelkę, wlał przyzwoitą dozę do na wpół pustej puszki, zabrał papierosa, zapalniczkę i kołysząc płynem w pojemniczku ruszył do wyjścia. Przeszedł ciasny korytarz między ładownią i łazienką i skręcił do śluzy. Właz odsunął się ze świstem pneumatyki ukazując pochmurną noc, czarną jak smoła.

☞

Melvyn Grant



Random usiadł na schodkach trapezu, usiłując dojrzeć gwiazdy. Znowu mżyło. Gdzieś w głębi nocy zwierzęta rozmawiały obcymi głosami. Coś postękiwało, gwizdało, tupało, szeleściło krzakami.

Coś się dzieje. No więc, dowiedziała się czegoś. Mętne aluzje, że może chciałaby, gdyby nie to coś, czego się dowiedziała. O co, do jasnej cholery, chodzi? Nic z tego wszystkiego nie będzie. Do diabła z tym. Pociągnął łyk i zapatrzył się w noc, ale widział tylko ją. Widział, jak się uśmiecha, pokazując ładne, białe zęby, jak odgarnia włosy z twarzy, jak trzyma go za rękę.

Po co się męczyć. Dopił resztkę. W ciemności, poza plamą światła padającego z włazu zapłonęło troje purpurowych oczu. Rzucił w nie puszką. Zaklekotała o kamienie i oczy zgasły. Wyrzucił papierosa, wstał i poszedł do kuchni. Otworzył wnękę medyczną, a potem apteczkę. Znalazł buteleczkę i wyrzucił czerwoną kapsułkę na dłoń. Libidan. Dają to wojsku. Dają to astronautom. Jedna kapsułka i spokój z kobietami na dziesięć godzin. Tylko, że to załatwia tylko fizyczną stronę problemu. Znalazł kubek, nalał wody, po czym trzasnął kapsułkę do zlewu i wylał wodę.

Szczęknęły drzwi do łazienki, potem wizgnął zamykany właz wejściowy. Rosita przeszła przez kabinę naga, ubrana tylko w trójkąt skąpych, niebieskich majtek i podeszła do bakisty. Random poczuł na całym ciele lodowate ciarki. Krągłe, drobne piersi kołysały się kiedy szła, potem kiedy nachylała się przy bakiście. Poczuł, że krew uderza mu do twarzy. Niemal usłyszał szelest napełniających się naczyń krwionośnych.

– Rosita – prawie wyszeptał. Małe dłonie, smukłe uda i płaski brzuch. Ciemne włosy opadały jej na twarz. Odgarnęła je i wtedy coś w nim pękło. Podszedł i wziął ją w ramiona. Przywarła do niego całym ciałem, poczuł jej dłonie na plecach, na karku. Odrzuciła głowę w tył, poczuł na wargach gorący oddech, po czym zesztywniała i jej usta uciekły na bok. Odwróciła głowę i odepchnęła go lekko.

– Nie – szepnęła – nie mogę tak. Nie mogę. Puść mnie.

– Co się stało? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

– Nic. Przepraszam. Naprawdę. Uwierz mi, że nie mogę. To nie fair wobec ciebie.

– Znowu to coś?

– Tak. Puść mnie, Kris. Przepraszam cię. – Puścił ją z poczuciem zupełnej bezradności. Odwróciła się, ukazując szczupłe plecy i ramiona okryte ciemnymi włosami. Wydobyła świeżą podkoszulkę i wciągnęła ją przez głowę. Random usiadł i zapalił następnego papierosa.

Tej nocy wziął kapsułkę i udało mu się zasnąć.

Rano prawie nie rozmawiali. Zjedli śniadanie, a potem ruszyli. Random usiadł przy sterach i poprowadził pojazd poprzez wąwóz, lawirując między głazami i przejeżdżając przez mniejsze kamienie. Było pochmurno.

W wapiennych ścianach wąwozu pojawiły się jaskinie, a sam kanion rozszerzył się i roślinność była tu znacznie gęstsza. Random prowadził w milczeniu.

Kiedy dojechali na miejsce, rozległ się brzęczyk trasera. Transporter stał kilkanaście metrów od niewielkiego stawu.

– To jest to jeziorko – odezwała się Rosita z zadowoleniem. – Tam na górze, za wąwozem znajduje się step, a tu jest wodopój. Widzisz ścieżki?

– Widzę – powiedział Random. Wodopój oznacza różne zwierzęta. Bardzo różne. Random wstał i przygotował broń. Obyło się bez docinków.

Przy wodopoju panowała martwa cisza. Zwierząt nie było widać, jeżeli nie liczyć kilku wielkich ptaków, które na ich widok poderwały się z ciężkim łopotem skrzydeł i zaczęły krążyć w górze. Jak sępy – pomyślał Random. Czuł niepokój. Rosita szła spokojnie, zasobnik ze sprzętem sunął za nią posłusznie, i nigdzie nie było śladu najmniejszego zagrożenia.

Czuł ucisk impulsowego karabinka założonego na automatyczny podajnik złożony wzdłuż pleców. Jeden ruch przedramienia i masz broń w ręku. Dwie dziesiąte sekundy. Jednak czuł niepokój. Nieokreślone przeczucie dławiące gdzieś w dołku. Za gładko to wszystko szło.

Stanęli nad brzegiem stawu i Rosita zaczęła montować swój sprzęt.

– Weźmiemy próby wody, potem poszukamy śladów zwierząt, które z tego korzystają – mówiła – na noc założymy pułapkę fotograficzną i po robocie. – Sonda z bulgotem zanurzyła się w wodzie. Rosita przygotowała sobie rząd plastykowych pojemniczków, odwróciła się i wydobyła próbnik. Po ciemnej powierzchni wody przesunęła się zmarszczka drobnych fal, ale nie było wiatru. Random podszedł do brzegu i spojrzał uważniej.

Wszystko nie trwało nawet sekundy.

Tuż przed jej nachyloną twarzą woda wystrzeliła nagłym gejzerem. W rozprysku drobnych kropel zdążył zauważyć biały, obły łeb na giętkiej członowanej szyi i dwa hakowate odnóża, które objęły Rositę i wciągnęły pod powierzchnię. Zaklekotał podajnik i broń wskoczyła Randomowi do ręki, ale nie było do czego strzelać. Było po wszystkim. Powierzchnia wody uspokoiła się. Porzucony próbnik pływał przy brzegu, na którym leżały rozsypane pojemniki, jeden z nich z cichym bulgotem napełniał się wodą. Było po wszystkim. Spojrzał na rozsypany przy brzegu sprzęt i w tym momencie eksplodował rozpaczą i bezsilną furią.

– Rosita! – ryknął głosem dzikiego zwierzęcia i runął w wodę. Wiedział doskonale, że idzie o sekundy. Rosita znajdowała się pod powierzchnią i walczyła z koszmarnym stworzeniem. W tej sytuacji, powietrza mogło jej wystarczyć najwyżej na dwadzieścia sekund.

Woda w bajorze była płytka – sięgała mu do ramion, zaś sam stawek miał nie więcej niż trzydzieści metrów kwadratowych. Żadne duże zwierzę nie mogło w nim mieszkać na stałe. Nabrał powietrza i zanurkował. Woda była mętna, ale nie tak, żeby nic nie było widać – widoczność sięgała dwóch metrów. Część mózgu, sparaliżowana przerażeniem i rozpaczą została wyłączona. Random stał się bojową maszyną. Potrzebował kilku sekund, żeby spenetrować dno jeziorka. Nie było żadnych śladów. Zapalił diodową latarkę przymocowaną do lufy karabinka i smuga światła rozcięła brudnozieloną otchłań. Dostrzegł pod nawisem ściany wąwozu czarną szczelinę wysokości metra i wypłynął na powierzchnię.

Umiał błyskawicznie kalkulować szanse – tego go nauczono.

Stworzenie nie rozszarpało jej natychmiast – w wodzie – czyli wciągnęło ją do tej jaskini. Tam, w głębi musi być więcej miejsca – o ile kanał idzie do góry, ponad poziom lustra wody – jest szansa. Dziewczyna się nie utopi, a on będzie mógł działać.

Pięć sekund na hiperwentylację płuc i pod wodę. Złamał się w pół i zanurkował stromo trzymając broń przed sobą. W szczelinie było dużo miejsca, co zrozumiałe – zwierzę było duże. Kanał prowadził ukośnie w górę, a więc do powietrza. Drobiny pyłu kołysały się w świetle latarki. Sięgnął po omacku do regulatora mocy karabinka i przesunął go do przodu. Od tej chwili miniaturowe pociski jego broni uderzą w cel z większą prędkością początkową i wytworzą w momencie trafienia pola siłowe o większej średnicy. Teraz miał w rękach niemal szybkostrzelne działko.

Krew zaczęła mu łomotać w skroni i stalowa obręcz ścisnęła płuca jak beczkę. Po następnej sekundzie kamieniste dno, nad którym płynął uniosło się jeszcze bardziej do góry i zobaczył przed twarzą falującą lustrzaną powierzchnię, w której odbijało się oślepiające światło jego latarki.

Przebił ją głową i wyskoczył nad wodę z bronią gotową do strzału, chwytając powietrze między dziko wyszczerzonymi zębami. Korytarz wiódł dalej pod górę. W stropie znajdowało się jeszcze odgałęzienie, przez które wpadała odrobina bladego światła – a więc jest jeszcze jedno wyjście. Zza zakrętu dobiegł grzmiący jadowity syk i jej krzyk – krztuszący się wodą spóźniony krzyk wstrętu i przerażenia – jej głos. Random rzucił się wzdłuż korytarza chlupiąc wodą tryskającą z butów, klekocąc uwieszonym na pasach uzbrojeniem, z karabinem przy biodrze.

Wyminął zakręt korytarza i wtedy światło latarki wypełniło niewielką jaskinię. Stworzenie było ogromne – miało ze trzy metry wysokości, obły, biały łeb pokryty białymi płytkami jak pancerz żółwia, z dwojgiem owalnych oczu po bokach, długie odnóża złożone jak u modliszki wyrastały z pionowej części tułowia okrytej pancerzem. Niżej zdążył jeszcze

dostrzec drugą, owalną jak beczka, z dwoma parami płetwowatych nóg.

Rosita leżała wciśnięta między kamienie pod ścianą komory i nie mogła się ruszyć, bo długi ogon stworzenia, opatrzony hakami przyduszał ją do ziemi. Wokół niej kłębiły się ciała i kończyny gromady małych potworów. Owalne głowy unosiły się na giętkich szyjach i z sykiem strzelały w jej kierunku. Rosita zasłaniała się ramieniem i przesiąknięty krwią rękaw kurtki wisiał już w strzępach. W pieczarze cuchnęło.

Lustracja trwała ułamki sekundy. Stworzenie błyskawicznym ruchem odwróciło się do Randoma i sycząc jak krztusząca się sprężarka rozwarło paszczę wysuwając lśniące dziąsła najeżone palisadą hakowatych zębów. Masywny łeb z wysuniętą szczęką i kolczaste kończyny skoczyły w jego kierunku i wtedy otworzył ogień. Ogłuszające staccato karabinka wypełniło pieczarę. Zapanowało piekło. Łoskot ziejącej ogniem broni, nieziemski pisk, dym, trzepot kończyn, rozpryskujące się tkanki, wściekły ryk Randoma. Stworzenie szarpnęło się do tyłu szatkowane strumieniem pocisków i runęło pod ścianę miotając się w konwulsjach. Random wskoczył do jaskini i przeciągnął ogniem po potomstwie zwierzęcia.

Rosita nadal leżała między kamieniami. Przyciskała do brzucha pokrwawioną rękę i dyszała trzęsąc się jak w febrze. Szeroko rozwarte brązowe oczy nie widziały nic.

– Rosita... – szepnął. Objęła go za szyję. Podniósł ją na jednym ręku jak dziecko, drugą ręką podniósł broń i ruszył do wyjścia. Przecisnęli się przez korytarz do rozgałęzienia, potem Random wślizgnął się w górną odnogę i wciągnął ją za sobą. Dała się prowadzić zupełnie biernie i wciąż dygotała. Na końcu korytarza widać było światło.

Wyszli z pieczary w ścianie wąwozu i zeszli po kamieniach. Jeziorko wyglądało tak samo jak przedtem i biały stelaż próbnika wciąż pływał przy brzegu. Transporter stał nieruchomy w tym samym miejscu i niewiarygodnie bezpieczny. Wciąż było cicho i spokojnie. Kiedy zeszli na dół, Rosita wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Płakała w jego ramionach, a on głaskał ją trzęsącymi się rękami, całował po włosach, sam znajdując się na granicy histerii. W tym stanie weszli do transportera.

Random otworzył wnękę medyczną, wysunął kozetkę i włączył układy diagnostatu. Rosita drżała coraz gwałtowniej, spazmatycznie wciągając powietrze. Przeraził się, że zwierzę było jadowite i że ona umrze teraz, na jego rękach. Zdarł z niej ociekające wodą ubranie i nagą ułożył na kozetce. Zaciągnął pasy i włączył program ATAK NIEZIDENTYFIKOWANEGO ZWIERZECIA SZOK + OBRAŻENIA. Układy automatu ożyły, rozległo się miarowe popiskiwanie wskaźników. Ultradźwiękowa końcówka z ampułką środka uspokajającego dotknęła jej ramienia i drżenie ustało.

Random sam zaczął dygotać. Wziął się w garść. Zdjął mokre ubranie i założył suche. Znalazł butelkę i wlał resztkę alkoholu do gardła. Pomogło. Kiedy zapalał papierosa, palce miał prawie spokojne.

Kiedy Rosita obudziła się, transporter sunął w kierunku pozostawionego na stepie kutra, Random w tym czasie zawiadomił „Konkwistadora" o wypadku i otrzymał zezwolenie na przerwanie wyprawy.

Prawą rękę miała pokrytą śnieżnobiałą powłoką sterylnego opatrunku i założoną na elastyczny temblak.

Nie spodziewał się cudów, kiedy podchodził, żeby ją objąć.

Ale nie spodziewał się też, że go odepchnie.

– Posłuchaj – powiedziała. Miała poważną, skupioną twarz. – Uratowałeś mi życie. Dziękuję – wiem, że to brzmi głupio. – Miała zupełną rację. – Wiem, że powinnam zareagować inaczej – nie myliła się ani o jotę. – Nie mogę inaczej. To nic nie zmienia, ale nigdy cię nie zapomnę. – To zabrzmiało jak pożegnanie i dokładnie tym było.

Nie miał wielkiego wyboru.

– Kocham cię – powiedział. Świat stanął w miejscu.

– Wiem – odparła z rezygnacją i smutkiem. Zapadła cisza, w której świat walił się w gruzy. Słońce zaczęło gasnąć.

– Kochałem cię od początku. – Jeszcze jedna próba skazana na klęskę w momencie rozpoczęcia. – Tylko dlatego zdołałem cię uratować.

– Dokładnie o to chodziło. – Zmartwiał. Słyszał dźwięki, ale pozbawione sensu. Dokładnie o to chodziło. DOKŁADNIE O TO. – Występowaniu emocji towarzyszy wydzielanie mikroskopijnych ilości neurohormonów, które pobudzają struktury kory mózgowej. Jeżeli się umie w to ingerować, można wywołać każde uczucie – także miłość. Robili ci jakieś zastrzyki, prawda? To nie były zastrzyki. Przynajmniej niezupełnie. I nie te, o których ci mówili. Zostawili cię samego? Wdychałeś z powietrzem feromony. Patrzyłeś na jakiś ekran? Pokazali ci poklatkowo moje zdjęcie. Prawie sugestia hipnotyczna. Nie miałeś żadnych szans. Kochałeś, zanim zobaczyłeś mnie na oczy. – Zastrzyki. Ekran – migocący ekran bez obrazu. Powietrze. Przesycone chemikaliami powietrze w pustym pokoju o białych ścianach. Musiał ją kochać.

– Na miłość boską, dlaczego?

– Za dużo było wypadków. Naukowiec to rzadkie i kosztowne zwierzę. Stałeś się najlepszą ochroną na świecie. Prędzej byś zginął, niż dopuścił, żeby coś mi się stało. Boże, co za ohyda. Najbardziej cyniczne drań若stwo na świecie. Gdybym nie wiedziała, albo tego nie było, może potrafiłabym cię pokochać. Jesteś inny niż reszta tych ochroniarzy. Tylko, że wtedy nie kochałbyś mnie. Nie chcę miłości, którą można włączyć i wyłączyć jak program. Teraz cię odwarunkują i zapomnisz o mnie. Tak jest najlepiej.

Płakała. Też chciał płakać, ale nie umiał. Umiał rozwalić pięścią dwucalową deskę, ale tego nie umiał.

– Skąd wiedziałaś? – Miał głuchy, drewniany głos, jak wszystkie automaty.

– „Konkwistador" to nie jest taki wielki statek, jak się wydaje. A biolodzy, to zupełnie małe miasteczko. Czegoś takiego nie da się utrzymać w zupełnej tajemnicy. Ktoś coś bąknie, inny chlapnie po pijaku i można sobie dośpiewać resztę. Znam jednego biochemika z departamentu medycznego, paru fizjologów. Tego pytano o to, tamtego o tamto, łatwo to połączyć. Któryś z nich zapowiedział, że będę miała ciekawą wyprawę – bardzo go to bawiło. Zresztą mnie też, z początku. Wydawało mi się, że to nic wielkiego, nie wiedziałam, że to będzie tak.

Milczał. To nie może być prawda. To niemożliwe. Milczał.

Transporter jechał przez mały, smutny świat zasnuty deszczem. Świat, w którym żyły małe cyniczne gnojki i łamały ludziom życie, bo tak im się podobało.

Kochał ją nadal – sugestia hipnotyczna. Zastrzyki. Feromony. Neurohormony – biochemia. Pastylki. Miłość.

Milczał. Kuter stał wśród fioletowych krzaczków, jak rozkraczony szkielet żaby. Po kadłubie dreptały nastroszone, czerwone ptaki, teraz podrywały się wystraszone pojawieniem się transportera. Wjechał między podpory i uruchomił wciągarkę, uchwyty objęły transporter i z jękiem sprężarek uniosły go do ładowni. Nadal nie odzywali się wychodząc przez luk zejściówki i siadając w fotelach kokpitu.

Rosita starała się na niego nie patrzeć. Utkwiła wzrok w rozkołysanym, fioletowym morzu obgryzając pilnie skórkę przy paznokciu kciuka. Siedzieli w milczeniu, jak skłócona para, wracająca z nieudanego przyjęcia. Zupełnie, jakby ich cokolwiek łączyło. Kuter schował podpory i z rozjarzonymi kręgami pędników grawitacyjnych wystartował w ołowiane niebo.

Jarosław J. GRZĘDOWICZ

Urodził się w 1965 r. we Wrocławiu. Jeden rok studiował biologię; obecnie jest na trzecim roku psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Debiut w 1982 r. w łódzkich „Odgłosach" opowiadaniem „Azyl dla starych pilotów" (później ukazały się tam jeszcze m.in. „Ruleta" i „Twierdza Trzech Studni"); ponadto druk opowiadań w wydawnictwach klubowych. J.J.G. był członkiem-założycielem głośnego TRUSTU, ostatnio jest współpracownikiem „Klubu Twórców" funkcjonującego przy warszawskiej Stodole.

(mp)

Kiedy znaleźli się na orbicie i można było rozpiąć pasy i wstać, korzystając ze sztucznej grawitacji, Rosita wydobyła ze skrytki to samo pismo, które czytała na początku wyprawy i zaczęła przewracać kartki.

Chciał rzucić pracę. Wyjechać, upić się, uciec. Zaszyć w suchych liściach. Za pół godziny będzie po wszystkim. Dostanie zastrzyk, może ktoś strzeli palcami, albo klaśnie w ręce, i wszystko się skończy. Za tydzień nie będzie już pamiętał, jaki kolor miały jej włosy, kiedy gładziło je zachodzące słońce. Może dostanie dodatek do pensji?

Zabiorą mu ją. Nawet nie będzie mógł jej kochać. Wiedział już co ma robić, kiedy mała zielona iskierka zawieszona wśród gwiazd zamieniła się w światła pozycyjne „Konkwistadora".

Wyznaczono mu dok, wleciał do środka i ustawił kuter na rozjarzonym prostokącie.

Wiedział doskonale, co musi robić, żeby to wszystko nabrało sensu. Nie zabiorą mu jego miłości. W końcu, niezależnie od wszystkiego, to była miłość, a to znaczy, że była autentyczna, bez względu na to, skąd się wzięła. Dlatego musi ją zachować.

Rosita zbierała akurat swoje rzeczy, więc nie zauważyła, jak wyciągał z bakisty kaburę z paralizatorem i upychał w wewnętrznej kieszeni kurtki.

Kiedy korytarz przejściowy przyssał się do ich włazu, zatrzymała się i pocałowała go w policzek. Prawie w policzek. Właściwie w kącik ust. To przesądziło o wszystkim.

– Dziękuję za wszystko – powiedziała.

Rozdzielili ich natychmiast i bardzo sprawnie. Stało się to w śluzie. Kiedy wyszli z korytarza, natychmiast otoczyli ich lekarze. Wszyscy bardzo dużo mówili i szybko wyprowadzili ją z pomieszczenia. Na Randoma czekało tylko dwóch, i natychmiast, delikatnie, ale stanowczo, wprowadzili go do małego pokoju z białymi ścianami. Jeden z nich przygotował ultradźwiękową strzykawkę.

– No, bracie – powiedział wesoło – to nie będzie bolało. – Delikatnie ujął ramię Randoma nad łokciem. – Rękaw – powiedział z uśmiechem.

– Ciach i po krzyku – zauważył radośnie pomocnik. Random też się uśmiechnął i grzmotnął czołem uszczęśliwioną twarz sanitariusza i niemal równocześnie grzbietem pięści w podbródek drugiego, który nawet nie zdążył spoważnieć. Obydwaj zwalili się na podłogę, bez cienia życia i radości w twarzach. Random schylił się i delikatnie podniósł z podłogi strzykawkę. Rozładował komorę i wyjął kapsułkę. Była nieoznakowana. To nic, znajdą się tacy, którzy ją zidentyfikują. Zawsze to dowód. Zamknął ją w małym, plastykowym pudełeczku i schował do kieszeni. Drzwi były zablokowane, więc je wyłamał. Nie zakończył jeszcze swojej misji idealnego ochroniarza Rosity Savonen. Miał zamiar nie kończyć jej nigdy.

Pułkownik Raiser nie był żadnym pułkownikiem. Był szefem departamentu ochrony zwiadu, a tytuł pułkownika zachował z czasów służby w desancie kosmicznym. Zawsze lubił, gdy się tak do niego zwracano, ponieważ był zupakiem. Wyglądał na czterdzieści lat, bo uważał, że to odpowiedni wygląd dla kogoś, kto ma być dowódcą. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy ostrzyżone na krótkiego, stalowego jeża, koszulkę, szorty i trampki koloru khaki i zginał nad głową gimnastyczną sprężynę z uchwytami, kiedy odwiedził go doktor Hlodwing. Hlodwing był absolutnym cywilem i przyszedł panikować. Poza tym, był w departamencie ekspertem do spraw psychologii.

– Random uciekł! – wykrzyknął dramatycznie. Pułkownik przestał wyginać sprężynę. – Pobił lekarzy, którzy mieli go odwarunkować i zniknął – kontynuował Hlodwing.

– Ucieczka tu – na statku? Dokąd? – błysnął intelektem Raiser.

– Nie wiem dokąd – rzekł Hlodwing cierpliwie. Uspokoił się. Raiser zawsze go uspokajał, ponieważ go denerwował. Sam Hlodwing tłumaczył ten paradoks kompleksem ojca. – Trzeba go znaleźć, zanim narobi bigosu. On jest nadal uwarunkowany i w tym stanie jest zdolny do wszystkiego.

– Ale dlaczego uciekł? On *wiedział*?

– Nie wiedział, ale najwyraźniej się dowiedział. Nie rozumiemy jeszcze dlaczego nie pozwolił się odwarunkować, ale prawdopodobnie jest to związane z kompleksem ojca. Ważne jest, że jest w stanie szoku i prawdopodobnie uzbrojony.

– Uzbrojony?

– Tak. Na jego kutrze brakuje paralizatora. – Pułkownik odłożył sprężynę i wyjął z szuflady biurka masywny pistolet impulsowy. Zarepetował go i położył na klawiaturze komputera.

– Gdzie on może być? – spytał. – Tylko nie pieprz, że szuka matki.

– Skąd mam wiedzieć? Na tym statku są cztery pokłady i ze siedemdziesiąt kilometrów korytarzy. Tu pracuje i mieszka ponad tysiąc ludzi. On może być wszędzie i może być niebezpieczny. Na przykład, może chcieć się mścić. Uważam, że trzeba zawiadomić policję.

– I wszyscy dowiedzą się o tych zasranych eksperymentach? Chcesz, żebyśmy wylądowali w pudle?

– Powiemy, że oszalał w trakcie ekspedycji.

– Żaden łaps na tym statku nie da rady go zaaresztować. Ten człowiek jest wyszkolony w unikaniu i zwalczaniu niebezpieczeństw. Prawie nikt tutaj go nie powstrzyma. – Przybrał spiżowy wyraz twarzy. – Przeciw wilkom, doktorze, potrzebne są inne wilki. – Zastanowił się – To cytat – dodał. – Wezwij wszystkich moich ludzi.

Random siedział w małym barze obsługi doków startowych i sączył rum z colą trzymając na kolanach paralizator zawinięty w kurtkę. Patrzył na drzwi. O tej porze w barze było tylko kilku techników popijających przy szynkwasie.

Był pewien, że departament nie wezwie policji, by go zatrzymać. Takie numery z pewnością są nielegalne – eksperymenty na ludziach. Ciekawe, czy już wiedzą, że uciekł. Na pewno. Będą czekać przy jego kabinie, będą łazić po głównym korytarzu. Będą sprawdzać knajpy. Może obstawią Departament Informacji. Mógłby na przykład chcieć iść z tym do gazety. Trzeba ruszać. Najważniejsze to nie siedzieć w jednym miejscu. Dopił rum, zgasił papierosa i wyszedł przewieszając kurtkę z ukrytą bronią przez rękę. Ciekawe, co powiedzą chłopcom? Pewnie, że mu odbiło. Uwierzą. Każdy by uwierzył. Przy takiej robocie musi odbić prędzej, czy później. Wyjaśnią im, że nie ma sensu robić paniki i tak dalej.

Wszedł do kanału komunikacyjnego, przejechał na Pasaż Obwodowy i wtopił się w tłum. Szedł wolno, wzdłuż migających reklamami automatycznych sklepików i nie zwracał na siebie uwagi. Kilkadziesiąt metrów dalej znalazł automatyczną kawiarnię z dancingiem i wszedł do środka. Wideofony znajdowały się na ścianie przy wejściu. Znalazł swoją kartę, wsunął ją do aparatu i wystukał numer Sicherunga. Numer nie odpowiedział. To samo u Tonbye'ego i Connaughta. Ledohoskiego także nie było. Zaczęło się. Wystukał numer informacji i dowiedział się, że Rosita Savonen ma numer C-899 Kabina 899, pokład C. Zażądał planu „Konkwistadora" i po chwili plastykowa mapka wysunęła się ze szczeliny aparatu.

Na pokład C pojechał trzema różnymi windami, klucząc po korytarzach, zmieniając kierunki, jeżdżąc kanałami komunikacyjnymi i miotając się jak kurczak bez głowy. Zatrzymał się po drodze tylko raz, w ekskluzywnym sklepie dla pasażerów, gdzie za potworne pieniądze kupił jedną żywą, czerwoną różę.

Kajuta Rosity znajdowała się w kompleksie mieszkalnym „Flora", bardzo ładnie położonym, na uboczu, w korytarzu przylegającym do oranżerii. Nie spotkał nikogo – widocznie mieszkający tu biologowie byli akurat w pracy. Było bardzo cicho, zgiełk głównego korytarza został gdzieś za wahadłowymi przeźroczystymi drzwiami z napisem „Flora Apartments". Random szedł powoli, słysząc alarmowy łomot serca, tłukącego się boleśnie pod mostkiem, szedł z owiniętą szeleszczącą folią różą w opuszczonym lewym ręku, z rozluźnioną prawą, z paralizatorem tkwiącym pod kurtką w kaburze, szedł do niej. Nie bał się luf wymierzonych w jego głowę, bał się rozmowy, która go czekała za chwilę. Nie mógł tylko pozwolić, żeby dostali go teraz.

Prześlizgnął wzrokiem po gładkich białych ścianach z syntetycznego marmuru, zapamiętując miejsca, w których sam zastawiłby pułapkę, zlustrował kłęby tropikalnych liści za omywanym wodą szkliwem oranżerii, zbyt cienkim, by powstrzymać wiązkę paralizatora. Nie słyszał cichego szelestu ubrania, przełykanej śliny, oddechu, nie czuł potu zaczajonego człowieka z bronią. Cicho szumiała woda w małej, marmurowej fontannie. Nikogo nie było.

Znalazł czarne eleganckie drzwi z mosiężnymi cyframi 899. Bał się tych drzwi.

Nacisnął dzwonek.

Czekał bardzo długo, ale mały ekranik kontaktora pozostał ciemny. Rosity Savonen nie było w domu.

Wszedł do oranżerii i usiadł na ławce w najbardziej zarośniętym kącie obserwując korytarz majaczący za szybą. Pluskała woda, egzotyczne, kolorowe ptaki skrzeczały i świergotały nad jego głową miotając się wśród tropikalnych liści.

Palił papierosa i czekał. Długo. Bardzo długo.

Rosita nadeszła w końcu. Przez spłukiwaną potokami wody szybę widział niewyraźnie, ale poznał ją natychmiast. Dał jej kilka minut, po czym ostrożnie przeszedł przez korytarz i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się od razu. Rosita stała w progu i wyglądała prześlicznie. Ciemne włosy spadały jej teraz na ramiona w długich, gęstych lokach, miała delikatny makijaż, jedwabną ciemnoczerwoną tunikę w syjamskie wzory, pachniała delikatnie i tajemniczo. Uwielbiał ją.

– Co ty tu robisz?! – spytała. Z miodowych oczu wyzierała otchłań zdumienia.

– Mogę wejść?

Cofnęła się.

– Wejdź. – Podał jej różę. Folia rozsypała się snopem tęczowych iskier, zamieniając krople na płatkach w diamenty.

– To dla mnie? – spytała Rosita cicho. Nagle rozzłościła się i czar prysnął.

– Jak u diabła mnie znalazłeś?! Dlaczego dajesz mi kwiaty?! Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?!

Powiedział jej. A potem zaczął mówić o swojej miłości. O jego własnej, najprawdziwszej w świecie miłości.

– Założę się, że on tam jest – powiedział doktor Hlodwing, właściwie nie dygocąc. Stali w korytarzu Flora Apartments. Zwiadowcy przebiegali wokół nich bezgłośnie, ubrani w przeciwradiacyjne kamizelki. Pułkownik Raiser trzymał w jednym ręku pistolet impulsowy, a w drugim złożone kajdanki, na szyi miał krótkofalówkę, a w zębach cuchnące cygaro.

– Mam nadzieję, że tym razem masz rację – wycedził. Miało to zabrzmieć groźnie, ale zabrzmiało niewyraźnie. Zwiadowcy rozbiegli się po korytarzu, zajmując stanowiska. Zapanował względny spokój.

– Zmywajmy się – powiedział Raiser wyjmując z ust cygaro. – Do oranżerii. – Przykucnęli za liśćmi ogromnego figowca, na białym żwirku i czekali. Raiser skinął na jednego ze strzelców, który przygięty jak pod ostrzałem podbiegł i przywarował obok, z paralizatorem w ręku i czapką daszkiem do tyłu.

– Ledohoski – wysyczał pułkownik zionąc cuchnącym dymem. – Przyczaisz się za tamtymi krzakami. Sicherung odwróci jego uwagę, a wtedy go trzepniesz – tak jak się umawialiśmy.

– Tak jest, szefie.

– No, spływaj. Tylko uważaj – on jest niebezpieczny. Żadnej fuszerki.

Strzelec zgięty wpół pogalopował w egzotyczne krzaki i przyczaił się opierając lufę o konar palmy.

– Przecież on to wiedział – zaprotestował Hlodwing. – Dlaczego zawracasz mu głowę?

– Cicho, czekamy.

Zapadła cisza.

– Do ciężkiej cholery!

– Co się stało?

– Ptak narobił mi na rękaw.

– Zamknij się! On zaraz wyjdzie.

Rosita milczała. – Nie kocham cię – powiedziała w końcu. – Ty też mnie nie kochasz, to tylko złudzenie. Nic na to nie poradzę. Mam własne życie i nie ma w nim dla ciebie miejsca. Nie kocham cię. Zrozum to. Zostaw mnie. Daj mi spokój. Nie pasujemy do siebie. Nie znamy się. Odejdź i nie wracaj więcej. Nie dzwoń. Nie przysyłaj mi kwiatów. ZOSTAW MNIE W SPOKOJU. Odejdź. Daj się odwarunkować i zapomnij o wszystkim. Tak będzie najlepiej. Dla ciebie i dla mnie. Przepraszam cię za wszystko i żegnaj. – Wstała. Random też wstał.

– Żegnaj. – Uśmiechnął się z dna swojego piekła i wyszedł.

Szedł korytarzem ze ściśniętym gardłem przez zgliszcza swojego świata. Czuł dookoła obecność wielu ludzi przyczajonych w kryjówkach i szedł na nich z opuszczonymi rękami i tępym wzrokiem.

Ledohoski uniósł paralizator w obu rękach i zobaczył na ekranie głowę Randoma przekreśloną krzyżem celownika. Usłyszał zduszony syk Raisera i nacisnął spust. Nic się nie stało. Nie było żadnych błyskawic, huku, ognia, fontanny szkła, wybuchu krwi, nic, tylko Random wzdrygnął się usiłując złapać za skronie i runął na zieloną wykładzinę kompleksu mieszkalnego Flora.

Natychmiast opadli go przewracając i szamocąc, wyrywając broń z kabury, obmacując kieszenie i pozwalając, żeby przelewał im się przez ręce, jak szmaciana lalka.

Pułkownik Raiser podszedł, zwycięsko wypuszczając strumienie dymu z dziurek nosa i przewrócił go czubkiem buta.

– Dobra robota, chłopcy. Teraz schować broń, bierzcie go między siebie i zmywamy się stąd.

– Co to znaczy, że nie mogę postawić go pod sąd polowy?! – ryczał Raiser, purpurowy na twarzy jak indyk.

– To znaczy, że tu nie ma żadnego sądu polowego – tłumaczył cierpliwie Hlodwing. – To jest statek cywilny, a Random nawet nie jest żołnierzem. Ty zresztą też nie, więc nie możesz robić tu sądu polowego. – Pułkownik zachichotał histerycznie.

– Mogę go wyrzucić z pracy!

– A za co?

– Jak to za co?! Za bunt! Jawny sabotaż!

– Nie ma czegoś takiego jak bunt i sabotaż. Jeśli go wyrzucisz za bunt, a on powie dlaczego się zbuntował, to ciebie wyrzucą z pracy, nie jego. O ile na tym się skończy.

– To był twój pomysł!

– Za twoją zgodą. Zresztą obław na ludzi też nie możesz robić. Jesteś tu od ochrony ekspedycji, a nie wystawiania westernów.

– Czy ja nic nie mogę zrobić temu niesubordynowanemu skurwysynowi?! – Pułkownik wyglądał rozdzierająco.

– Możesz zapomnieć o wszystkim i pozwolić mu pracować. – Pułkownik spojrzał na psychologa wzrokiem mordercy.

– Pozwolę mu pracować – wycedził wściekle – ale nigdy nie zapominam, że ktoś zrobił ze mnie durnia. Zapamiętaj to sobie – nigdy!

– Marszruta wygląda tak – mówił pułkownik, a świetlny punkcik latał po mapie sektora. Random siedział w sali odpraw i uprawiał letarg z otwartymi oczami. Do desantu pozostało sześć godzin, a on wciąż nie wiedział z kim leci. Drzwi rozsunęły się, a Raiser uśmiechnął się tak szeroko, jak model na konkursie dentystycznym.

– Panowie poznajcie się – rzekł serdecznie. – Zwiadowca Random, profesor Rosmert.

Random uścisnął silną, suchą dłoń geografa i poczuł błogie ciepło rozlewające się po ciele. Profesor miał takie mądre, szczere oczy. Kochał go.

Jarosław J. Grzędowicz

Weinfeld Stefan

(ur. 1920)

Inżynier, publicysta, autor SF

Urodził się 7 listopada 1920 r. w Limanowej. W 1951 r. ukończył Szkołę Inżynierską im. Wawelberga uzyskując dyplom inżyniera radiotechnika. Do 1956 r. pracował w administracji ówczesnego resortu poczty i telekomunikacji, w latach 1957-1977 – w Instytucie Łączności. W 1977 r., jako adiunkt naukowo-badawczy tego instytutu przeszedł na emeryturę. Działalność publicystyczną zapoczątkował w 1956 r. współpracą z tygodnikiem „Łączność". Pisał artykuły popularnonaukowe i felietony, m.in. do „Młodego Technika", „Kalejdoskopu Techniki", „Płomyka", „Tygodnika Demokratycznego". Autor kilkunastu książek, m.in.: „Kartki z historii telekomunikacji" (1958), „Technika wspiera umysł" (1967), „W poszukiwaniu innych światów" (1969), „Halo tu Ziemia" (1965), „Jutro na Marsie" (1965), „Niewidzialne szlaki" (1963), „Elektryczność włada światem" (1968).

Jako autor SF debiutował opowiadaniem „Szaleniec" zamieszczonym na łamach „Młodego Technika" (1969/7). W tym samym miesięczniku publikował kolejne opowiadania zebrane następnie w książce **„Władcy czasu"** (KAW, Warszawa 1979; zawartość: Władcy czasu, Pojedynek, Szaleniec, Zwrotnica czasu, Kaczkonauci, Skrzydełko Hermesa, Zdarzenie w Krahwinkel, Ziemia jego przodków, Łyżka, Tam, gdzie słońce zachodzi seledynowo, Maszyna snów). Wybrane teksty były przedrukowane w antologiach: „Posłanie z piątej planety" (Nasza Księgarnia, Warszawa 1964), „Gość z głębin" (Czytelnik, Warszawa 1979), „Stało się jutro" (Nasza Księgarnia, Warszawa 1974, t. 2 i 3). W 1980 r. Stefan Weinfeld ogłosił powieść **„Janczarzy Kosmosu"** (KAW, Warszawa), a w dwa lata później kolejną książkę SF: **„Zamieszkała planeta"** (KAW, Warszawa 1982). Swoje teksty zamieszczał również w miesięczniku „Fantastyka" (1983/4). Niektóre pozycje były przekładane na język rosyjski.

Opowiadania Stefana Weinfelda są typowymi przykładami schematycznych (zarówno konstrukcyjnych, jak i poznawczych) rozwiązań tej prozy (podróże w czasie, cudowne wynalazki, robotyka, spotkanie z kosmitami etc.). Do wyjątków należą utwory refleksyjne, prowokujące do zadumy nad ulotnością, przemijalnością życia (Ziemia jego przodków, Zwrotnica czasu). Powieści lat osiemdziesiątych zmieniają ów stan rzeczy, są bliskie socjologicznym tendencjom SF, fantastyka jest tu raczej kostiumem służącym wyraźniejszemu ukazaniu relacji między społeczeństwem a jednostką.

Recenzje wybrane

- R. Chodźko, Miesięcznik Literacki 1980/5,
- M. Walicka, Twórczość 1979/6.

Zwrotnica czasu

Stefan Weinfeld



Jakub Szczęsny

– Niech pan tu sobie usiądzie i poczeka! – powiedział do niego pielęgniarz, a wręczając mi papiery, pochylił się nade mną szepcząc:

– Proszę się nie bać. Spokojny!

Zostałem sam na sam z wariatem. (...).

Spojrzałem spod oka. Młody człowiek, w moim wieku, zamyślony. Zerknąłem na papiery. Rozpoznanie po łacinie; imię, nazwisko – Rudolf Diesel. Diesel?

– Nazywa się pan tak, jak wynalazca silnika wysokoprężnego – powiedziałem.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie tak, jak gdyby dopiero w tej chwili mnie zobaczył.

– Ja nie tylko nazywam się tak jak on, ja jestem nim – powiedział.

A więc mania wielkości! I oryginalna – ani Cezar, ani Napoleon, a Diesel. Chłopak z wyobraźnią, a nawiasem mówiąc, pewnie jakiś student, którego umysł nie wytrzymał trudów nauki i życia.

– Pan mi oczywiście nie wierzy...

Tak zaczął, a ja słuchałem jego opowiadania z coraz większym zainteresowaniem, zapominając, z kim miałem do czynienia.

– Pan mi oczywiście nie wierzy... Patrzy pan na mnie i widzi swojego rówieśnika, który podaje się za dojrzałego człowieka zaginionego trzydzieści pięć lat temu. Tak... to było akurat trzydzieści pięć lat temu... gdybym żył normalnie, gdybym przeżył obydwie wojny, miałbym teraz równo dziewięćdziesiąt lat. Wszystko jednak potoczyło się inaczej od owej wrześniowej nocy, gdy przepływałem przez kanał La Manche. O tym może pan sobie przeczytać w każdej historii techniki: wielki wynalazca znikł bez śladu w czasie swojej podróży do Anglii. I tylko domysły, czy to może było samobójstwo w wyniku katastrofy finansowej, czy zabójstwo na tle zagrożenia czyimś interesom. Pisano o mnie... ja tego zresztą wówczas nie czytałem, zapoznałem się z tym wszystkim dopiero w ostatnich tygodniach...

– To znaczy w ostatnich tygodniach przed zatrzymaniem mnie tutaj – poprawił się i ciągnął dalej.

– Istotnie zniknąłem z tego świata, ale w sposób inny i to zupełnie inny, aniżeli ktokolwiek wówczas mógłby to sobie wyobrazić i nawet dzisiaj może przypuszczać. Cofnąłem się w przeszłość.

Zamyślił się, a mnie skojarzyły się jego ostatnie słowa z wellsowskim wehikułem czasu. Czyżby fantazja wielkiego pisarza mogła doprowadzić tego chłopca do szaleństwa?

– Pan zapewne przypomina sobie opowiadanie Wellsa – podjął, jak gdyby czytając w moich myślach – i sądzi, że korzystając z jakiegoś fantastycznego pojazdu pognałem w przeszłość lub w przyszłość. Cenię Wellsa, ale taki wehikuł istnieć może tylko w wyobraźni pisarza. Takie jest przynajmniej moje zdanie, a proszę mi wierzyć, zajmowałem się tymi sprawami bardziej niż ktokolwiek inny. Zresztą w owym okresie, po opublikowaniu przez młodziutkiego Einsteina teorii względności, istota czasu i treść tego pojęcia zajmowały niejednego fizyka. Dziwna rzecz, każdy z nich rozpatrywał, teoretycznie rzecz prosta, możliwość przesuwania się w czasie wstecz i naprzód, zachowując jednak zawsze jeden niezmienny kierunek biegu czasu: w przyszłość. Ów wellsowski wehikuł, na temat którego zresztą niejeden raz rozmawiałem z Herbertem, służył tylko do zajęcia odpowiedniej pozycji w czasie: przeszłym lub przyszłym; dalej wszystko toczyć się miało normalnie, to znaczy po dniu bieżącym przychodzić miał dzień następny i tak dalej. Z moich natomiast wyliczeń wynikało, że zbudowanie tego „wehikułu" jest niemożliwe: nie można przyspieszyć biegu czasu przeskakując w przód, ani też skoczyć sobie dowolnie w przeszłość. Owszem, można się dostać w przeszłość, ale tylko w jeden jedyny sposób: zmieniając kierunek biegu czasu.

– Czytał pan zapewne o tym, że wpadłem w tarapaty finansowe – mówił dalej – i tak było w istocie. Wszystkie bowiem moje środki przeznaczyłem na prace badawcze mające na celu skonstruowanie przyrządu służącego do odwrócenia biegu czasu, powtarzam raz jeszcze – nie do wehikułu, raczej do zwrotnicy czasu. Udało mi się w końcu zbudować generator wytwarzający pole czasu wstecznokierunkowego. Było to stosunkowo proste urządzenie, zasilane energią elektryczną z akumulatorów, które ładowała prądnica poruszana przypływami i odpływami morza. W ten sposób przy odpowiednio solidnym wykonaniu całej aparatury można było liczyć na to, że nie dozorowana pracować będzie nawet przez kilkadziesiąt lat. Kilkadziesiąt lat! Dzień czasu, godzina tylko spędzona w polu czasu wstecznokierunkowego wystarczyłaby przecież, aby udowodnić słuszność moich ☞



założeń i prawidłowość działania skonstruowanej przeze mnie aparatury. Ale zafascynowała mnie możliwość kilkudziesięcioletniego jej działania. Oto trafiłem przecież na formułę Fausta, na receptę powrotu do młodości. Powinienem się zastanowić, przemyśleć, poradzić... ale byłem zmęczony, znużony życiem. Cóż prostszego, jak nastawić odpowiednio generator i zacząć żyć w przeciwnym kierunku, w kierunku młodości? Nie miałem sił walczyć z tym pragnieniem, bo nie miałem sił walczyć z przeciwnościami świata. Owej nocy, pomiędzy 29 a 30 września 1913 roku, zaczęło się dla mnie nowe życie, życie wspak.

Umilkł, a ja wyciągnąłem papierośnicę, gestem zachęcając go do palenia. Odmówił:

– Nie, nie. Dziękuję. Jeszcze się nie przyzwyczaiłem, to znaczy: odzwyczaiłem się już od palenia. Zacząłem palić dopiero w dwudziestym piątym roku życia, podczas, oczywiście, swojego pierwszego życia: cofając się w czasie, po dojściu do tego wieku przestałem palić. Panu być może trudno to dokładnie zrozumieć, bo trudno sobie przecież panu wyobrazić życie w czasie wstecznokierunkowym, gdy normalnie przeżyło się już te dwadzieścia lat. To coś jak film, wyświetlany od końca do początku. Widział pan zapewne w kinie takie tricki; pływak wyskakuje z basenu i staje na trampolinie na wysokości kilku metrów nad lustrem wody. Otóż każda godzina, każda minuta mojego nowego życia przypominała taki odwrócony film. W tym świetle dzień zaczynał się wieczorem, aby poprzez południe skończyć się rano. Chodziło się do tyłu, a mowa przypominała dźwięki, jakie się uzyskuje z... jakże się to nazywa?... z magnetofonu z założoną odwrotnie taśmą. Do stołu zasiadało się sytym, wstawało głodnym, za to na pustych początkowo talerzach pozostawały gorące potrawy. Wszystko to w pierwszych godzinach tego życia bardzo mnie bawiło, potem budziło przerażenie. Ale nie mogłem się już wycofać, nie było powrotu. Generator nastawiony został na działanie do momentu uzyskania przeze mnie dwudziestego roku życia i musiałem to przeżyć w czasie wstecznokierunkowym, podobnie jak dla pana, bez względu na pańskie chęci, jedyny kierunek czasu wiedzie w przyszłość. Wreszcie się do tego przyzwyczaiłem. Niech mi pan wierzy: było mi trudno, bardzo trudno. Często marzyłem o samobójstwie, ale to było dla mnie nieosiągalne. Moje życie było przecież determinowane i nie mogłem umrzeć w wieku, który już raz przeżyłem, tym bardziej, że cofnąłem się w kierunku młodości. Dlatego też trudy tego, bądź co bądź niezwykłego życia, nie tylko nie wyczerpywały mojego organizmu, lecz wręcz przeciwnie – przywracały siły. Z każdym rokiem czułem się lepiej, z każdym rokiem stawałem się coraz bardziej sprawny fizycznie. Od czasu do czasu oczywiście chorowałem, przy czym choroba rozpoczynała się od powolnej rekonwalescencji, kończyła zaś gwałtownym pogorszeniem samopoczucia, po czym nagle stawałem się zdrowy.

Zamyślił się. Najwyraźniej, jak wielu ludzi, odczuwał potrzebę zwierzenia mi się ze wszystkiego, trudność zaś sprawiało mu wypowiedzenie tego w sposób uporządkowany. Wreszcie podjął:

– Nie powiem, aby powrót sił fizycznych nie sprawiał mi radości. W ostatnich latach mojego pierwszego życia czułem się nieszczególnie; wytężona praca w latach poprzednich nadszarpnęła mój organizm. Musiałem, mówię oczywiście teraz o moim pierwszym życiu, więcej wypoczywać, co sprawiało mi przykrość. W czasie wstecznokierunkowym, po dojściu do odpowiedniej kondycji fizycznej, znów zacząłem intensywnie pracować. Początkowo bardzo się z tego cieszyłem, szybko jednak zadowolenie ustąpiło miejsca rozgoryczeniu. Nie tylko przecież sama praca cieszy, lecz także jej owoce: *finis coronat opus* – koniec wieńczy dzieło, jak mawiali Rzymianie. A tu dzieło wieńczone było początkiem. Najpierw przychodził sukces, uznanie, potem udane eksperymenty, później dopiero nieudane próby, aż wreszcie żmudne wyliczenia i przemyśliwania z coraz mniejszym efektem, które kończyły się przebłyskiem nieskrystalizowanej idei. Wszystko to przypominało nitkę Ariadny, nawijaną powtórnie na kłębek przez Tezeusza. Szczególnie wiele sukcesów, w odwrotnej ma się rozumieć kolejności, przeżyłem tuż po znalezieniu się w polu czasu wstecznokierunkowego; zastosowanie silnika mojej konstrukcji do napędu lokomotywy i samochodu ciężarowego, w dwa lata później, to jest w dwa lata wcześniej, w roku 1911 – spuszczenie na wodę duńskiego motorowca „Zelandia", wyposażonego w silnik wysokoprężny, wreszcie uruchomienie i wybudowanie (właśnie w tej kolejności) poruszanej silnikiem wysokoprężnym maszyny elektrycznej, zasilającej prądem sieć tramwajów miejskich w Kijowie. Tak, pamiętam dokładnie koniec – to jest, według pańskiego biegu czasu, początek – tej budowy: było to w dziesięć lat po moim wstąpieniu w inny bieg czasu, w roku 1903. Dziesięć lat! A wie pan, jakkolwiek do codziennych czynności życiowych w odwróconej kolejności zdołałem się już przyzwyczaić, więcej nawet – wydawały mi się one całkowicie naturalne, powtórne przeżywanie powodzeń życiowych, które ulatywały bez śladu ustępując miejsca ogromnemu wysiłkowi i napięciu psychicznemu, było dla mnie nieustającą torturą. Niech pan sobie wyobrazi: w 1899 roku jestem pięciokrotnym milionerem, a w ciągu dwóch następnych lat miliony topnieją z tą samą szybkością, z jaką gromadziły się w pierwszym życiu, a w roku 1897, po triumfie mojego wynalazku na wystawie monachijskiej, pełne emocji wyczekiwanie na tę wystawę. Albo nieuchronne cofnięcie się w sensie doskonałości technicznej; zasilanie silnika odwrotnie, niż w pierwszym życiu, zasilanie silnika najpierw dobrze się do tego nadającą ropą naftową, później zaś dopiero przejście do mojego pierwotnego pomysłu – zasilania go pyłem węglowym. I znowu to samo, na co się poprzednio skarżyłem: „niesłychana walka z głupotą i zawiścią, lenistwem i złością", którą musiałem przeżywać od początku.

Męczyło go opowiadanie, czynił przerwy, zacinał się i zamyślał, jak gdyby wszystko to musiał przechodzić powtórnie, co mówię – po raz trzeci.

– I tak było coraz trudniej, coraz ciężej, coraz bardziej beznadziejnie. W pierwszym życiu dzień 17 lutego 1894 roku był dla mnie prawdziwym świętem; w tym dniu mój silnik pracował po raz pierwszy przez całą minutę. W czasie wstecznokierunkowym była to jednak ostatnia minuta jego pracy. W grudniu 1892 roku, oczywiście w czasie wstecznokierunkowym, musiałem zwrócić patent, uzyskany w pierwszym życiu. Jak potem stopniowo coraz mniej wyraźnie rysował mi się pomysł mojego silnika, i co w związku z tym przeżywałem, może pan sobie wyobrazić. (...).

– Pan w każdym razie osiągnął to, do czego pan dążył: młodość. Nie potrzebuje więc pan chyba narzekać na czas wstecznokierunkowy – zauważyłem.

– Młodość! Tak, pragnąłem jej, osiągnąłem ją i zapłaciłem za nią taką samą cenę, co i Faust.

Ukrył twarz w dłoniach, a gdy znów na mnie spojrzał, zobaczyłem w jego oczach wyraz niezmiernej goryczy.

– Jestem dwudziestoletnim utalentowanym młodzieńcem, z roku 1878. Moja wiedza, moje obyczaje, wszystko to odpowiada tej właśnie dacie – okresowi sprzed lat siedemdziesięciu. Mam teraz zaczynać od nowa? Wynaleźć raz jeszcze mój silnik, który już dawno wszystkim jest znany? Raz jeszcze pracować bez wytchnienia, aby w efekcie całego życia wyprowadzić wzory, które każdy mój rówieśnik bez trudu odnajdzie w pierwszym lepszym podręczniku? A może mam zaczynać studia od początku? Nie, to do niczego nie doprowadzi. Nie będę już niczym. Każdy z moich potencjalnych kolegów miałby nade mną przewagę tych siedmiu dziesiątków lat doświadczeń ludzkości. Muszę się uczyć wszystkiego, nawet tego, co oni nabyli nieświadomie we wczesnym dzieciństwie. Zadzieram głowę za samolotem, do widoku którego wy jesteście przyzwyczajeni; a gdy wy na dźwięk nazwiska Bohra i Fermiego podrywacie się z krzeseł, dla mnie nazwiska te są pustym dźwiękiem. Czy pan wie, że dopiero teraz, przed kilkoma tygodniami, dowiedziałem się o dwóch wojnach światowych? Że pierwszy raz wziąłem do ręki książkę Hemingwaya? Ileż więc pracy muszę włożyć w to, aby przynajmniej uzyskać równy start!

Przełknął ślinę, jak gdyby dławiło go w gardle.

– Ale nawet gdybym tego chciał, gdybym się na to zdecydował – skąd wziąć na to pieniądze? Skąd wziąć pieniądze na mieszkanie, utrzymanie, ubranie, na czesne, na podręczniki? Przecież nie mam majątku, nie mam posady – ba, cóż mógłbym robić, chyba pracować jako robotnik niewykwalifikowany? Nie mam już ani krewnych, ani przyjaciół, ani nawet znajomych, jestem człowiekiem bez nazwiska, gdyż nawet moje własne uważane jest za cudze. Z mojego wynalazku inni czerpią bogactwa, ja natomiast nie mogę uzyskać drobnych sum na skromne utrzymanie. Któż uwierzy, że dwudziestoletni młodzieniec jest starym człowiekiem, zaginionym przed kilkudziesięcioma laty?

– Ale czy nic, czy żadne zdarzenie z pańskiego życia nie zasługiwało na to, aby je przeżyć powtórnie? Czy nie ma pan jednego choćby wspomnienia, które by osładzało gorycz zawodu?

Zastanowił się. W tej chwili wszedł do pokoju profesor D. Rzucił okiem na wzburzonego młodzieńca, przejrzał pobieżnie papiery i otwierając drzwi do gabinetu, rzekł:

– Pan pozwoli ze mną!

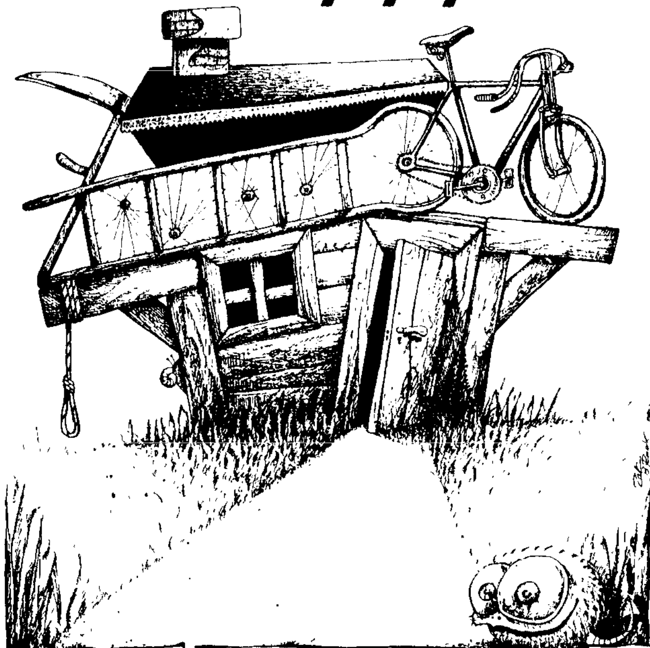
Młody człowiek wstał, ale zatrzymał się jeszcze przez chwilę przy moim biurku i powiedział powoli i wyraźnie:

– Jako student, napiłem się pewnego razu na wycieczce wody ze źródełka. Była niewypowiedzianie chłodna i cudowna jak ambrozja. Z radością i wzruszeniem poczułem po raz drugi jej smak...

– Panie Diesel, proszę do gabinetu! – zawołał profesor, wyglądając przez na pół otwarte drzwi, i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Stefan Weinfeld „Władcy czasu", KAW, Warszawa 1979, wybór ze stron 42-52.

Przygotował **Andrzej Niewiadowski**


Piotr Zdrzynicki

W topografii literatury fantastycznej ważne miejsce zajmuje wyspa. Zbyt uporczywie powraca ten motyw, by nie intrygował, nie skłaniał do poszukiwania racji, dla których jest tak popularny wśród autorów. Za wytłumaczenie tej popularności nie starczy konstatacja pokrewieństwa SF z awanturniczo-przygodowymi historiami, w których wyspa to naturalny składnik egzotycznego świata. Ale to właśnie w tej literaturze wyspa po raz pierwszy stała się tak ważna.

Wyspy tajemnicze

Zygmunt Jazukiewicz

Zapewne wyspy w literaturze są równie stare, jak sama literatura. Ale na przykład u Homera to zaledwie jeden z elementów scenograficznych. Jakie znaczenie mogła mieć wyspa w tym świecie otwartym, heroicznym, przepełnionym słońcem. Wyspa to zamknięcie. Takie jak u patrona wyspiarskich historii – Daniela Defoe. Ale autor „Robinsona" nie był pierwszym, który wykorzystał wyspę, by zastąpić „coś, co istnieje rzeczywiście przez coś innego, co nie istnieje". Od wysp roi się w mitach najróżniejszych kultur, w na wpół mitycznych relacjach (Atlantyda). Przed Defoe'm istniała już „Utopia" Tomasza More'a, w kilkanaście lat po „Przypadkach" wszedł do literatury Jonathan Swift z „Podróżami Guliwera", w których również wysp nie brakuje. Później motyw wyspiarski wykorzystywała z upodobaniem fantastyka i SF. Powraca on i dziś w setkach wcieleń, różnorakich kamuflażach, nie tylko jako skrawek lądu otoczony oceanem. We współczesnej SF wyspę taką zastąpiły inne planety, stacje lub statki kosmiczne, bazy księżycowe, podziemne i podwodne itd. Trudno znaleźć utwór fantastyczny, w którym gdzieś nie pojawiłaby się forma wyspy lub oazy. Archetyp? Symbol? Co oznacza?

Łatwo dostrzec skłonność fantastyki i SF do związków z mitem. Jej przesączenie wątkami uniwersalnymi wydaje się być oczywiste. Literatura ta, wolna od obowiązków na rzecz realiów historii lub współczesnego świata, zwrócona ku nieokreślonej przyszłości wręcz żywi się tymi wątkami, nawet w swym najbardziej „technicznym" wydaniu.

Popularność motywu wyspiarskiego (wyspowego) w literaturze oświeceniowej wynika niewątpliwie z ekscytacji odkryciami geograficznymi, które poruszyły lawinę bajań i legend dotyczących egzotycznych wysp, lądów i mórz. Duch eksploracji unoszący się nad tymi produktami fantazji nie wyjaśnia jednak szczególnej popularności wyspy. Dla zdobywcy pociągający jest bowiem bezkres penetrowanych przestrzeni. Istotą zaś wyspy jest jej zamknięcie, niejako zwrócenie ku środkowi.

Literackie wyspy, niezależnie od tego, jaki był impuls do ich pojawienia się, łączy jedno: tajemnica ukryta w ich wnętrzu lub taka, dla której wyspa stanowi pewną furtkę, materialny znak krainy tajemnic. W przywołanym już przykładzie wyspy Robinsona, tajemnic jest kilka. Robinson odkrywa je, dokonując obłaskawienia dzikiej przyrody. Dla niego przyroda ta w wielu przejawach jest czymś zupełnie obcym i nowym. Wymyślać musi nazwy roślin i zwierząt, niczym odkrywca nowej planety. Ale jest też tajemnica tylko ewokowana przez wyspę; jest to zagadka ludzkiego losu, człowieczeństwa, które wyspiarskie warunki bytu wydobywają w pełni.

Ciekawe są tajemnice u Verne'a: W „Tajemniczej wyspie" zagadka ukryta we wnętrzu wyspy Lincolna jest motorem akcji i źródłem dramaturgicznego suspensu, w „Dwóch latach wakacji", książce trochę dziś zapomnianej, zagadek o nieoczekiwanym rozwiązaniu znów jest wiele: pyszny pomysł stanowi olbrzymie jezioro w centrum wyspy. Bohaterowie docierający nad jego brzegi są przekonani, że znaleźli się na skraju swego mikroświata; tymczasem to jeszcze nie kraniec wyspy i nie koniec tajemnic. Taka wyspa z dziurką.

W obydwu powieściach widoczna jest tendencja do zagęszczania akcji i poszerzania ograniczonego przecież świata przez mnożenie zagadkowych zjawisk. Dzięki temu światek ten do końca jest ciekawy, nie od razu daje się poznać i oswoić bohaterom. Potrzeba na to lat.

Wyspy Verne'a są wdzięcznym materiałem dla interpretacji psychoanalitycznych. Przybysze wydzierając im tajemnice przeżywają swojego rodzaju inicjację. Opanowują wyspę, biorą ją w posiadanie o znaczeniu seksualnym. Nie trzeba tłumaczyć, co symbolizuje przy takiej interpretacji krypta Dakkara czy też wspomniane jezioro. Charakterystyczne, że po spełnieniu owego aktu szybko następuje finał. Wyspa usuwa się w cień lub wręcz przestaje istnieć, jak ta z „Nautilusem" w środku. Ciekawy jest upór, z jakim Verne tępi wszelkie ślady istnienia wyspy tajemnic. Rozbitkowie ocaleją w komplecie, ale pozostaną na skale bez najmniejszego śladu rzeczywistego istnienia wyspy. Uśmiercony zostaje nawet sympatyczny orangutan Jup, tylko dlatego, że był „stamtąd". Kiedy przybywa jacht lorda Glenarvana półprzytomni przyjaciele nie wiedzą już, czy wyspa była złudą, snem, czy przygarnęła ich naprawdę.

Spośród licznych wariacji na tematy wyspowe warto wspomnieć historię Ayrtona, niewątpliwą kalkę Vautrina z „Nędzników" Wiktora Hugo. Epizod Ayrtona jest też wyraźnie opozycyjny względem losów Robinsona. Ayrton na swej wysepce dziczeje, ratuje go powrót do cywilizacji uosabianej przez Cyrusa Smitha. Daleko tu do oświeceniowych teorii o wrodzonej doskonałości człowieka. Źródłem człowieczeństwa jest cywilizacja, a postawa moralna możliwa tylko w grupie. Samotnik jest dziki – egzystuje jak Ayrton, w zawieszeniu między dobrem i złem. Przestaje być człowiekiem. Samotność nie jest tematem dla pozytywnych utopii Verne'a. Jest tu zawsze kilku bohaterów, między którymi nawet w głębi dżungli wytwarza się przytulna przestrzeń mieszczańskiego saloniku. Wyspa z ziemi obcej, złowrogiej i tajemniczej zamienia się w oazę wskutek zbiorowego, solidarnego wysiłku grupy ludzi.

Znacznie groźniejsza jest wyspa z „Władcy much" Wiliama Goldinga, książki mogącej być polemiką z dydaktycznymi w sumie historiami Defoe'a i Verne'a. Warunki wyzwalają w bohaterach pierwotne instynkty, powodują wytworzenie się nowych hierarchii. Nalot cywilizacji okazuje się nietrwały i cienki, autorytety dotychczas niepodważalne tracą jakiekolwiek znaczenie. Wyspa symbolizuje tu ciemne, atawistyczne podłoże ludzkiej natury, wyzwala tajemnice zakryte w ludziach i między nimi.

Mylne byłoby przypuszczenie, że od utajonego żywota wyspy-symbolu uwolnił swoje powieści Lem – racjonalista. Trudno o bardziej kliniczny przypadek wyspy tajemniczej niż „Solaris", w której buta zdobywców planety zamienić się musi w pokorę wobec tajemnic jej wnętrza. Wobec tych tajemnic bohaterowie są bezradni; wprawdzie są w stanie częściowo je odsłonić, lecz nie mogą ich posiąść. Odchodzą, pozostawiając wyspę-planetę w dziewiczym stanie. Jest to sytuacja typowa dla „planetarnych" powieści Lema. Jej wypracowany wariant mamy w „Niezwyciężonym". Gigantyczny krążownik kosmiczny przybywa na obcą planetę.

☞



Świat krążownika nasycony skomplikowaną techniką, z załogą o rozbudowanej hierarchii jest systemem złożonym, lecz jasnym, wyklucza niespodzianki. Zagadka kryje się w głębi martwej, pustynnej planety. W starciu: „Niezwyciężony" (tytuł niewątpliwie ironiczny) – planeta, człowiek mimo pozorów miażdżącej przewagi nie jest w stanie zwyciężyć, ze względu na swój geocentryczny sposób myślenia. Kolejne interpretacje wydarzeń na planecie są błędne, choć poparte wynikami badań. Poczucie bezradności wobec tajemnicy narasta. Zaczynamy spodziewać się rozwiązania w wielkim stylu; po tak patetycznej uwerturze finał może być tylko druzgocąco-metafizyczny. Ale góra rodzi mysz: przeciwnikiem „Niezwyciężonego" jest prozaiczna chmura kryształów generująca silne pole magnetyczne. Do głosu dochodzi przekora Lema. „Ludzie, jak bogowie", którym wydawało się, że materia skapitulowała odsłaniając ostatnie sekrety, muszą odejść ośmieszeni. Kosmos jeszcze raz spłatał im figla.

Psychologizowania i „bebechowości" to nie w stylu Lema. Stąd szczególny sposób funkcjonowania interesującego nas motywu. Obca planeta lub wyspa, która często bywa tylko katalizatorem procesu wyzwalania tajemnic ludzkiego wnętrza, u autora „Solaris" obdarzona jest samoistnym bytem. Zgadza się to z filozofią pisarską Lema, według której bohater jest jedynie rodzajem ułomnego komputera natrafiającego na przewrotne, matematyczne zagadki rzeczywistości. Wydaje się, że u innych autorów współczesnych częściej występują wyspy „mentalne". Pisarze zdają sobie na ogół sprawę z ukrytego znaczenia i możliwości, jakie daje ten motyw.

Przykładem takiej świadomości jest słynna „Wyspa" autorstwa Jamesa Grahama Ballarda (tytuł oryginalny „A concrete island", dosł. „Betonowa wyspa". Znamienne jest pozbawienie tytułu ukonkretniającego przymiotnika, co wskazuje na chęć podkreślenia metafory przez tłumacza powieści, Lecha Jęczmyka).

Akcja tej książki przebiega ściśle według „robinsonowskiego" schematu: Katastrofa – lądowanie – penetracja wyspy – próby wydostania się – osłabienie, choroba – przystosowanie – spotkanie z Piętaszkiem (Proctor, Jane Sheppard) – zawładnięcie wyspą – możliwość odejścia. W powieści nie byłoby więc nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że miejsce w jakim znalazł się bohater jest po prostu skrawkiem terenu między autostradami. O imaginacyjnym i surrealistycznym charakterze książki stanowi fantastyczne założenie niemożności wydostania się z miejsca katastrofy. Od świata nie oddziela ocean, lecz betonowe pasma autostrady, na których trwa szaleńczy ruch samochodów. Wyspa jest miejscem wyrzuconym przez samego człowieka poza nawias cywilizacji. Trudność wydostania się z niej wynikać ma z jej „nieprzydatności" w pragmatycznym świecie oraz z powodu swoistego skanalizowania ludzkiej aktywności i zainteresowań poprzez absurdalne bariery techniczne. Dziką wyspę tworzy tu człowiek, a nie przyroda. Dla Roberta Maitlanda, nowoczesnego Robinsona, wyspa jest tym, czym zwykle bywa: miejscem zerwania ze społecznym układem, w którym bez zarzutu dotąd funkcjonował. Katastrofa wytrąca Maitlanda poza dokładnie zaplanowany czas i racjonalnie uporządkowaną przestrzeń. Poprzez zmianę układu w jakim działał, bohater staje się inny, dociera do siebie – prawdziwego, przystosowuje się. Po śmierci zwariowanego włóczęgi Proctora i odejściu Jane, Maitland czuje się już na wyspie, jak u siebie w domu: *Pod pewnymi względami zadanie, jakie sobie postawił* (wydostanie się) *nie miało sensu. Właściwie nie czuł już potrzeby opuszczenia wyspy i to samo potwierdzało, że objął ją w posiadanie.*

Wyspa przestaje być dla Maitlanda miejscem uwięzienia, tak jak w gruncie rzeczy przestała nim być dla Robinsona, nie można bowiem być więźniem czegoś, co się posiada.

Czy na pewno? Skąd więc niepokojące zdanie Daniela Defoe? Dlaczego podkreślone jest w nim właśnie zagadnienie uwięzienia? Przedstawione przykłady nie wyjaśniają tego w pełni. Dotyczą one bowiem zagadek tkwiących w wyspach i procesu ich wyjaśniania. W tej formie najczęściej podejmuje ten temat literatura fantastyczna. Zagadnienie uwięzienia i wolności pozostaje na boku. Wyspa jest raczej symbolem uwięzienia; niezależnie od tego, czy bohater zdołał ją oswoić, czy też nie – jest on więźniem. W pierwszym przypadku jest nim w sensie dosłownym, poprzez poczucie izolacji i zagrożenia. A kiedy już opanuje swój nowy świat, staje się więźniem układu, jaki sam stworzył. Kiedy wreszcie opuszcza wyspę – pozostaje więźniem swoich wyobrażeń o niej, swojego przywiązania, tęsknoty do miejsca, w którym pozostawił część własnego Ja. Bohater jest także w jakimś sensie więźniem związanego z wyspą wątku fabularnego, w który wtłoczył go autor; kto z nas pamięta co działo się z Robinsonem po opuszczeniu przez niego wyspy? A przecież to zaledwie połowa książki! Nie inaczej jest z bohaterami Verne'a, a nawet z Robertem Maitlandem – nie wyobrażamy ich sobie poza wyspą. Byłaby to już zupełnie inna historia i inni bohaterowie.

Między człowiekiem i wyspą istnieje dialektyczny związek, jak między białym i czarnym, mężczyzną i kobietą. Wyspa reprezentuje pierwiastek żeński – statyczny. Jej zdobywca, pełen energii i woli walki z losem – pierwiastek męski. Wyspa – to świat wyobraźni, tajemnic, świat pozbawiony czasu. Jego miejsce w przestrzeni, jego koniec i początek nie jest opisany, tylko zdobywca liczy dni pobytu i notuje kolejne zwycięstwa i porażki, zniewolony wewnętrzną koniecznością walki i podboju.

Wyspa, jak chce James Barrie – autor „Piotrusia Pana", może mieć też łagodniejsze oblicze, być „mapą dziecięcej wyobraźni", terenu na którym realne wątki splatają się z fantastycznymi, istnieją laguny, nad którymi przelatują flamingi, i flaming, nad którym przelatują laguny. Jest tam upiorny kapitan Hak uciekający przed krokodylem, który tyka, gdyż połknął budzik. Są tam Indianie objuczeni skalpami (dowodzi nimi Wielka Ogromna Mała Pantera), jest filozofujący Niby-Ptak i syreny. Gdzieś tam istnieją też rekwizyty codziennego dnia, które dostały się na wyspę niewiadomymi ścieżkami pamięci.

Nibylandia ta z czasem zaciera się, opada na dno świadomości zarzucona sprawami dorosłego świata, ale istnieje i żyje w każdym. Może dlatego tak chętnie sięgamy po książkę z wyspą w tytule.

Zygmunt Jazukiewicz

Debiut

„Rok chińskiego lisa" Marka T. Dębowskiego to pierwsza wydana drukiem książka młodego autora, mogącego się poszczycić kilkoma ukończonymi powieściami, sporą sprawnością pisarską (zwłaszcza w konstruowaniu fabuł) i wybitnym brakiem szczęścia do wydawców. Powieść utrzymana jest w rzadko u nas wykorzystywanej konwencji „space opera" i zwraca uwagę swobodą oraz rozmachem w kreowaniu fantastycznych wizji. W przeciwieństwie do większości krajowych autorów, umieszczających swe fabuły w kosmosach wielkości szuflady, Dębowski operuje szerokim planem, maluje rozległe pejzaże odległych światów i zaludnia je wyrazistymi, pełnymi życia bohaterami. Słabością powieści jest pęknięta konstrukcja – książka sprawia wrażenie, jakby wyrwano jej ze środka kawał mięsa, sztukując metalową rurą. Nie jest też autor stylistą, używa języka przyciężkiego i nieco szkolnego. Mimo to jego pojawienie się na rynku należy odnotować z dużym zadowoleniem. Tworzy fantastykę o ograniczonych wprawdzie ambicjach, ale niebanalną w swych wizjach i bardzo szczerą w kreacji fantastycznego świata, silnie oddziałującego na wyobraźnię. Czytelnikowi, który ma ochotę przestawić mózg na jałowy bieg i odsapnąć chwilę od zbawiania świata (a któż nie odczuwa od czasu do czasu takiej potrzeby) dostarczy ta powieść sporo satysfakcji.

(raz)

Marek T. Dębowski: *Rok chińskiego lisa*. Glob, Szczecin 1989. Cena 500 zł.

Ostatnia posługa

Gdzieś w kosmosie krąży Ziemia Beta, podobna do naszej jak dwie krople wody. Ludzie nie są tam szczęśliwi, żyją jakby namiastką życia, gdyż zatracili zdolność do przeżywania uczuć wyższych. Wszystko przez trod w atmosferze, na który jedyne antidotum stanówi alfazyn. Młody chemik odkrywa ten sekret, wykorzystując go podczas występów iluzjonistycznych w cyrku. Na polecenie NP (Najwyższej Policji) naukowca-cyrkowca rozpracowuje piękna agentka, córka samego Szefa, która jest nią tylko pozornie, gdyż w ciele seksownej dziewiętnastolatki zaszyła się 127-letnia wiedźma, właścicielka Domu Ostatniego Życzenia. Udzielając chętnym eutanazji opracowała metodę przenoszenia świadomości; potrzeba jej do tego dwóch drutów oraz DIK-a (pojemnika na duszę). Ziemia Beta zieje rzecz jasna nienawiścią do Ziemi Alfa, posiadanie przedmiotów z tej ostatniej karane jest śmiercią. Oprócz tego automaty, karnawały, hotele do parzenia się, aerokary, mecze, sport, tężyzna, termoregulatory.

„Ostatni eksperyment" Julii Iwanowej przypomina mi efekt pracy koparki: z czerpaka wypadają zwały różnych rupieci, lecz mimo tej obfitości (dość pozornej w gruncie rzeczy) sterta pozostaje stertą, nie zachodzi wewnątrz niej żadne uporządkowanie. Tym samym nowela (na powieść tego za mało) nie stanowi sensownego komunikatu, skierowanego do współczesnego czytelnika. Okaleczony świat Ziemi Beta powstał po to tylko, by było komu wytknąć kalectwo i załamać ręce: jak to niedobrze, gdy nie ma uczuć wyższych! Autorka zdaje się wołać w emfazie: ludzie, miłość to taka fajna rzecz! Jak wspaniale być romantycznym! Itp., itd. Książka Iwanowej świadczy moim zdaniem aż o dwóch kryzysach: w prezentowaniu u nas fantastyki radzieckiej (poza Strugackimi i Bułyczowem ciężko ostatnio trafić na coś odkrywczego) oraz w czytelnikowskiej serii z kosmonautą. Gdzie te czasy, kiedy drukowało się tam Dicka, Vonneguta, Leibera...

Predator

Julia Iwanowa: *Ostatni eksperyment*. Tłum. Janusz Majewski. Seria z kosmonautą. Czytelnik, Warszawa 1989. Cena 300 zł.

Deogracias wydał opowiadania

Miałem kłopoty z przekonaniem syna do twórczości romantyków. Spojrzyj na nich jak na zupełnie współczesnych facetów – powiedziałem w końcu – co to kochają się w ojczyźnie i dziewczynach, ale i tu, i tam dostają kosza. Zżerani poczuciem beznadziejności pocieszają sami siebie polityczno-religijnymi mistycyzmami (albo odwrotnie – wykrzykują herezje), szlifują paryskie i światowe bruki, nostalgizują, piją, kłócą się, rywalizują; we śnie i na jawie kombinując, jak wygrać z losem partię, która jest nie do wygrania. A że mają od Bozi talent, który jest darem (i przekleństwem odbierającym zdolność do normalnego życia) więc co jakiś czas sypią tekstami, które zawierają to wszystko i rzucają ludzi na kolana. Rozejrzyj się – mówię, bo przecież przyjmuję w domu różnych autorów – czy któryś z moich kumpli trochę ich nie przypomina?... Pan Oramus – zgaduje syn... Bardzo dobrze, kto jeszcze?... Syn już nie wie. Ale ja też nie wiem.

To nie ulega wątpliwości – wśród piszących obecnie polskich fantastów Oramus jest jedyny w swoim rodzaju, wyjątkowy, osobny. Mówi się – że najlepszy. Adam Hollanek zapowiedział wielkodusznie, że z okazji wydania „Hien cmentarnych" napisze o tym we wstępniaku; w podobnym duchu wypowiada się o Oramusie Andrzej Zimniak (SFera 1/88, „Oramus pod bramami"). Czytelnicy „Fantastyki" windują Oramusa wysoko w dorocznych plebiscytach, Czesi i Słowacy zaczynają go tłumaczyć i przeprowadzają z nim wywiady; ostatnio zaczęli wysyłać podobne sygnały Litwini i Rosjanie. Dlaczego tak się dzieje?

Z Oramusem, mam wrażenie, kończy się na polskim rynku prestiż fantastyki zimnych konceptów, a zaczyna powodzenie literatury gorących emocji. Oramus zerwał definitywnie z bohaterem-typem, bohaterem-funkcją, bohaterem-figurką wykonującą posłusznie posunięcia zadane mu przez autora-szachistę i ilustrującą zacne tezy, a zaproponował obolałą i zbuntowaną jednostkę o bardzo wyraźnie zarysowanym charakterze. W miejsce tropizmów, odruchów czy wręcz automatyzmów, jakimi kierowali się w standardowych fantastycznych fabułkach kosmonauta, detektyw, polityk – zaproponował Oramus działania naznaczone psychologiczną prawdą, a więc i nielogicznością, barbarzyństwem, podłością czy szaleństwem. Tak było w jego debiutanckiej powieści „Senni zwycięzcy", podobnie w „Arsenale" i najlepszych opowiadaniach. Wyniosły, dumny, chwilami demoniczny, choć targany wątpliwościami, a zarazem obdarzony wielką duchową mocą garbus Deogracias. Święty łajdak Adam Nyad – mistrz obywatelskiego nieposłuszeństwa i nieokrzesania. Mistyczny alkoholik w stylu Dicka, Apolinary Koniecpolski... wszystkie te postaci rozsadzają stereotypową tkankę sieczki SF i zostają w pamięci czytelników znacznie dłużej niż wymyślne kosmiczne intrygi. Zostają, bowiem każda z nich nie jest jedynie elementem literackiej układanki, lecz kształtuje świat wokół siebie i niesie część bujnej osobowości autora.

To wszystko działa i robi wrażenie, może dzięki temu, że Oramus potwierdza w swojej prozie to, co wiemy o nim prywatnie. Maluje przecież często obrazy facetów dużych, topornych, wrażliwych od środka, lecz o twardych jak nosorożce naskórkach – awanturników i zabijaków skrzyżowanych ze świętymi. Sam też jest taki.

Znajdziemy w tej prozie także czystych i zdeklarowanych podleców. Tu powiem rzecz dyskusyjną, która chodzi za mną od dawna. Wizerunki owych postaci nie wychodziłyby Oramusowi tak plastycznie i przekonywająco, gdyby nie nosił w sobie sporej przymieszki tego barbarzyństwa i tej dzikości, i tej bezwzględności. *Spuszczam w sobie zwierza* – to on sam napisał w którejś recenzji... Otóż literatura dużego formatu nie jest najprawdopodobniej zajęciem dla cnotliwych a oburzonych dolegliwościami życia ciotek płci obojga.

Jest, może bywa, opowieścią o spotkaniu ze złem, które się dostrzega nie tylko wokół, lecz dotknęło osobiście w sekretnym doświadczeniu wewnętrznym. Jeśli więc Oramus pisze w którymś miejscu („Hieny cmentarne"), że jesteśmy źli jako rasa, to można to czytać jako publicystyczne oskarżenie świata, ale także jako rodzaj autorskiej zaniepokojonej spowiedzi.

Zaczerniłem już trochę papieru wywodząc, że nowa polska fantastyka bywała reakcją na ciemne realia schyłku gierkowszczyzny i stanu wojennego oraz na przeróżne nasze geopolityczne beznadzieje. Wcale zresztą tego nie wycofuję. Ale patrząc szerzej można powiedzieć, że niesie ta fantastyka moralne oburzenie wywołane w ogóle niedoskonałością stworzenia. Właśnie tak, zwłaszcza tak jest u Oramusa. Jak to jest, dlaczego tak się zdarza, że życie społeczne staje się posępną, upadlającą grą? – pyta Oramus w „Sennych zwycięzcach". Dlaczego nasi szefowie czy przywódcy zachowują się często jak mali krętacze i kabotyni? („Arsenał"). Skąd bierze się w człowieku podła skłonność do instrumentalizacji drugiego człowieka, skąd to nie znające hamulców pragnienie wręcz wyssania bliźniego również za pomocą urządzeń technicznych? („Kompleks Hioba", „Osada Meteor", „Bariera immunologiczna"; patrz także nowe opowiadanie „Król Antylop", które już nie znalazło się w zbiorze). Dlaczego urządzamy świat tak parszywie, że ucieczka w śmierć wydaje się jedynym wolnym wyborem? („Eutanazja", „Kwadrofoniczne delirium tremens", „Sposób umierania"). Dlaczego polityka polega z reguły na ciemiężeniu i wyzyskiwaniu innych; czemu ciągle walczymy ze sobą? („Trudno nie być bogiem"). Czemu zachowujemy się jak błazny, stale ryjemy pod innymi? („Barany i armia lwów"). Dlaczego rzuceni w nowe (geograficzne, kosmiczne) obszary odsłaniamy się jako nie uznający tabu, bezlitośni konkwistadorzy, szabrownicy, geszefciarze... hieny cmentarne? („Trudno nie być bogiem")...

Oramus podobnie jak Zajdel pisze często na paliwie politycznym, ma więc wielkie pretensje do komunistów, bo pod ich rządami ułomności człowiecze rozkwitają wyjątkowo obficie. Ale ma też pretensje do Boga, że skonstruował nas i wykonał dość marnie. Oczywiście jest to herezja, zło bierze się z wolnego wyboru, tak twierdzi Biblia i teologowie, ale – powiada swą prozą Oramus – czemu ów wolny wybór ściąga nas tak często w obszary diabelstwa? Jest że to naturalne, czy przeciwnie – wbrew naturze? Wynika z fuszerki Boga, czy z tego, że Bóg jest słaby, a może z tego po prostu, że wcale nie Bóg jest naszym ojcem?

Filozoficznie rzecz biorąc, pisze Oramus o człowieku wystawionym na ciężkie i bolesne próby, których sensu autor (ani jego bohater) nie potrafią przeniknąć, więc ich nie akceptują. Biblijny Hiob cierpiał pokorniej, ufał w Panu; Oramus podobnie jak romantycy jest bardziej krytyczny i zbuntowany, toteż zdarza mu się machnąć pięścią przeciw Bogu. Pisarstwo Oramusa odbiera naszym doświadczeniom i mękom teologiczny sens ofiary, testu, jakie musimy przejść, by się dostać do nieba. Ale odpłaca się nam obficie sensem innym, bardziej doczesnym – a mianowicie artystycznym. Pisarstwo Oramusa ma charakter pogański i trochę manichejski – jeśli autor (bo raczej nie jego bohaterowie) opowiada się mimo wszystko po stronie dobra, to chyba nie dlatego, że ma je za przenikającą wszystko Wyższą Zasadę, lecz dlatego, że pociąga go dobro w sensie estetycznym. Ten pociąg oczywiście może zamienić się w wiarę. Ale nie musi.

Powiedziałem – jest to wszystko wynikiem obserwacji świata, lecz także szczerej i bezlitosnej introspekcji. Czasami miałem ochotę spierać się z tym, lecz przyznaję, bywa Oramus diabelnie przenikliwy, jeśli nie proroczy. W jego młodzieńczym opowiadaniu „Witaj w domu" irytował mnie nadmiar nielogicznego okrucieństwa Ziemian XXI wieku, którzy pożałują spalonego drzewa, lecz nie ludzkiej dłoni. Miałem to za aberrację i wydumaństwo. Przeczytałem potem o stronnictwie zielonych, którzy robią wielki raban o zniszczone rośliny, ale z równą zaciekłością walczą o prawo do nieograniczonych aborcji i przyznałem rację czarnowidztwu Oramusa.

Nie odebrało mi to chęci do sporów, człowiek jest niepoprawny. Napisałem kiedyś o Oramusie, że kreuje rzeczywistości fantasmagoryjne, halucynacyjne, często mające charakter raczej plastycznie odmalowanych koszmarów niż realistycznych wycieczek w przyszłość. Marek zaprotestował, sądził, że wylicza się ze swoich realiów dość konsekwentnie. Odpowiedziałem bezczelnie: to nie ty jesteś realistą, to rzeczywistość robi się chwilami koszmarna... A co uważam naprawdę? Otóż myślę, że Oramus w większym stopniu pisze o tym, jaki człowiek m ó g ł b y się stać niż o tym jaki się s t a n i e. Zło nie gra przecież do jednej bramki, poza tym ktoś tam po stronie Dobra stoi jednak między słupkami i wyłapuje niektóre woleje. Myślę więc, że właściwsze byłoby mówienie o pisarstwie Oramusa jako o

barwnej, moralistycznej aproksymacji naszych występków niż o prognozie, która się spełni. Po przekroczeniu pewnych granic spotwornienia człowiek, ludzkość zwykli przytomnieć – między innymi dzięki takim obrażonym na świat nadwrażliwcom jak Swift, Kafka, Orwell, Celine, Hłasko i właśnie Oramus. Może się mylę.

To autentyczne zagniewanie i spór ze światem czynią z Oramusa postać wyjątkową. Zwłaszcza na tle naszej twórczej menażerii pełnej osobników układnych, czułych na mody, skwapliwie bełkocących o SF rozrywkowej i aż przebierających z podniecenia nogami na myśl o tym, że mogliby zostać pisarzami (co znaczy dla nich – swoistymi urzędnikami literatury). Po stanie wojennym Oramus nie szukał dla siebie żadnego etatu, wolał uniknąć kompromisów, jakie mogłoby to za sobą pociągać, położył na szali dziennikarską karierę, zaryzykował wiele i wygrał, w każdym razie w literaturze, jeszcze więcej. Wygrał także dlatego, że literatura SF nie była dla niego wyłącznie taktycznym wyborem czy szyfrem przyjętym z politycznej konieczności, lecz osobowym organicznym darem, szczególną odmianą czy alchemią talentu właśnie fantastycznego. Poczytajmy jak opowiada Czechom w wywiadzie o swoich związkach z drzewem, od razu będzie wiadomo o co chodzi.

Oramus osobny i wyjątkowy okazuje się także kontynuatorem dorobku innych fantastów; światy stworzone przez poprzedników rzucają czasem refleksy na jego prozę. W „Barierze immunologicznej", w „Kwadrofonicznym delirium tremens" żywi się Dickiem. W „Trudno nie być bogiem" wadzi się ze Strugackimi. „Barany i armia lwów" dają się traktować jako nawiązanie do „Tych przeklętych Polaków" Kijewskiego. Zaś miniaturka Szarzca „Taki był początek" może być według mnie potraktowana jako inspiracja (nie wiem czy Oramus to potwierdzi) do pięknej i rozległej noweli „Hieny cmentarne". Czekam, nawiasem mówiąc, kto i kiedy zdecyduje się „Hieny" sfilmować, bo rzecz jest tego warta. W „Kompleksie Hioba" pojawiają się ukryte cytaty z Lema. „Ziemia-410" to zręczna parafraza jednego z shortów Zajdla.

Osobny i gniewny, wyniosły i przyjacielski, wrażliwy i chamowaty; skrywający w sobie pasje, które, gdyby ich nie rozładowywał pisaniem, mogłyby (podejrzewam) uczynić zeń osobę niebezpieczną – wnosi Oramus na teren polskiej fantastyki powiew niekłamanego autentyzmu i osobistego życiowego dramatu, których ona nigdy przedtem w takim stężeniu nie miała. Nie mogła tego przecież dostać nawet od Lema. Jest więc Oramus naszą dumą i wyrzutem sumienia, naszym czarnym koniem i czarną owcą; naszym heretykiem, świętym i kozłem ofiarnym, którego wyganiamy na myślenicką pustynię i składamy na ołtarzu Literatury by otrzymać zeń Artystyczną Prawdę. Tacy jak on uwierzytelniają fantastykę i dodają jej powagi, wszystko jedno – błądzą czy mają rację – bo akurat nie racje są w literaturze najważniejsze. Ale takich jak Oramus, nawet w sensie warsztatowym, nie mamy w polskiej fantastyce zbyt wielu. Mówiąc ściśle, obecnie mamy tylko jego jednego.

Maciej Parowski

Marek Oramus: *Hieny cmentarne*. Posłowie M. Chrzanowski. Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 1989. Cena 2500 zł.

Już drugiego z najbardziej lubianych polskich fantastów poznajemy z drugiej ręki. Konkretnie – z czeskiej. W numerze „F" 7/88 prezentowaliśmy rozmowę z J.A. Zajdlem („Ponury raj") pióra Romana Lipčika przedrukowaną z pisma „Mladý Svět". Dziś kolejny eksportowo-importowy wywiad z Markiem Oramusem, który ukaże się w trzecim, wiosennym numerze nowo powstałego w Czechosłowacji kwartalnika „SF" – „Svět Fantastiky". Oramus jest znany w Czechosłowacji, ma tam dobrą prasę, prezentowały jego teksty liczne fanziny. Teraz obok wywiadu czytelnicy z południa poznają jego socjologiczną nowelę „Trudno nie być bogiem". Być może z powstaniem czeskiego kwartalnika otworzy się droga w świat dla paru jeszcze autorów polskiej SF.

(mp)

Ciemne okulary

z Markiem Oramusem rozmawia Pavla Sekyrová

Pavla Sekyrová: – *Wiem, że w zeszłym roku odwiedził pan Czechosłowację po raz pierwszy. Spytam więc: czy widzi pan jakieś różnice między wyznawcami literatury SF tutaj i w Polsce?*

Marek Oramus: – W listopadzie 1988 zostałem zaproszony do Pragi na MINICON i po raz pierwszy mogłem zobaczyć czeskich fanów w akcji na własnym terenie. Uczestniczyłem w giełdzie wydawnictw, obejrzałem wystawę plastyczną, liznąłem życia towarzyskiego... wszystko to przypomniało mi polski ruch SF sprzed ponad dziesięciu lat, w który byłem zaangażowany od samego początku. Na MINICONIE, a potem na BILCONIE widziałem, że ludzie zbierają się dla samej radości bycia we własnym gronie, dla porozmawiania o tym, co ich interesuje. Jak zwykle na początku jest mnóstwo entuzjazmu i bezinteresowności, które polski ruch dawno utracił. U nas tego typu działania mocno się sprofesjonalizowały, ludzie, z którymi kiedyś zaczynałem w Ogólnopolskim Klubie Miłośników Fantastyki i Science Fiction są dziś redaktorami wydawnictw, pracują w „Fantastyce", stali się tłumaczami albo krytykami. Ja sam przecież, marnie bo marnie, ale żyję z tej literatury. Chyba podobnie będzie i u was, chociaż życzę wam, byście nie powtórzyli dokładnie naszej drogi. Popełniliśmy jako ruch za dużo błędów, których można było uniknąć. W połowie i pod koniec lat siedemdziesiątych grunt pod fantastykę w Polsce był jeszcze za słabo przygotowany, urzędnicy od kultury patrzyli na nas jak na dziwaków, którzy nie wiadomo czego właściwie chcą i po co. Zakłócaliśmy im miłe urzędnicze ciepełko i dlatego traktowali nas jak natrętów.

Niektórzy z naszych fanów zbyt szybko chcieli zrobić na miłości do fantastyki kariery osobiste, inni chcieli tylko bez umiaru wydawać, nieważne jakie książki, byle opatrzone stemplem SF. Doprowadziło to do chaosu na rynku i rozmycia kryteriów, a w rezultacie jak bumerang uderzyło w autorów i czytelników tej literatury. Wy macie sytuację i łatwiejszą, i trudniejszą. Łatwiejszą – bo wasz rynek księgarski jest pod pewnymi względami zdrowszy, bardziej unormowany; nadto do tego czasu SF zdobyła na dobre naszą część Europy, macie filmy, projekcje wideo... Szybciej dochodzicie do własnego pisma poświęconego tej literaturze (w listopadzie 1989 ukazał się pierwszy numer kwartalnika SF – „Svět Fantastiky" – przyp. red.) – u nas była to prawdziwa droga przez mękę, sam uczestniczyłem w co najmniej kilku nieudanych próbach powołania „Fantastyki". Trudności natomiast biorą się stąd, że dziesięć lat temu podstawowym medium, na którym koncentrowały się zainteresowania fanów, była książka, powieść, opowiadanie. Teraz literatura musi rywalizować z filmem na kasecie, z komiksem, z grą fantasy – i nie zawsze z tej konfrontacji wychodzi zwycięsko.

– *Za fantastykę można dziś uznać wszystko: powieść o lądowaniu na Marsie, o tym, jak duchy straszą w starym zamczysku, o magicznym mieczu albo o latających smokach. Jakie jest pańskie rozumienie fantastyki?*

– Jeśli chodzi o tematykę, fantastyka istotnie nie zna ograniczeń. Jest to jej siłą, ale i zagrożeniem. W poszukiwaniu pełni artystycznej, autorzy utworów tego typu posługują się aniołami, korzystają z magii czarnej i białej albo każą lądować na Ziemi rozumnym termosom. Cechą większości utworów fantastyczno-naukowych jest bardzo niska sprawność: z mnożenia pozornie wymyślnych rekwizytów niewiele wynika. Ja staram się widzieć fantastykę w zwykłych rzeczach, ludziach czy zdarzeniach, wystarczy odrobinę zmienić spojrzenie, by dostrzec cuda wokół siebie. Podobno gdyby stałe fizyczne zmieniły się o kilka procent, życie by nigdy nie powstało. A jednak narodził się tu fenomen życia, wyjątkowy w znanym nam Wszechświecie, możemy się nim cieszyć, możemy zeń korzystać, jesteśmy jego częścią. Czy to nie fantastyczne? Problem polega na tym, by tę cudowność i fantastyczność przełożyć na formę powieści czy opowiadania.

Dlatego fantastyka interesuje mnie bardziej jako metoda literacka. Wyjaśnię to na przykładzie. Mieszkam w domu otoczonym sadem; do moich obowiązków należy między innymi zbiór owoców. Przypuśćmy, że jest koniec czerwca albo początek lipca i akurat siedzę na czereśni. Realizm opisałby to tak: pewien obywatel (dysydent?) trzęsąc się ze strachu rwie czereśnie do koszyka. Realizm socjalistyczny (socrealizm) dodałby, że należę do spółdzielni „Wspólny plon" i przekraczam plan dzienny o 20 procent. Jako fantasta widzę tę sprawę inaczej. Drzewo jest wysokie, ja ważę prawie sto kilo, moment nieuwagi – skręcony kark. Ale gdy siedzę w gałęziach, wyobrażam sobie drzewo jako istotę wrażliwą i obdarzoną świadomością. Istot takich nie niszczy się, nie łamie się im gałęzi. Staram się więc obchodzić z drzewem ostrożnie. I dalej wyobrażam sobie, że wytwarza się między nami nić sympatii, lubimy się po prostu, ja i drzewo. Kto zbiera owoce, wie dobrze, ile jest okazji, by spaść. Ale drzewo w takich chwilach jest po mojej stronie, cienka gałąź pod stopą trzyma się dopóki nie znajdę pewniejszego oparcia. W ten oto sposób drzewo

„odwdzięcza" mi się: czuwa nade mną i nie pozwala, bym poniósł szwank.

Który z tych opisów jest bliższy prawdy? Na pierwszy rzut oka realistyczny, bo przecież nauka odmawia świadomości drzewom. Ja wolę opis fantastyczny, który ukazuje nieznane aspekty pozornie dobrze znanego świata, a poza tym jest ciekawszy, bardziej frapujący artystycznie.

– Czy jednak gatunek literacki, który zajmuje się takimi sprawami i posługuje takimi chwytami, może powiedzieć coś istotnego o problemach naszego świata? Innymi słowy czy można uznać fantastykę za poważną literaturę?

– To zależy od tego, jak się ją traktuje i czego się od niej oczekuje. Pisarze – nie wszyscy na szczęście – przyzwyczaili się traktować fantastykę jako coś zupełnie luźno związanego z rzeczywistością, czytelnicy na ogół szukają w niej niskiej rozrywki i ucieczki od codzienności. Tymczasem spójrzmy: najdalej za pół wieku przeludnienie stanie się podstawowym problemem ludzkości. Fantastyka od lat uznaje tę kwestię za swój żelazny temat. Zanim ktokolwiek wpadł na pomysł, że trzeba chronić zasoby przyrody, fantastyka ekologiczna przerabiała to zagadnienie. Mówi się dużo o zagrożeniach, jakie niesie eksperymentowanie na genach – od czasu „Wyspy doktora Moreau" Wellsa fantastyka uraczyła nas setkami wizji na ten temat. Takie zestawienia można by ciągnąć bez końca.

Z drugiej strony na terenie gatunku znajdujemy kompletnie zdawałoby się oderwane od ziemi rozważania, na przykład o lądowaniu kosmitów w Nowym Jorku, o życiu pozagrobowym itd. Jeśli jednak kosmici wylądują kiedyś na naszej planecie, co jest bardzo mało prawdopodobne, lecz nie niemożliwe, fantaści będą jedynymi ludźmi, którzy unikną szoku. Podobnie z życiem pozagrobowym: prace Raymonda Moody'ego czy Iana Wilsona każą poważnie wątpić, czy na śmierci kończy się żywot człowieka. Krótko mówiąc, fantastyka przypomina mi mutację „nadmiarową", która w danych warunkach wydaje się zbędnym luksusem, ale po nagłej zmianie tych warunków gwarantuje przetrwanie mutantów i całego gatunku.

Wniosek stąd taki, że fantastyka bierze się za bary z podstawowymi problemami współczesnego świata, a jednocześnie próbuje uprzedzać to, co się może jeszcze zdarzyć. Jak powiedział jeden z klasyków SF, Isaac Asimov, jest to literatura zmiany, zmiana jest jej głównym założeniem i tematem. Jeżeli jest uprawiana na wysokim poziomie artystycznym i naukowym, w dzisiejszym szybko zmieniającym się świecie fantastyka może stanowić wsparcie dla każdego człowieka nie uznającego dogmatów w myśleniu.

– Pański świat SF nie bywa wcale najweselszy...

– Bo sytuacja ludzkości nie jest najweselsza. My tu sobie rozmawiamy, a w Afryce środkowej kłusownicy być może likwidują ostatnie trzysta sztuk czarnych nosorożców. Zagrożone jest istnienie słonia, wieloryba, tygrysa... Jak tak dalej pójdzie, dzieci naszych dzieci nie będą rozumiały bajeczek, na których my się chowaliśmy, bo nazwy zwierząt staną się dla nich całkowicie abstrakcyjne. Jeśli człowiek nie opamięta się w porę, to zostanie w XXI wieku na Ziemi sam, w towarzystwie psów, szczurów, karaluchów, much, może jeszcze wron. Uważam, że obecnie na naszej planecie żyje graniczna liczba ludzi, po której przekroczeniu wszelkie zmiany ekologiczne staną się nieodwracalne. Są już pierwsze symptomy. Dziura ozonowa nad Antarktydą sięga już wybrzeży Australii, od razu wzrosła tam ilość zachorowań na raka skóry, choroby oczu itp. Obserwujemy pierwsze oznaki zmian na skalę planetarną także i u nas, bo czymże innym jest ocieplenie klimatu i brak zim, jak nie konsekwencją efektu cieplarnianego?



fot. Pavla Sekyrová

Zmianom ekologicznym będą towarzyszyć zmiany socjologiczne i polityczne. Obawiam się, że dojdzie do nowych konfliktów regionalnych o dużym zasięgu, do indywidualnych i zbiorowych tragedii. Po prostu w miarę przybywania ludności warunki życia staną się coraz trudniejsze przy stałych albo nawet zmniejszonych zasobach Ziemi. Zaostrzy się rywalizacja o przetrwanie i pogłębią nierówności między ludźmi, nasili się przestępczość zorganizowana i pospolita. Dojdzie do zapoczątkowanej już dziś migracji ludności z Południa do bogatych krajów Północy – ale w przyszłości będą to naprawdę tłumy. Spowoduje to stawianie barier imigracyjnych i przejęcie władzy przez nacjonalistów pokroju Le Pena, tylko bardziej radykalnych. Tego typu zagadnieniami zajmuje się socjologiczna odmiana SF, którą i ja staram się uprawiać. Ponieważ chcę, by moje pisanie wykazywało związek z rzeczywistością, przeto nie mogę udawać, że nie obchodzi mnie ani nie dotyczy zagrażająca światu apokalipsa. Należy czynić co w mocy, by do katastrofy nie doszło, i tak pojmuję swoją rolę: ostrzegać, nawoływać do opamiętania poprzez ukazywanie dalekosiężnych konsekwencji naszych obecnych działań. Czasem czytelnicy pytają: dlaczego piszecie o takich strasznych rzeczach? Czemu chcecie nas straszyć? Odpowiadam wtedy, że lepiej bać się na niby niż na serio. Jeśli mroczne wizje przyszłości sprawią, że bieg spraw zostanie odwrócony, to moim zdaniem taka transakcja naprawdę się opłaca.

– Czy jednak nie lepiej zostawić ludziom trochę optymizmu?

– Jeśli lekarz przychodzi do pacjenta chorego na raka, to może mu oznajmić prawdę o jego stanie – albo ją przed nim zataić. Jestem przeciwnikiem tej drugiej metody. Mam wrażenie, że żyjemy w epoce powołującej do życia demony, z którymi na próżno będą się zmagać nasze późne wnuki. Optymizm jest nie na miejscu, kiedy chce się mówić, że istnienie życia na trzeciej planecie pewnego systemu gwiezdnego jest zagrożone. A trzeba tak mówić, chcąc pokazać, do czego może doprowadzić nasza dzisiejsza krótkowzroczność. Moim zdaniem optymizm wynika z niefrasobliwości i głupoty; u podstaw myślenia autentycznie zaangażowanego w poprawę świata stało zawsze niezadowolenie z tego co jest, a zwłaszcza z tego na co się zanosi – czyli pesymizm. W tym sensie uznaję go za postawę naprawdę twórczą. Poza tym optymizm był tyle razy urzędowo nadużywany, że zyskał konotację pejoratywną. W Polsce mówi się: tani optymizm. O pesymizmie ludzie wyrażają się z większym szacunkiem.

Nie chcę przez to powiedzieć, że literatura ma ludziom odbierać nadzieję. Ma ją dawać – ale nie za wszelką cenę, i nie nadzieję bez pokrycia.

– Co się panu w SF najbardziej udało?

– Do mojej pierwszej powieści „Senni zwycięzcy" wymyśliłem mówiące piwo. Dzięki temu wynalazkowi goście w knajpie nie czują się samotnie, kto ma ochotę, może z piwem flirtować albo toczyć długie dyskusje na wysokim poziomie intelektualnym i fachowym. I zdaje mi się, że czytelnicy zapomnieli, o czym jest cała powieść, a zachowali w pamięci szczegół: mówiące piwo.

– A co najmniej albo w ogóle nie?

– Wszystko inne.

– Plany na przyszłość?

– Szukam wydawcy dla mojego drugiego tomu krytycznego o literaturze SF, „Matka paranoja". To jest prawie gotowe. W trakcie pisania znajduje się powieść o opanowaniu reinkarnacji przez mafię. Karkołomne zadanie: połowa akcji dzieje się w niebie. Kiedyś, w dalszej przyszłości, chciałbym opracować „Przewodnik po piwach i browarach polskich". Mam po temu wszelkie niezbędne kwalifikacje.

marzec 1989

Byłem kiedyś w rezerwacie najstarszych sekwoi w Kalifornii i nigdy nie zapomnę wrażenia: gigantyczne kolumny, tak wysokie, że – zdawało się – dotykające chmur; grubość tych wyniosłych drzew nieprawdopodobna, by objąć niektóre z nich, kilkanaście osób musiałoby utworzyć koło, trzymając się za ręce. I dziwne poczucie nierzeczywistości; jakby się zostało przeniesionym w inny wymiar i inny czas...

Maciej Iłowiecki

Z tamtej strony lustra

Życie przed życiem

W tym baśniowym lesie, który zaczął rosnąć wtedy, kiedy na drugim końcu świata starożytni Egipcjanie budowali piramidy – spotkałem dziwnego człowieka. Był to brodaty starzec, chyba Indianin, o niezwykle szlachetnej twarzy i pełnych godności ruchach; zdawał się być po prostu częścią tego lasu. Pamiętam, że ogarnęło mnie wówczas niezwykłe uczucie: byłem pewien, że znam tego człowieka, że spotkałem go już nieraz i że byłem kiedyś właśnie tutaj, wśród gigantycznych, milczących drzew.

Przyjacielu – powiedział cichym głosem – *niczemu się nie dziw. Znaliśmy się dobrze w poprzednim wcieleniu, żyliśmy właśnie tutaj, bardzo dawno, kiedy jeszcze nie tylko nie było w pobliżu miasta San Francisco, ale na wybrzeżach oceanu zwanego dziś Pacyfikiem w ogóle nie było ludzi. My przybyliśmy z północy i te drzewa nas urzekły. Może tego nie pamiętasz, ale przecież czujesz, że mówię prawdę.*

Tak, czułem wtedy, że mówi prawdę, chociaż „intelektualna" część mego umysłu nie mogła tej prawdy przyjąć. Zapamiętałem tę scenę do dziś i często do niej wracam pamięcią. Wiem, oczywiście, jak wielu spotyka się w Ameryce dziwacznych, nawiedzonych ludzi. Wiem, że wśród niebotycznych sekwoi, w miejscu, które wprost nasycone było jakąś tajemnicą, nastrój sprzyjał wydarzeniom niezwykłym – po prostu czekało się na takie wydarzenie. Wszystko na ogół daje się jakoś racjonalnie wytłumaczyć, a jednak do dziś wobec tego wspomnienia ogarnia mnie niepokój. Jest to rodzaj niepokoju podobnego do tego, jaki czasem ogarnia nas we śnie, lub zaraz po przebudzeniu – byliśmy bliscy czegoś niezmiernie ważnego i owo nie spełnione, nie wyjaśnione „coś" dręczy nas jeszcze długo na jawie.

Dzisiaj myślę, że moje spotkanie ze starym Indianinem w sekwojowym lesie należało do kategorii zjawisk psychicznych, które w literaturze przedmiotu określa się francuskim terminem „déjà vu", czyli „już widziane". Wielu ludzi doświadczyło czegoś podobnego: oto w jakimś miejscu ogarnęło ich przemożne uczucie znajomości tego miejsca – już tu kiedyś byli. Albo uczucie wobec spotkanego człowieka – że się go kiedyś spotkało, że coś z nim nas łączy. Taki krajobraz już kiedyś widzieliśmy, to miejsce jest nam na pewno znane. Komuś, kto nie doznał takiego uczucia, trudno nawet sobie wyobrazić, jak bardzo jest ono intensywne i niezwykłe.

Oczywiście, jeśli chcemy trzymać się twardego gruntu nauki albo ostrożniej – jeśli nie chcemy wyjść poza krąg hipotez, na które POZWALA dzisiejsza nauka, możemy tylko stwierdzić, co następuje. Jest faktem, że ludzie miewają subiektywne odczucia, zwane „déjà vu". W mojej historyjce prawdziwe są dwa fakty: pierwszy, że w istocie byłem 15 lat temu w rezerwacie kalifornijskich sekwoi pod San Francisco i że spotkałem tam człowieka, który zrobił na mnie dziwne wrażenie. Fakt drugi – że doznałem wtedy rzeczywiście dotąd nie doznawanego uczucia, iż kiedyś byłem w tym miejscu i tego człowieka znałem.

Stwierdzenie, iż działo się to „w poprzednim wcieleniu" jest już interpretacją faktów – i domyślamy się, że taka interpretacja bywa odrzucana przez naukę. Nauka zresztą nie interesuje się specjalnie zjawiskiem „déjà vu"; jeśli już zmusimy jakiegoś psychologa do wyjaśnień, powie nam, iż jest to rodzaj złudzenia, swoista „iluzja pamięci", że być może chodzi tu o jakieś tkwiące w podświadomości wspomnienie z dzieciństwa, które wydobyte zostaje odległym skojarzeniem, może jakimś podobieństwem sytuacji – itd. A wszystko razem zdarza się w chwilach zmęczenia psychicznego, napięcia, jest może następstwem chwilowego rozstroju nerwowego.

Wszystko to brzmi rozsądnie... ale nie dla kogoś, kto przeżył „déjà vu". Do dziś nie mogę pozbyć się uczucia, że nie tylko znałem starca z tamtego lasu, ale że był on mi w jakiś sposób bliski. Jednocześnie tzw. rozum podpowiada mi, że to przecież niemożliwe...

Piszę „tak zwany rozum", bo przecież, prawdę mówiąc, nie wiemy za dużo o swym własnym rozumie i jego ograniczeniach. Sytuacja wygląda tak, że po prostu nie mamy innego wyjścia – nie chcąc zgubić się w labiryncie rzeczywistości, musimy posługiwać się jedynym narzędziem, o którym mamy prawo sądzić, iż jest jedynym przewodnikiem w tym labiryncie.

Zatem rozsądek i dotychczasowa wiedza przyrodnicza podpowiadają nam, że niemożliwe są „poprzednie (i następne) wcielenia", że – krótko mówiąc – niemożliwa jest REINKARNACJA, czyli cykliczny pobyt na Ziemi duszy (czy też „osobowości", „świadomości") jednego człowieka w różnych fizycznych postaciach.

Kiedy już zadośćuczyniłem wymogom racjonalizmu, przyjrzyjmy się jeszcze wspólnie nienaukowej hipotezie reinkarnacji. Może trzeba zacząć od przypomnienia, że koncepcja „życia przed życiem", cyklu „wcieleń" – nie jest wymyślona przez współczesnych psychotroników, czy jak kto woli, przez parapsychologów. Jest to jeden z najstarszych ludzkich mitów, wywodzących się z bardzo odległej przeszłości. I jak wiele tego rodzaju mitów, mit wielokrotnych „wcieleń" pojawia się w różnych kręgach kulturowych, często odległych od siebie geograficznie (w przestrzeni) i historycznie (w czasie).

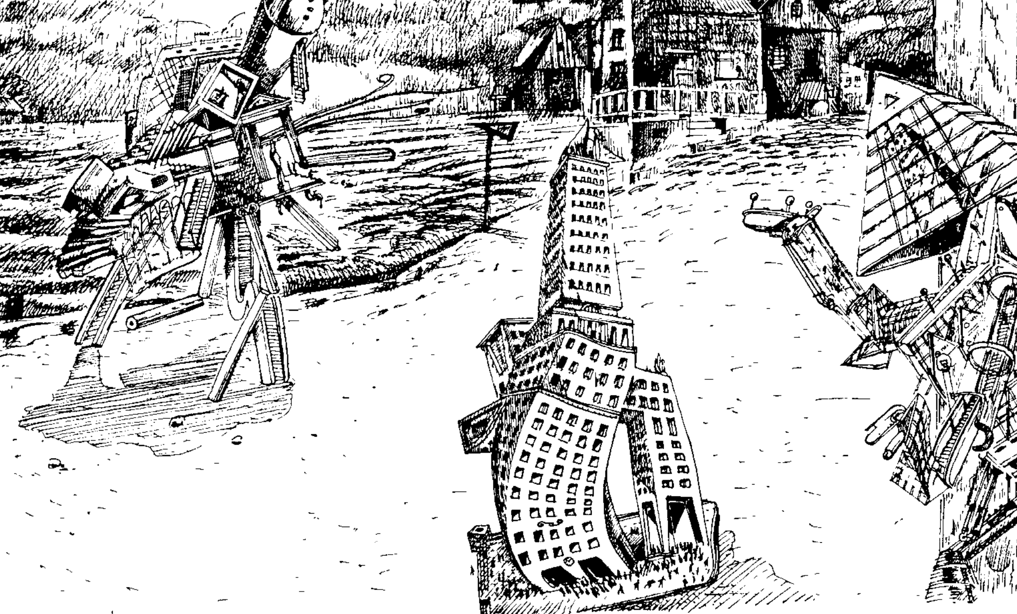
Takie mity można tłumaczyć pewnymi nieuświadomionymi do końca potrzebami gatunku ludzkiego, przede wszystkim potrzebą „wpisania" się w otaczającą rzeczywistość, niejako jej „oswojenia", potrzebą wyjaśnienia różnych niepojętności, wyzbycia się lęku przez nadanie sensu czemuś, co „na rozum" wydaje się bezsensowne. Bo czyż nie jest bezsensowny jednorazowy pobyt człowieka na Ziemi, krótki, nie dający właściwie możliwości korzystania z doświadczeń, a przede wszystkim nie dający możliwości naprawienia zła, które się czyniło lub zdobycia nagrody za dobro, które – rzadziej – ale także zdarzało się nam czynić? W ludzkiej psychice niejako „zapisana jest" głęboka potrzeba sprawiedliwości i sensu – a cóż lepiej posłuży sprawiedliwości i nada życiu sens, jak cykliczny pobyt na Ziemi w czasie, możliwość powrotu w coraz to nowych postaciach i traktowanie tych kolejnych wcieleń jako nagrody lub kary za uczynki w życiu poprzednim? W nowym wcieleniu otrzymujemy możliwość naprawy tego, co napsuliśmy w poprzednim...

Pokazuję tu tylko jaki sposób myślenia sprzyjał powstawaniu mitu reinkarnacji i dlaczego mit ów mógł się pojawiać w różnych miejscach i w różnym czasie – bo wszędzie po prostu ludzka psychika jest podobna i nie może znieść bezsensu. Trzeba jeszcze dodać, że w chrześcijaństwie koncepcja reinkarnacji nie jest potrzebna (i właśnie zostaje odrzucona), ponieważ chrześcijanin szuka sensu gdzie indziej, ale to już jest temat wykraczający poza zakres naszych rozważań.

W każdym razie koncepcja reinkarnacji najpełniej wyraziła się w filozofii i religiach Wschodu; mówiąc w uproszczeniu, reinkarnacja, czyli następstwo wcieleń, cykl życia w różnych postaciach, daje ludziom możność wznoszenia się ku doskonałości, osiągania różnych poziomów coraz wyższych (albo spadku na niższe, co jest karą za zachowania w danym wcieleniu).

Wedle braminizmu, starej religii, rozpowszechnionej na Półwyspie Indyjskim, istotą rzeczywistości jest przeobrażanie się od bytów niższych do wyższych, od kamienia – do rośliny – do zwierzęcia – do człowieka. A przeobrażanie się człowieka możliwe jest dzięki jego cyklicznemu zstępowaniu do niższego świata materii i wznoszeniu się potem do wyższego świata duchów. W tym cyklu pobyt na Ziemi w ludzkim ciele jest tylko krótkim ogniwem w egzystencji innego rodzaju – i jest to ogniwo niezbędne dla zdobywania doświadczeń, sprawdzania się (lub nie), uzyskiwania następnego stopnia na drodze ku doskonałości. Jeśli w kolejnym wcieleniu nie wzniesiemy się na kolejny stopień, musimy wrócić na poprzedni; czasem można nawet upaść niżej i zaczynać mozolną wspinaczkę od nowa.

Oczywiście przedstawiony tu opis hinduskiej doktryny reinkarnacji jest niesłychanie uproszczony, ponieważ nie chodzi o wykład tej niezwykłej filozofii, a o podanie przykładu; w innych religiach koncepcje są nieco inne, ale na ogół zawsze ich istotą jest cykliczność wcieleń. Nasza „dusza" czy też „jaźń" jest kształtowana przez kolejne wcielenia, chociaż świadomie ich nie pamiętamy (tylko poprzednie doświadczenia odzywają się często jako wewnętrzny głos sumienia...). Czasem jednak pamięć jakiegoś zdarzenia czy miejsca z poprzedniego wcielenia daje o sobie znać – i to właśnie w dzisiejszych



czasach w psychologii zachodniej bywa nazywane zjawiskiem „déjà vu".

Nie tylko Hindusi wierzą w reinkarnację. Wierzył w nią na przykład słynny grecki filozof i matematyk Pitagoras (wszyscy uczyliśmy się „twierdzenia Pitagorasa"...), który – żyjąc w VI wieku przed Chrystusem – twierdził, iż brał udział w wojnie trojańskiej, która odbyła się co najmniej sześćset lat wcześniej. Pitagoras miał być wtedy wojownikiem o imieniu Euphorbs – kiedyś, będąc w pewnej świątyni, matematyk rozpoznał nawet starą tarczę tam przechowywaną. Była to właśnie tarcza, którą jako Euphorbs nosił był pod Troją... Wedle legendy Euphorbs był Trojańczykiem, walczył z Patroklesem, zabił go król Menelaos.

Przykładów sławnych ludzi, którzy wierzyli w swój wcześniejszy pobyt na Ziemi w postaci innych sławnych ludzi (zresztą niekoniecznie nawet sławnych) jest dużo. Świadczy to m.in. o przyciągającej sile wiary w reinkarnację.

Przejdźmy teraz do zjawiska, znanego współczesnym psychiatrom (zwłaszcza specjalistom zajmującym się psychoterapią). Otóż opisano wiele przypadków, kiedy w czasie seansów hipnotycznych hipnotyzer-psychoterapeuta „cofa" pacjenta w czasie do jego dzieciństwa. Chodzi tu o przypomnienie sobie różnych wydarzeń, które mogły spowodować trwałe urazy psychiczne. Uświadomienie sobie tych wydarzeń, czyli poznanie przyczyn urazu, miałoby pomóc w przezwyciężeniu go i w powrocie do zdrowia psychicznego. Pozostawmy na boku kwestię, czy metoda ta prowadzi do trwałych wyleczeń (dodam zresztą, że tak – w wielu przypadkach jest to potwierdzone). Chodzi o coś innego: o to, że w trakcie takiego „cofania się w czasie" do dzieciństwa, niektórzy pacjenci „cofali" się pamięcią aż do porodu, pobytu we wnętrzu matki i... dalej. Aż do poprzednich wcieleń. Potrafili opisywać szczegóły poprzedniego wcielenia z nadzwyczajną dokładnością, mówiąc językami, których nie znali (ale którymi posługiwali się w tym wcieleniu). Co więcej, niektóre opisy starannie sprawdzono – okazało się, że są one zgodne z wiedzą o epoce, w której pacjent przebywał w poprzednim wcieleniu. Przy tym nie była to zgodność ogólnikowa (każdy przecież ma jakie-takie pojęcie o różnych epokach historycznych) – ale bardzo szczegółowa. Rzecz w tym, że taką znajomość epoki i możliwych wydarzeń tego czasu można było zdobyć tylko przez bardzo żmudne i głębokie studia archiwalne. Czasem sprawdzano szczegóły wręcz niewiarygodne – na przykład istnienie karczmy przed kilkuset laty w jakiejś szkockiej wiosce, ślad po niej zachował się tylko w zapisie aktu sądowego, do którego nikt z historyków dotąd nie zaglądał, bo nie było potrzeby. A tu ktoś, na drugim końcu świata, w XX wieku, w hipnozie opowiada, że był właśnie kilkaset lat temu posługaczem w tej dawno nie istniejącej karczmie i zginął tam w bójce... Naturalnie, można dopuszczać myśl, że ów pacjent musiał się w jakiś sposób kiedyś zetknąć z informacją tego rodzaju i w czasie hipnozy informacja ta „wypłynęła" z jego podświadomości – ale skąd, dlaczego, po co?

Opisano setki przypadków, które mieszczą się w następującym schemacie (różniąc tylko szczegółami, treścią wydarzeń). Oto ktoś całe życie śmiertelnie boi się np. wody, jest to jego lękowa obsesja. W czasie hipnotycznego „cofania" ów ktoś dochodzi do „poprzedniego życia" i przypomina sobie z przerażeniem, że wówczas jako dziecko utopił się... Po takim seansie pacjent pozbywa się swej obsesji, przestaje się bać wody.

Co tu jest faktem, co interpretacją faktu? Jeśli założymy (mamy podstawy do takich założeń), że nie wszyscy psychoterapeuci i ich pacjenci są świadomymi oszustami, musimy przyjąć istnienie tego rodzaju zjawisk: otóż niektórzy ludzie pod hipnozą potrafią odtwarzać pewne szczegółowe sceny, które wiążą ze swym „poprzednim życiem", ale których zwykle nie pamiętają bez hipnozy. Przypomnieniu tych scen towarzyszą nieraz wielkie emocje (lęk, przerażenie, odczucie bólu itd.), sprawdzalne obiektywnie. Czasami pojawia się znajomość obcego języka (nie jest to regułą), którego pacjent w stanie pozahipnotycznym rzeczywiście nie zna (albo nie pamięta, jeśli założymy, iż mógł się z tym językiem zetknąć). W każdym razie utożsamianie się ze swym „poprzednim ja" bywa niezwykle głębokie, opisano nawet przypadki rzeczywistego podobieństwa fizycznego do postaci, z którą badany utożsamia się. (Na przykład w znanym z literatury naukowej przypadku niejakiej Ady Stewart, która ze szczegółami opisywała w 1967 r. bitwę pod Flodden w r. 1513; w bitwie tej Ada rzekomo brała udział jako... król Szkocji, Jakub IV i tamże zginęła w tej postaci. Otóż nie ulega wątpliwości niezwykłe wprost podobieństwo współczesnej obywatelki brytyjskiej Ady Stewart do historycznych portretów króla Jakuba IV...)

W literaturze naukowej przedmiotu opisano też udokumentowane przypadki występowania na ciele pacjenta fizycznych śladów wydarzeń z czasów jego „poprzedniego wcielenia". Na przykład: ślad blizny po ranie właśnie w tym miejscu, w którym zraniona została postać historyczna, ślad oparzeń u osoby, którą chciano spalić na stosie w poprzednim wcieleniu, ślad sznura na szyi (tak!) u osoby, która twierdziła, że powieszono ją w poprzednim wcieleniu i która miała lękową obsesję – strach przed sznurkami...

Historie tego rodzaju zapełniły niejedną książkę i zdajemy sobie sprawę, że nie brak w tej materii oszustw, jak zawsze wokół tego rodzaju spraw. Mnóstwo maniaków i hochsztaplerów „podwiązuje się" natychmiast do rzeczy, które są trudne do wyjaśnienia, ale za to łatwo na nich robić pieniądze. To wszystko prawda, ale też prawdą jest, że pewne fakty pozostają faktami i że trzeba będzie znaleźć jednak dla nich sensowne wyjaśnienie.

Ci, którzy nie odrzucają rzeczy dziwnych tylko dlatego, że są właśnie „zbyt dziwne", mają do wyboru różne interpretacje.

Na przykład najprostszą: że każdy, kto rzeczywiście utożsamia się z jakąś postacią z czasów przed swym urodzeniem i wierzy, że było to jego poprzednie wcielenie – MUSIAŁ jednak w jakimś momencie swego życia zetknąć się z opisem tej postaci i jej życia i opis ten tkwiący w jego podświadomości stał się częścią jego autentycznej pamięci. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje, dlaczego akurat coś takiego mogło utkwić tak głęboko w podświadomości, że wywołuje nawet fizyczne ślady na ciele danej osoby (np. znamiona w tych samych miejscach) – ale w świetle badań nad autosugestią JEST TO MOŻLIWE. Czy może powiedzmy ostrożniej – nie wydaje się, by było niemożliwe, choć nie rozumiemy ani mechanizmów psychofizjologicznych takiego „wcielania się" w kogoś, ani biologicznych przyczyn i celów tego rodzaju zjawisk.

Inna interpretacja: istnienie czegoś w rodzaju „pamięci genetycznej", to znaczy jakiegoś materialnego śladu w genach po naszym odległym przodku (raczej po wydarzeniach, które zdarzyły się temu przodkowi, ale które w normalnych warunkach nigdy nie ujawniają się w świadomej pamięci ludzkiej – bo oczywiście w sensie biologicznym każdy z nas może mieć jakieś biologiczne cechy po swych przodkach). W tym sensie u osób, które doznały „déjà vu" lub pamiętają siebie z „poprzednich wcieleń" ujawnia się jakiś nieznany mechanizm biologiczny pozwalający na „przebicie się" do świadomości jakiegoś pradawnego, przetrwałego zapisu w genach. Wedle tej koncepcji (tylko hipotezy bez dowodów, bo nie ma dowodu, że w genach może istnieć tego rodzaju zapis) moje „déjà vu" – spotkanie wśród sekwoi z Indianinem – oznaczałoby, iż ten dziwny starzec był moim dalekim bardzo krewnym, że może mieliśmy wspólnego przodka. Bardzo to naciągane jednak – w końcu na Ziemi każdy miał wspólnych przodków z innymi, jest to tylko kwestia czasu...

Pozostaje trzecia hipoteza: że jednak reinkarnacja istnieje. Na to także nie ma naukowych dowodów. Idea „wiecznych powrotów" dla jednych może być pociągająca, dla innych przeraźliwa.

Zanim jednak sprawy, które tutaj tylko w uproszczeniu i bardzo niepełnym wyborze opisałem, zostaną wyjaśnione, pozostaje nam zastanowić się nad jednym: oto rzeczywiście biologiczne życie nie wyczerpuje ani nie tłumaczy tego, co nazywa się egzystencją człowieka, jego pobytem na Ziemi.

Jakub Szczęsny



Otchłań nudy

James Cameron realizując „Terminatora" i „Obcych – decydujące starcie" wyrobił sobie bardzo mocną pozycję reżysera filmów akcji w kinie science fiction. Oba obrazy omawiałam w „Fantastyce" („Schwarzenegger jako szwarccharakter" nr 4/87 i „Różne recepty na film SF" nr 11/87). Choć zarówno jednemu jak i drugiemu można było co nieco zarzucić, na liście grzechów na pewno nie znalazłyby się: powolność akcji, niesprawny scenariusz czy nużące tempo.

Cameron-reżyser i Cameron-scenarzysta, taki jakim znaliśmy go do tej pory, strzelał wszystkimi nabojami naraz. Parł do przodu, nie wdając się w meandry psychologii. Akcja jego filmów była prosta, ale i klarowna. Charaktery zarysowane mocnymi liniami. Białe było białe, czarne – czarne. Żadnych wątpliwości. Te wszystkie cechy można uważać za zalety lub wady, w zależności od tego, czego oczekujemy od kina. Dlatego też jego filmy miały zarówno zdecydowanych zwolenników jak i zagorzałych wrogów. Dla tych pierwszych ważne było, że u Camerona „dzieje się".

Dlatego tak dużym zaskoczeniem stał się dla mnie kolejny film tego reżysera pt. „Głębia" (Abyss). Na początku nic nie zapowiada niespodzianek. W czołówce obok nazwiska reżysera, który i tym razem jest również autorem scenariusza, stały zespół współpracowników. Wśród wykonawców ulubiony aktor Camerona, neurotyczny Michael Bien (znany nam z drugiej części „Obcych" i „Terminatora") wraz z Edem Harrisem (tego aktora mogliśmy oglądać nie tak dawno w jednym z filmów pokazywanych z okazji wizyty w naszym kraju Roberta De Niro, pt. „Jacknife" – funkcjonujący pod dwoma tytułami polskimi „Kobra" lub „Szalony Megs", a także w filmie Agnieszki Holland „Zabić księdza" w roli Piotrowskiego) i Mary Elizabeth Mastrantonio (która zdobyła dużą popularność grając u boku Paula Newmana i Toma Cruisa w „Kolorze pieniędzy"). Miejscem akcji jest tytułowa głębia – najgłębsze miejsce oceanu, jeden z najmniej poznanych zakątków Ziemi.

Amerykańska nuklearna łódź podwodna przeżywa w pobliżu Karaibów, na Oceanie Spokojnym bliskie spotkanie z podwodnym UFO. Obsługa traci kontrolę nad całą skomplikowaną elektroniką, odpowiedzialną za prowadzenie, w wyniku czego łódź wali w ścianę podwodnego kanionu, po czym zaczyna zsuwać się w dół.

Ponieważ nie wiadomo, czy ktoś nie przeżył katastrofy, na miejsce wypadku wysłana zostaje ekipa ratunkowa. Akcją kieruje Bud Brigman (Ed Harris), który uważa, że jego dziesięcioosobowa załoga pracowników stacji wiertniczej nie bardzo nadaje się do tego celu. Argument, że byli najbliżej nie wydaje mu się wystarczający. Wywołuje to konflikt między Brigmanem a jego zwierzchnikami. Do grupy dołączonych zostaje czterech komandosów pod dowództwem porucznika Coffeya (Michael Bien), a także Lindsey Brigman, należąca do nadzoru technicznego platformy wiertniczej, a jednocześnie żona Buda. Kiedy udaje im się dostać do rozbitej łodzi okazuje się, że nie ma już kogo ratować. Pozostaje pytanie, co spowodowało wypadek. Dowódca komandosów przekonany jest, że wszystkiemu winni są czerwoni, wobec tego chcę założyć ładunek nuklearny, który zniszczyłby obiekty wroga znajdujące się, jak sądzi, w pobliżu. Część grupy stanowi tak zwana milcząca większość, nie mająca swego zdania. Ale jest też druga frakcja, której przewodzi Lindsey Brigman (jej aktorstwo niepokojąco przypomina sposób prowadzenia roli przez Signourey Weaver w „Obcych"), która co prawda nie wie co było przyczyną wypadku, natomiast zdaje sobie (jako jedyna?) sprawę, że wybuch atomowy na dnie morza to rzecz obrzydliwa. Komandos Bien pokazany jest jako postać skażona złem, jakie niesie wojna. Widz bez żadnej zdroworozsądkowej argumentacji ma przyjąć, że postawa „zielona" jest lepsza, słuszniejsza itd. Żeby zaoszczędzić mu (tzn. widzowi) jakichkolwiek wątpliwości, wodne UFO-ludki pokazane zostają już na początku filmu (inaczej jeszcze komuś mogłoby przyjść do głowy, że komandosi mają rację).

W każdym razie problemów i konfliktów, choć może zbyt schematycznych i szablonowo podanych, w momencie zawiązania akcji jest sporo. Niestety, nic z tego nie wynika. Ktoś powiedział, że wszystkie filmy, których akcja dzieje się pod wodą są nudne. Niestety, wydaje się, że „Głębia" potwierdza tę regułę.

Bo choć bohaterowie umieszczeni zostali w obcym środowisku, uzależnieni od techniki, równie dobrze można było to wszystko pokazać w teatrze. „Głębia" nie jest filmem akcji. Nie ma miejsca na pościg i ucieczki. Wszystko, co się dzieje, rozgrywa się w płaszczyźnie psychologicznej. Ważne są interakcje między poszczególnymi bohaterami, zdarzają się sytuacje trudne pod względem moralnym – a to na pewno nie specjalność Camerona. Jest duszna, mroczna atmosfera wymagająca znakomitej reżyserskiej ręki i innego sposobu filmowania.

„Głębia" mogłaby być filmem ciekawym, co więcej, filmem znakomitym, gdyby bohaterowie byli mniej papierowi (a na dodatek w kulminacyjnych momentach nie zakrywali twarzy maskami należącymi do ekwipunku płetwonurka), gdyby rozmowy między nimi były rzeczywiście rozmowami, a ich problemy – mogły wydać się widzowi istotne (co nie powinno być takie trudne, w sytuacjach ciągłego, tzn. przez dwie godziny piętnaście minut trwania filmu, zagrożenia ich życia). Niestety po pół godzinie wiemy już dokładnie, co się wydarzy, dlatego film jest po prostu nieciekawy. I niczego nie mogą tu uratować zupełnie nieźli aktorzy (to wiemy, znając ich inne role), którym nie pozwolono grać, ani dobre zdjęcia, ani też jedna naprawdę znakomita scena, kiedy podwodna cywilizacja kreuje z substancji, która jest jej żywiołem – wody – twarz ludzką. Niestety gdy bohaterowie spotykają znowu inteligentnych przedstawicieli świata podwodnego, sytuacje te przypominają już tylko kreskówki Disneya, co nijak się ma do ciemnej, strasznej głębi.

Film ten, w którego realizację i reklamę włożono ogromne pieniądze, zapewne bardzo szybko znajdzie się w Polsce w obiegu wideo, zwłaszcza kiedy będzie się przedrukowywać na jego temat slogany reklamowe (za które płacą ludzie, którym zależy na tym, żeby się film dobrze sprzedawał, a więc z założenia nieobiektywni), a które nasi dziennikarze, pozbawieni dobrego kontaktu z filmami zagranicznymi wykorzystują w swoich opracowaniach. Przeczytałam na przykład, że w „Głębi": *Typowe schematy kina katastroficznego zostały doprowadzone do perfekcji, a końcowe sceny podwodne przypominają najlepsze osiągnięcia filmowej fotografii.* No cóż, jest to po prostu nieprawda. Końcowe spotkanie z neonowymi rurkami nie wydaje mi się największym osiągnięciem fotografii, ani tym bardziej kina. A poza wszystkim innym film to nie wystawa fotografii.

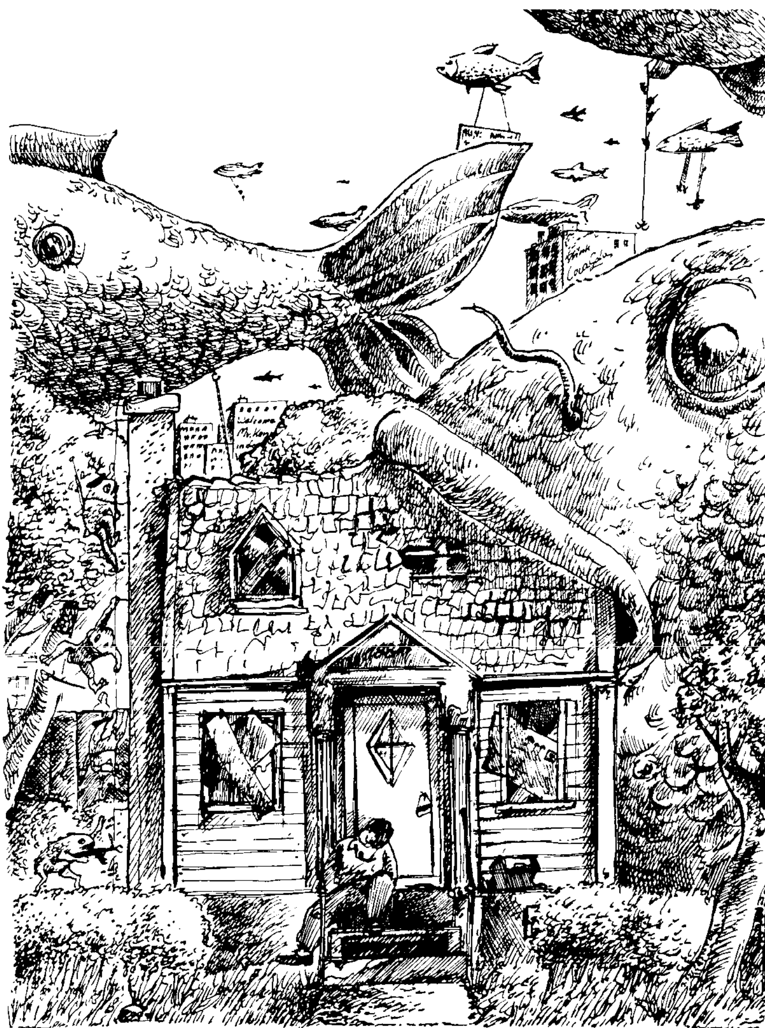
Pauline Kael napisała kiedyś: *Jeżeli film ma duże powodzenie, recenzenci i krytycy, których znudził przy pierwszym oglądaniu, są gotowi dać mu jeszcze jedną szansę i po drugiej i trzeciej projekcji dochodzą do wniosku, że ich porusza aż do trzewi, co w przypadku supergiganta jest bardzo prawdopodobne.*

Niżej podpisana obejrzała „Głębię" tylko raz. Zostało jej wrażenie nudy. Dogłębnej.

Dorota Malinowska

ABYSS (Głębia, otchłań). Scenariusz i reżyseria: James Cameron. Zdjęcia: Michael Salomon. Muzyka: Alan Silvestri. Obsada: Ed Harris, Mary Elizabeth Mastrantonio, Michael Bien, Leo Burmester. USA 1989.

Adam Hollanek



kryminał

szatkują mnie na sieczkę
me myśli odbite w twym nożu
o ostrzu w którym igra krew
twoja z moją igra przez rzeczkę
przechodzimy pod rękę w czerwień
z każdym pochlustem z drzew
jej szum w fałdy się ściele
raz ciemniejsze a raz jaśniejsze

o gdybym potrafił zrozumieć
grę tej jedynej barwy
zgłębić do końca jej szum
to wycie nadludzkie gdy w szary
dzień się nie umie wydobyć
z twojej jakby zamarłej duszy
bo ptaki trzymasz w swoim gnieździe
i nie pozwalasz mi ich ruszyć

bez końca

piękno się nigdy pięknem
nam nie odwzajemni
ani dobro dobrem
nie kocha nas przyroda
samotność paluchami
po sercu nam wciąż bębni
jesteśmy tacy sami
samotni i jedyni
jak pleśń Jeansa co minie
zostanie świat bez oczu
bez duszy lecz w słońcu
cudowność nie dla nas
bez końca bez końca

świadkowie

świadkowie umierania uśmiechu
on nam nie gaśnie jak słońce
żeby wzejść po nocy końcu
nie liczcie na żadną zorzę
na życie po życiu jak być
długo da się igraszką epizodu
na balu mgnieniem muzyki
błyskiem burzy miłosnego głodu
nasz widok z mostu nawałnica mija
zostawiając trupi chłód kosmosu

bez duszy

między atomami
z których jesteśmy
jak słońca a
atomami z których
jest śmierć
ściśnięci bez duszy
zwiesza się
krwi kobierzec
przez ile pięter
do jakiej
nieśmiertelności

Adam HOLLANEK, naczelny redaktor i założyciel „Fantastyki", autor kilkudziesięciu pozycji książkowych, jest także poetą, operującym techniką poezji surrealistycznej, groteską, metaforą ukazującą zagrożenia płynące z rozpadu osobowości człowieka, naruszenia więzi personalnych, rozbicia wartości humanistycznych składających się na spójny świat ubiegłego wieku. Wierszami o tematyce współczesnej debiutował już Hollanek w latach pięćdziesiątych na łamach czasopism literackich. W roku 1987 opublikował nakładem LSW tom „Pokuty" (zob. „Fantastyka" nr 6/88). Tym razem przedstawiamy Państwu kilka wierszy z nowego, przygotowanego do druku tomu Adama Hollanka. (an)

Melvyn Grant

